



Agatha  
Christie

pod pseudonimem  
MARY WESTMACOTT

CÓRECZKA



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

Agatha  
Christie®

pod pseudonimem  
MARY WESTMACOTT

# CÓRE CZKA

Przełożyta z angielskiego  
Maria Grabska-Ryńska



WROCLAW 2016

## Herkules Poirot

*Dorównaj sprytem sławnemu belgijskiemu detektywowi*

A.B.C.	Poirot prowadzi śledztwo
Czarna kawa	Pora przyływu
Dwanaście prac Herkulesa	„Przyjdź i zgiń”
Entliczek pentliczek	Rendez-vous ze śmiercią
Karty na stół	Samotny dom
Kot wśród gołębi	Słonie mają dobrą pamięć
Kurtyna	Śmierć lorda Edgware’a
Morderstwo na polu golfowym	Śmierć na Nilu
Morderstwo w Boże Narodzenie	Śmierć w chmurach
Morderstwo w Mezopotamii	Tajemnica gwiazdkowego puddingu
Morderstwo w Orient	Tajemnicza historia w Styles
Expressie	Tragedia w trzech aktach
Morderstwo w zaułku	Trzecia lokatorka
Niedziela na wsi	Wczesne sprawy Poirota
Niemy świadek	Wielka Czwórka
Pani McGinty nie żyje	Wigilia Wszystkich Świętych
Pierwsze, drugie... zapnij mi obuwie	Zabójstwo Rogera Ackroyda
Pięć małych świnek	Zagadka Błękitnego Ekspresu
Po pogrzebie	Zbrodnia na festynie
	Zerwane zaręczyny
	Zło czai się wszędzie

## Panna Marple

*Rozwiąż kryminalne zagadki z legendarną panną detektyw*

4.50 z Paddington	Strzały w Stonygates
Hotel „Bertram”	Śmiertelna klątwa
Karaibska tajemnica	Trzyście zagadek
Kieszka pełna życia	Uśpione morderstwo
Morderstwo na plebanii	Zatrute pióro
Morderstwo odbędzie się...	Zwierciadło pęka
Nemesis	w odłamków stos
Noc w bibliotece	

## Tommy i Tuppence

*Wpadnij na trop z zabawną parą detektywów-amatorów*

Dom nad kanałem	Tajemnica Wawrzynów
N czy M?	Tajemniczy przeciwnik
Śledztwo na cztery ręce	

## Samodzielne powieści i zbiory opowiadań

Detektywi w służbie miłości	Pasażer do Frankfurtu
Dlaczego nie Evans?	Podróż w nieznane
Dom zbrodni	Próba niewinności
Dopóki starczy światła	Rosemary znaczy pamięć
Godzina zero	Spotkanie w Bagdadzie
I nie było już nikogo	Świadek oskarżenia
Mężczyzna w brązowym garniturze	Tajemnica Białego Konia
Morderstwo to nic trudnego	Tajemnica lorda Listerdale'a
Niespodziewany gość	Tajemnica rezydencji Chimneys
Noc i ciemność	Tajemnica Siedmiu Zegarów
Pajęczyna	Tajemnica Sittaford
Parker Pyne na tropie	Tajemniczy pan Quin
	Zakończeniem jest śmierć

Tytuł oryginału  
*A Daughter's a Daughter*

Projekt okładki  
ILONA GOSTYŃSKA-RYMKIEWICZ

Fotografia na okładce  
kobieta © Terriana/Fotolia

Redakcja  
ELŻBIETA SPADZIŃSKA-ŻAK

Korekta  
JOANNA RODKIEWICZ

Skład  
RADOSŁAW FIEDOSICHIN

*A Daughter's a Daughter* Copyright © 1952 The Rosalind Hicks Charitable Trust. All rights reserved. AGATHA CHRISTIE and the Agatha Christie Signature are registered trade marks of Agatha Christie Limited in the UK and/or elsewhere. All rights reserved.

*Córeczka* © 2016 Agatha Christie Limited. All rights reserved. (wydanie elektroniczne)  
Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,  
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

Powieść *A Daughter's a Daughter* była wcześniej wydana w innym tłumaczeniu pod tytułem *Córka jest córką*.



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

Wydanie elektroniczne 2016

ISBN 978-83-245-8221-1

**Publicat S.A.**

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24  
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00  
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu  
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62  
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66  
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



# Spis treści

[Część pierwsza](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Część druga](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Część trzecia](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Przypisy](#)

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### 1

Anna Prentice stała na peronie dworca Wiktorii i machała ręką.

Pociąg zmierzający do przeprawy w Dover szarpnął kilkakrotnie, nabrał prędkości i ciemna głowa Sary zniknęła. Anna odwróciła się, ruszyła powoli w stronę wyjścia z peronu. Targały nią przy tym dziwne mieszane uczucia, jakie budzi rozstanie z kimś, kogo się kocha.

Kochana Sara... Jakże będzie za nią tęsknić...! Oczywiście to tylko trzy tygodnie, ale mieszkanie będzie się wydawać puste... Zostały w nim same z Edith; dwie nudne starzejące się kobiety...

Sara była iskrą. Otwarta, pełna życia, z entuzjazmem podchodząca do wszystkiego... A przy tym wciąż taki dzieciuch, najśłodsze na świecie czarnowłose bobo...!

Fe!, zbeształa się w duchu. Nie powinna tak myśleć! Sara byłaby wstrząśnięta. Dziewczętom w jej wieku bardzo zależało na przyjaznej, lecz jednak obojętnej okazywanej im przez rodziców. Nie cuduj, mateczko – mówiły z naciskiem.

Przyjmowały natomiast trybut w naturze. Oddanie odzieży do pralni, odebranie jej – i na ogół także uregulowanie rachunku. Trudne rozmowy telefoniczne („Gdybyś to ty zadzwoniła do Carol, mamusiu, byłoby o wiele prościej...”). Uprzątnięcie wiecznego bałaganu („Naprawdę zamierzałam to posprzątać, ale po prostu musiałam pędzić!”).

Kiedy ja byłam młoda..., zadumała się Anna.

Wróciła myślą w przeszłość. Jej dom rodzinny był staroświecki. Kiedy przyszła na świat, matka była już po czterdzieście, ojciec zaś jeszcze o piętnaście lat starszy. I to ojciec ustalał domowe zasady.

Uczucia nie przyjmowało się za pewnik, obie strony dbały o to, żeby je wyrażać. Mówiło się: „moja kochana córeczka” lub „tatusiowa pieczuszka” i: „co ci przynieść, mamusiu kochana?”.

Sprzątanie domu, drobne zakupy, prowadzenie rachunków z dostawcami, wypisywanie zaproszeń i okolicznościowych pocztówek – to wszystko leżało w gestii Anny, a właściwie w sferze jej obowiązków. Dawniej córki były po to, żeby usługiwać rodzicom, nie odwrotnie.

Mijając stoisko z książkami, Anna zadała sobie nagle pytanie: Jak jest lepiej?

Odpowiedź okazała się nadszpiewanie trudna.

Przebiegając oczami tytuły na półkach w poszukiwaniu czegoś do czytania na wieczór przed kominkiem, zdecydowała nagle, że ta kwestia nie ma większego znaczenia. To tylko konwenans, nic więcej. Podobnie jak wyrażenia w potocznym języku. Jednego roku mówiło się, że coś jest „fajne”, w następnym „super” albo „kapitalne”; można było za czymś „przepadać” albo „szaleć”. Decydowała moda.

Nadskakiwanie rodzicom przez dzieci czy dzieciom przez rodziców nie wpływało w istotny sposób na łączącą ich więź. Ona i Sara bez wątplenia kochały się mocno i szczerze. Czy to samo łączyło ją z własną matką? Z perspektywy czasu stwierdzała raczej, że pod wzajemnymi czułościami krył się ten

właśnie życzliwy brak zainteresowania, który dopiero ostatnio wszedł w modę.

Uśmiechając się do siebie, kupiła książkę w wydaniu Penguina, którą czytała już kilka lat temu i mile wspominała. Może dziś wyda jej się zbyt sentymentalna, ale czy to ważne, skoro Sary i tak nie ma w domu...

Będę tęsknić, pomyślała. Będę bardzo za nią tęsknić, ale przyda mi się trochę spokoju. Edith też sobie odpocznie, dodała w myśli. Denerwują ją ciągłe zmiany planów i pór posiłków. Sara i jej przyjaciółki wpadają i wypadają zupełnie zniemacka albo dzwonią: „Mamus, czy obiad może być wcześniej? Chcemy się wybrać do kina”. „To ty, mammo? Dzwonię, żeby powiedzieć, że nie będzie mnie na lunchu”.

Toteż gosposia po dwudziestu latach wiernej służby miała teraz trzy razy więcej pracy. Nic dziwnego, że zakłócenia normalnego rytmu dnia strasznie ją irytowały.

Używając określenia Sary, zrzędziła.

Nie, żeby Sara nie umiała jej ugłaskać. Edith mogła sobie zrzędzić i sarkać, ale uwielbiała Sarę.

Cicho będzie teraz w domu, kiedy zostaną same. Spokojnie, ale bardzo cicho...

Anna odczuła zimny, nieprzyjemny dreszczyk. Nie czeka cię już nic oprócz ciszy, pomyślała. To właśnie jest starość: będziesz się cichutko osuwać po równi pochyłej, u końca której czeka śmierć. Nie masz już czego pragnąć.

A czegoż miałabym pragnąć?, zapytała siebie. Miałam wszystko. Miłość i szczęście z Patrickiem. I dziecko. Dostałam to, czego chciałam od życia. Było... i przeszło. Teraz Sara przejmie ode mnie pałeczkę. Wyjdzie za mąż, urodzi dzieci. A ja zostanę babcią.

Uśmiechnęła się do siebie. Babcia... Bardzo miłe wcielenie. Wyobraziła sobie ślicznych, żywych, inteligentnych brzdąców – pulchne dziewczynki i psotnych chłopców o niesfornych czarnych włosach Sary. Będzie im czytać, opowiadać bajki...

Myśląc o tym, uśmiechnęła się ponownie, ale uczucie chłodu pozostało. Szkoda, że Patrick nie żyje. Wezbrała w niej fala pogrzebanego w duszy buntu i smutku. To było tak dawno temu – Sara miała wówczas zaledwie trzy latka! – tak dawno, że ból straty zdążył się ukoić. Mogła teraz myśleć o Patricku spokojnie, bez rozpacz. O swoim porywczym młodym małżonku, którego tak bardzo kochała. Tamte chwile zostały daleko za nią, w przeszłości.

Ale dziś znów wszystko się w niej buntowało. Gdyby Patrick żył, a Sara ich opuściła – czy to jadąc do Szwajcarii na narty, czy w swoim czasie wychodząc za mąż i tworząc własny dom – pozostałoby we dwoje, starsi, spokojniejsi, ale razem, mogąc dzielić ze sobą codzienne radości i smutki. Nie byłaby tak zupełnie osamotniona...

Wyszła na ruchliwy plac przed dworcem. Pomyślała: Jak złowieszczo wyglądają te czerwone autobusy. Stoją rzędem niczym potwory czekające na porę karmienia. Wydawały się – co za fantazja! – mieć własne świadome życie, być może nawet wrogie wobec człowieka, ich stwórcy.

Świat widziany z tego miejsca był tłumny i hałaśliwy, każdy gdzieś pędził, śpieszył się, rozmawiał, śmiał się albo użalał, witał lub żegnał...

I znów poczuła zimne ukłucie osamotnienia.

Dobrze, że Sara ruszyła na samodzielną wyprawę, pomyślała. Najwyższy czas. Stałam się nadto od niej zależna. I być może zbyt ją uzależniłam od siebie. Nie wolno mi tego robić. Nie wolno czepiać się młodych, hamować ich w drodze do własnego życia. To byłoby złe, po prostu niemoralne...

Matka musi zwolnić kroku, usunąć się w cień, zachęcać córkę do snucia własnych planów i zawierania własnych przyjaźni.

Uśmiechnęła się, bo w gruncie rzeczy nie musiała Sary do tego zachęcać. Sara miała setki przyjaciół i mnóstwo własnych planów. Prowadziła bardzo aktywny tryb życia; wytyczała własną drogę z uśmiechem i ogromną pewnością siebie. Niewątpliwie kochała matkę, ale traktowała ją z pobłażliwą wyższością, jak kogoś, kto niewiele już rozumie i niewiele może zdziałać – a to z powodu sędziwej starości.



Tak, czterdzieści dwa lata wydawały się Sarze wiekiem matuzalemowym, podczas gdy Anna wciąż wzdrygała się przed nazwaniem go średnim. Nie żeby starała się zamaskować upływ czasu. Prawie się nie malowała, a jej stroje nadal cechował nieco prowincjonalny szyk młodej matrony z wizytą w dużym mieście – schludne płaszczyki, spódnice, naszyjnik z drobnych, lecz prawdziwych pereł.

Westchnęła.

– Nie wiem, czemu zachowuję się tak głupio – powiedziała na głos. – To pewnie przez to, że Sara wyjechała.

Jak to mówią Francuzi? „Żegnać się to po trosze umierać”.

To prawda... Sara, uwieziona w dal przez dumnie sapiący pociąg, była dla niej w tej chwili jak martwa. A ja dla niej, pomyślała Anna. Dziwna to rzecz – oddalenie. Rozdział w przestrzeni.

Sara żyje jednym życiem. Ona, Anna, innym. Swoim własnym.

Wewnętrzny chłód, którego przedtem była świadoma, nagle zniknął wyparty przez nowe, dość przyjemne uczucie. Teraz będzie mogła wstawać, o której zechce, robić, co tylko zechce i sama planować dzień. Będzie kłaść się wcześniej z kolacją na tacy – lub przeciwnie, spędzi wieczór w kinie lub teatrze. Albo wyjedzie pociągiem na wieś i będzie się włóczyć po bezlistnych o tej porze lasach, rysujących na ostrym błękitnie nieba skomplikowany wzór nagich gałęzi...

Oczywiście mogła robić to wszystko i wcześniej. Ale kiedy dwie osoby żyją w jednym domu, zazwyczaj jedna z nich narzuca model życia. Anna zresztą bardzo lubiła ruch i gwar, jaki zawsze otaczał Sarę.

Macierzyństwo w ogóle daje wiele radości. To trochę tak, jak gdyby przeżywało się własne życie jeszcze raz, lecz tym razem spokojniej, bez dramatycznych rozterek, które są udziałem młodości. Kiedy się już wie, jak małe znaczenie ma to czy tamto, prawie każdy powszedni kryzys można zbyć pobłażliwym uśmiechem.

– Ale naprawdę, matuś – mówiła z przejęciem Sara – to śmiertelnie poważna sprawa. Nie rozumiem, jak możesz się uśmiechać. Od tego zależy cała przyszłość Nadii!

Po czterdziestce człowiek już wie, jak mało jest rzeczy zdolnych wyrzucić wpływ na całą przyszłość. Życie jest znacznie bardziej elastyczne i prężne, niż mu się kiedyś wydawało.

Jeżdżąc ambulansem w czasie wojny, Anna po raz pierwszy zdała sobie sprawę z ogromnego znaczenia rzeczy małych. Drobne przyjemności, przelotne zawiści, ocierający kołnierzyk czy pęcherz w ciasnym bucie – wszystko to doraźnie ma znacznie większą wagę niż monumentalny fakt, że w każdej chwili możesz zginąć. A przecież to właśnie powinno cię przez cały czas zaprzętać, wisieć nad tobą jak posępna gradowa chmura... Tymczasem człowiek bardzo prędko przywykał do tej myśli, a drogę na plan pierwszy torowały sobie drobiazgi – być może tym bardziej uparcie, że w ich tle majaczyła świadomość, iż zostało ci niewiele czasu. Anna sporo się wtedy nauczyła także o dziwnych niekonsekwencjach natury ludzkiej. O tym, jak trudno jest zaklasyfikować kogoś do przegródki z napisem „zły” lub „dobry”, do czego skłonna jest dogmatyczna młodość. Widziała niewiarygodną odwagę przemieszana z podłością, gdy ten sam człowiek, który narażał własne życie, wynosząc ранego spod gradu kul, nie wahał się później go okraść.

Prawda wygląda tak, że żaden człowiek nie jest monolitem.

Stała niezdecydowana na krawężniku, aż wreszcie ostry klakson przejeżdżającego samochodu wyrwał ją z abstrakcyjnych rozważań. Powróciła myślami do spraw praktycznych. Co powinna zrobić teraz, w tej chwili?

Wyprawienie Sary do Szwajcarii zdominowało jej harmonogram na dzisiejszy ranek. Wieczorem była umówiona na kolację z Jamesem Grantem. Drogi James, zawsze dla niej życzliwy. „Po wyjeździe Sary będziesz się czuła trochę przygnębiona – powiedział. – Musisz się rozerwać”. James był jej prawdziwym przyjacielem. Sara śmiała się z nich czasem, nazywała go wielbicielem swojej mamy i mówiła o nim *pukka sahib* – lecz James istotnie okazywał Annie wiele ciepła. Co prawda można było stracić wątek,

słuchając po raz enty którejs z jego długich i zawikłanych anegdot, ale James tak lubił je opowiadać! Zresztą jeśli zna się kogoś dwadzieścia pięć lat, grzeczność nakazuje wysłuchać do końca.

Zerknęła na zegarek. Mogłaby się udać do Army and Navy Stores, Edith ją prosiła o parę rzeczy do kuchni. Ta decyzja rozwiązała tymczasowo jej problem. Lecz oglądając patelnie i pytając o ceny (doprawdy wzięte z sufitu!), znów czuła w podświadomości nieprzyjemne zimne ukłucia paniki.

W końcu, niewiele się zastanawiając, weszła do budki telefonicznej i wykręciła numer.

– Dzień dobry. Czy zastałam panią Whitstable?

– Kto mówi?

– Anna Prentice.

– Jedną chwilkę, pani Prentice.

W słuchawce zapadła cisza, a kilka sekund później odezwał się w niej mocny, dźwięczny głos:

– Anna?

– Wybacz, Lauro, że dzwonię do ciebie o tej porze, ale właśnie odprowadziłam Sarę na pociąg i...

Zastanawiałam się, czy jesteś dziś bardzo zajęta.

– Zjesz ze mną lunch – odparł głos tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Żytni chleb i maślanka. Może być?

– Wszystko może być. Jesteś aniołem.

– Czekam na ciebie kwadrans po pierwszej.

## 2

Czternaście po pierwszej Anna wysiadła z taksówki na Harley Street i nacisnęła dzwonek.

Kompetentny w każdym calu Harkness otworzył jej drzwi, uśmiechnął się na powitanie i rzekł:

– Proszę iść na górę. Wielmożna pani Laura dołączy do pani za kilka minut.

Anna wbiegła lekko na schody. Dawna jadalnia domu służyła teraz za poczekalnię dla pacjentów, a górne piętro wysokiego domu przekształcono w małe, lecz wygodne mieszkanie. Niewielki stolik w salonie nakryty już był do lunchu. Sam pokój wyglądał bardziej na męski gabinet niż kobiecy salonik. Obszerne wyściełane krzesła, mnóstwo książek, z których część piętrzyła się w stertach na tychże krzesłach, ciemne zasłony z dobrej jakości aksamitu.

Nie musiała długo czekać. Wznoszący się po schodach tubalny głos niczym triumfalna fanfara obwieścił wkrótce nadejście gospodyni, która czule ucałowała przybyłą.

Wyróżniona przez Koronę dożywotnim tytułem szlacheckim Laura Whitstable miała sześćdziesiąt cztery lata i nosiła się z godnością właściwą osobom krwi królewskiej oraz garstce dygnitarzy z samej góry świecznika. Wszystko w niej miało trochę nadludzkie proporcje, poczynając od głosu, poprzez biust godny okrętowego galionu, po spiętrzony na głowie monstrualny kok i wielki nos, zakrzywiony jak dziób jastrzębia.

– Znakomicie, że wpadłaś, drogie dziecko! – huknęła. – Wyglądasz precudnie. Widzę, że kupiłaś sobie bukietek fiołków. Jakież to symptomatyczne. Najbardziej przypominasz właśnie ten kwiat.

– Więdnący fiołek? Doprawdy, Lauro!

– Skromną słodycz schowaną pośród liści.

– Komplement? To do ciebie niepodobne. Zwykle jesteś dość obcesowa.

– Bo to się opłaca, choć czasem kosztuje sporo wysiłku. Zaraz będziemy jeść. Bassett, gdzie jest Bassett? Ach, jesteś. Anno, ucieszy cię wieść, że dla ciebie przewidziałam solę. I reńskie wino.

– Och, Lauro, niepotrzebnie. Maślanka i chleb w zupełności by mi wystarczyły.

– Mam za mało maślanki dla dwóch osób. Siadaj. A więc Sara wyjechała do Szwajcarii? Na jak długo?

– Na trzy tygodnie.

– Wspaniale.

Koścista pokojówka wyszła z pokoju. Sącząc z zadowoleniem maślankę, pani Laura dodała przenikliwie:

– A ty będziesz za nią tęsknić. Ale nie przyszedłeś tu po to, żeby mówić truizmy. Śmiało, Anno. Zdradź, co ci leży na sercu. Nie mamy zbyt wiele czasu. Wiem, że mnie lubisz, ale jeśli ktoś dzwoni i domaga się mego towarzystwa natychmiast, chodzi mu raczej o moją nadludzką mądrość niż o piękne oczy.

– Mam wyrzuty sumienia – bąknęła przepaszająco Anna.

– Nonsens, moja droga. W gruncie rzeczy złożyłaś mi w ten sposób coś na kształt hołdu.

– Och, Lauro, wiem, że to głupie – wyrzuciła z siebie Anna pośpiesznie – ale nagle wpadłam w panikę. Przed gmachem dworca, pośród tych wszystkich autobusów! Poczułam się... poczułam się tak straszliwie osamotniona...

– Rozumiem.

– Nie chodzi tylko o to, że Sara wyjechała i już mi jej brakuje. To coś więcej...

Laura Whitstable kiwnęła głową, mierząc ją spokojnym, przenikliwym spojrzeniem.

– Bo w sumie... – dokończyła Anna powoli, z namysłem – człowiek tak naprawdę jest sam.

– Ach, więc już wiesz? Każdy w końcu do tego dochodzi, wcześniej czy później. Co dziwne, większość ludzi przeżywa przy tym szok. Ile masz lat, Anno? Czterdzieści jeden? To bardzo dobry wiek na takie odkrycie. Dokonane zbyt późno, może doprowadzić do załamania. Zbyt wcześnie – wymaga mnóstwa odwagi, żeby się z nim pogodzić.

– Czy kiedykolwiek czułaś się naprawdę samotna? – spytała z zaciekawieniem Anna.

– O tak. Mnie to uczucie dopadło, kiedy miałam dwadzieścia sześć lat. W trakcie uroczego, czułego rodzinnego spotkania. Zaskoczyło mnie i przeraziło, ale w końcu je zaakceptowałam. Bądź co bądź z faktami się nie dyskutuje. Człowiek musi się pogodzić z tą gorzką prawdą, że na świecie ma tylko jednego wiernego towarzysza od kołyski po grób, a jest nim on sam. Trzeba utrzymywać z nim dobre stosunki, czyli krótko mówiąc, nauczyć się żyć ze sobą samym. Oto odpowiedź. Co nie znaczy, że to jest łatwe.

Anna westchnęła.

– Mówiąc szczerze, Lauro, życie wydało mi się zupełnie bezcelowe. Czekał na mnie długie lata i żadnego celu, którym mogłabym je wypełnić. Jestem tylko głupią bezużyteczną kobietą...

– No, no! Nie trać, proszę, zdrowego rozsądku. W czasie wojny wykonałaś kawał świetnej, choć mało spektakularnej pracy. Wychowałaś córkę tak, że ma dobre maniere i potrafi się cieszyć życiem. Masz z czego czerpać satysfakcję. W gruncie rzeczy, gdybyś przyszła do gabinetu po poradę, odesłałabym cię, nie biorąc grosza, a wiesz, że jestem chciwą staruchą.

– Lauro, kochanie, podnosisz mnie na duchu. Ale wiem, czuję, że za wiele uczucia inwestuję w Sarę.

– A cóż to za bzdury!

– Boję się, że się stanę jedną z tych zaborczych matek, które pożerają swoje młode.

Pani Whitstable ucięła sucho:

– Tak wiele mówi się o zaborczych matkach, że niektóre kobiety boją się okazać dzieciom najzupełniej normalne uczucie.

– Ale zaborczość jest zła!

– Oczywiście, że tak. Widuję ją na co dzień. Matki, które trzymają synów pod spódnicą, ojców zazdrosnych o córki. Ale nie zawsze jest to ich wyłączną winą. Miałam kiedyś w pokoju ptasie gniazdo, Anno. W stosownej porze pisklęta je opuściły, lecz pozostało jedno, które nie chciało wyfrunąć. Wolało pozostać w gnieździe i nadal być karmione, niż stawić czoło wyzwaniu, jakim był skok poza krawędź. Ptasia matka bardzo to niepokoiło. Uczyła je, raz po raz zlatywała z gniazda w dół i z powrotem, szczebiotała do niego, machała skrzydłami. W końcu przestała je karmić. Przynosiła pokarm w dziobie,

ale przysiadła w drugim końcu pokoju i stamtąd wołała pisklę. Zdarzają się ludzie właśnie tego typu. Dzieci, które nie chcą dorosnąć, nie chcą podjąć trudu dorosłego życia. I to nie jest kwestia wychowania, tylko charakteru.

Milczała przez chwilę, nim podjęła:

– Istnieje w ludziach chęć dominacji, ale także chęć podporządkowania się. Czy to skutek zbyt późnego dojrzwania? A może jakiś wrodzony brak cech człowieka dorosłego? Wciąż bardzo niewiele nam wiadomo o osobowości ludzkiej.

– W każdym razie – wtrąciła Anna, niezbyt ciekawa refleksji natury ogólnej – nie uważasz, że jestem zaborczą matką?

– Zawsze byłam zdania, że łączy was z Sarą bardzo satysfakcjonująca więź. Określiłabym ją mianem głębokiej naturalnej miłości. – Pani Laura zamyśliła się na chwilę i dodała: – Oczywiście Sara jest mało dojrzała na swój wiek...

– Moim zdaniem jest nadmiernie dojrzała.

– Nie powiedziałabym. Mentalnie nie ma jeszcze dziewiętnastu lat, to widać.

– Ależ jest tak bardzo pewna siebie, stanowcza. Wspaniale rozwinięta intelektualnie. Ma własne poglądy na wiele spraw...

– Chcesz zapewne powiedzieć, że pewnym tonem wygłasza obiegowe opinie. Minie jeszcze wiele czasu, zanim Sara dorobi się własnych poglądów na jakikolwiek temat. Wszystkie te dzisiejsze młode panny są bardzo stanowcze. W ten sposób próbują dodać sobie pewności. Żyjemy w niepewnych czasach, wszystko jest chwiejne i młodzi to czują. Brak stabilności ekonomicznej. Rozbite rodziny. Brak standardów moralnych. Sama wiesz, że młodą wątłą roślinę trzeba przywiązać do sztywnej, solidnej tyczki...

Laura uśmiechnęła się szeroko.

– Gdy odrzucić tytuły, jestem tylko zwykłą starą babą, a te, jak wiadomo, lubią prawić kazania. – Wychyliła swój kubek. – Wiesz, dlaczego opijam się maślanką?

– Bo jest zdrowa?

– Bo ją lubię! Od dzieciństwa, kiedy to spędzałam wakacje na wsi. Drugi powód to ten, że dzięki niej wyróżniam się z tłumu. Człowiek ma skłonność do przybierania póź. Wszyscy to robią, a ja częściej niż kto inny. Dzięki Bogu mam przynajmniej tego świadomość. Ale mówimy o tobie, Anno. Nic ci nie dolega. Po prostu łapiesz drugi wiatr w żagle, to wszystko.

– Co masz na myśli, Lauro? Chyba nie... – Anna urwała.

– Nic fizycznego. Mówię o kwestiach mentalnych. Kobiety mają szczęście, chociaż dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nich o tym nie wie. W jakim wieku święta Teresa wzięła się za reformowanie klasztorów? Około pięćdziesiątki. Mogłabym ci wymienić multum innych przykładów. Między dwudziestym a czterdziestym rokiem życia kobiety są zaangażowane biologicznie, jak każe natura. Troszczą się wówczas o dzieci, o mężów, o kochanków – generalnie rzecz ujmując, zaprzatają je relacje osobiste. Czasem sublimują ten popęd, nakierowując go na karierę zawodową traktowaną w kobiecy, emocjonalny sposób. Ale naturalny dla kobiety drugi rozkwit dotyczy ducha, umysłu, i ma miejsce w wieku średnim. Starzejąc się, kobiety zaczynają się interesować sprawami, które nie dotyczą ich osobiście. Horyzonty mężczyzny zwykle zaczynają się wtedy zawężać, kobiecie przeciwnie. Sześćdziesięcioletni mężczyzna na ogół powtarza się jak zepsuta płyta gramofonowa. Sześćdziesięcioletnia kobieta, jeśli ma jakiegokolwiek wnętrze, jest ciekawą osobą.

Anna pomyślała o Jamesie Grancie i uśmiechnęła się.

– Kobiety sięgają ku czemuś nowemu – ciągnęła Laura. – Och, zdarza im się robić z siebie idiotki. Czasami dostają obsesji na punkcie seksu. Ale wiek średni daje rozległe perspektywy.

– Umiesz człowieka pocieszyć. – Anna skrzywiła się z rozbawieniem. – Sądzisz, że powinnam wziąć się za jakąś działalność? Społeczną, dobroczynną czy coś w tym guście?

– Naprawdę tak bardzo kochasz swoich bliźnich? – zapytała starsza pani z powagą. – Tego rodzaju praca nie ma sensu, gdy nie ożywia jej wewnętrzny ogień. Nie rób rzeczy, na które wcale nie masz ochoty, tylko po to, żeby we własnych oczach czuć się lepszą. Nic, jeśli mogę tak stwierdzić, nie pociąga za sobą straszniejszych skutków. Jeśli znajdujesz przyjemność w odwiedzaniu chorych staruszek lub wożeniu nad morze przyszczatych i niewychowanych łobuzów, proszę bardzo. Wielu ludzi to lubi. Ale nie zmuszaj się do takiej czy innej aktywności. Pamiętaj, że każde pole musi od czasu do czasu lec odłogiem. Dotąd twoją niwą było macierzyństwo. Nie bardzo widzę cię w roli reformatorki, artystki czy wolontariuszki opieki społecznej. Jesteś zwyczajną kobietą, Anno, choć bardzo miłą. Czekaj. Czekaj spokojnie, z wiarą i nadzieją, aż sama się przekonasz, czym będzie to nowe i wartościowe coś, co wypełni ci życie.

Pani Laura zawahała się i dodała:

– Nie miałaś nigdy romansu, prawda?

Anna spłonęła pensjonarskim rumieńcem.

– Nie. – Opanowała się. – Sądziś, że... że powinnam?

Wielmożna Laura Whitstable parsknęła śmiechem, od którego zatrzęśły się naczynia na stoliku.

– Ach, ta nowa moda! W czasach wiktoriańskich tak bardzo baliśmy się seksu, że zasłanialiśmy nawet nogi mebli! Sprawy płci skrupulatnie zamiatano pod dywan. To nie było zdrowe. Ale teraz popadamy w przeciwną skrajność. Traktujemy seks jak coś, co kupuje się w aptece, lek podobny sulfamidom czy penicylinie. Młode kobiety przychodzą do mnie i pytają: „Czy powinnam wziąć sobie kochanka?”, „A może urodzić dziecko?”. Jakby pójście do łóżka z mężczyzną nie było przyjemnością, lecz świętym obowiązkiem. Ty nie jesteś kobietą namiętą, Anno. Masz za to w sobie olbrzymie pokłady czułości. To nie kłóci się z seksem, ale seks nie gra w twojej naturze pierwszych skrzypiec. Gdybym miała wróżyć z fusów, powiedziałabym, że w stosownym czasie ponownie wyjdiesz za mąż.

– Och, nie wierzę, że jeszcze bym się na to zdobyła.

– To dlaczego przypięłaś sobie do płaszcza bukietek fiołków? Owszem, kupujesz kwiaty do mieszkania, ale prawie nigdy ich nie nosisz. Te fiołki to symbol, Anno. Kupiłaś je, bo w głębi duszy czujesz tchnienie wiosny. Niebawem w twoim życiu znów zapanuje wiosna.

– Prędej babie lato – mruknęła Anna posępnie.

– Jeśli wolisz tak to nazwać, owszem.

– Wszystko to brzmi ślicznie, Lauro, ale prawdę mówiąc, kupiłam te fiołki wyłącznie dlatego, że kobieta, która je sprzedawała, wyglądała na zmarzniętą i zrozpaczoną.

– Tak myślisz. Ale to tylko powierzchowna przyczyna. Zajrzyj w siebie, a znajdziesz prawdziwy motyw. Naucz się czytać w sobie. To w życiu bardzo ważne: znać siebie. Niebioso, już po drugiej! Muszę lecieć. Co robisz dziś wieczorem?

– Idę na kolację z Jamesem Grantem.

– Pułkownikiem? Tak, oczywiście. Miły człowiek. – W oczach pani Whitstable zaiskrzyła wesołość. – Od dawna smali do ciebie cholewki, nieprawdaż?

– Z przyzwyczajenia. – Anna Prentice zaśmiała się i znów zarumieniła.

– Już kilka razy prosił cię o rękę.

– Tak, ale to nie miałoby sensu. Och, Lauro, naprawdę myślisz, że powinnam? Skoro oboje jesteśmy samotni...

– Anno! W wyborze mężczyzny nie istnieje słowo „powinność”! A źle dobrany towarzysz jest gorszy niż żaden. Biedny pułkownik Grant... nie żeby naprawdę było mi go żal. Mężczyzna, który raz po raz oświadcza się kobiecie i nie potrafi jej skłonić do zmiany zdania, jest w istocie szermierzem przegranych spraw. Z pewnością spodobałoby mu się pod Dunkierką, a szarża lekkiej brygady byłaby dla niego wymarzoną zadaniem. Skądinąd nieraz mnie zdumiewa, jak czule hołubimy w tym kraju pamięć klęsk i błędów, a jak bardzo się wstydzimy odniesionych zwycięstw!

# ROZDZIAŁ DRUGI

## 1

Anna wróciła do domu, gdzie wierna Edith powitała ją dość chłodno.

– Miałam dla pani śliczną flądrę na lunch – oznajmiła surowo, stając w drzwiach kuchni. – I sos karmelowy.

– Bardzo cię przepraszam. Jadłam lunch z panią Laurą. Ale przecież dzwoniłam, żeby cię uprzedzić, prawda?

– Toteż jej nie smażyłam – przyznała niechętnie gospoia, wysoka kobieta o posturze grenadiera i zaciśniętych z dezaprobatą ustach. – Ale to do pani niepodobne, żeby tak znieścacka zmieniać plany. O, panience Sarze to bym się nie dziwiła. Znalazłam te fantazyjne rękawiczki, których szukała przed wyjazdem, ale oczywiście za późno. Były wepchnięte za sofę.

– Szkoda. – Anna wzięła od niej parę bajecznie kolorowych włóczkowych rękawiczek. – Tak czy owak odjechała zgodnie z planem.

– Szczęśliwa jak ptaszek, przypuszczam.

– Tak, wszyscy mieli doskonałe humory.

– Oby tylko wrócili równie weseli. A nie na przykład o kulach.

– Nie mów tak!

– Ta cała Szwajcaria jest bardzo niebezpieczna. Ludzie łamią tam ręce i nogi, których nikt porządnie nie nastawi. Potem pod gipsem rozwija się gangrena i trzask-prask, już po człowieku. A ten smród!

– Miejmy nadzieję, że Sary to nie spotka – ucięła Anna, przyzwyczajona do ponurych przepowiedni Edith wypowiedzianych z niezmiennym ukontentowaniem.

– Bez panienki tak tu cicho, jakby wszyscy wymarli – zrzędziła dalej gospoia.

– Będiesz miała okazję trochę sobie odpocząć.

– Odpocząć? – powtórzyła Edith z bezbrzeżną pogardą. – A na co mi odpoczynek? Lepsze bolące kości od grzechu bezczynności. Tak mawiała moja mama i całe życie się tego trzymam. Teraz, kiedy stada znajomych panienki nie galopują co chwila po mieszkaniu, mogę tu wreszcie wysprzątać. Czas najwyższy.

– Mieszkanie jest czyste jak pudełeczko.

– Tak się pani zdaje, ale ja swoje wiem. Trzeba zdjąć i porządnie wytrzepać wszystkie zasłony, umyć kinkiety i... och, sto różnych rzeczy! – Oczy Edith zaśniły z ukontentowania.

– Najmę ci kogoś do pomocy.

– Wykluczone. Lubię, kiedy praca wykonana jest porządnie, a mało której z tych dzisiejszych kobiet można w tym względzie zaufać. Ma tu pani ładne rzeczy i niech takie pozostaną. Tyle że na co dzień gotuję i przez to cała reszta jest robiona po łebkach.

– Ale za to posiłki są wyśmienite, sama o tym wiesz.

Leciuteńki triumfalny uśmieszek na krótką chwilę przegnał z twarzy gospoia potępiająco-apokaliptyczny wyraz.

– Ach tam, gotowanie! – stwierdziła lekceważąco. – To drobiazg. Trudno je w każdym razie nazwać solidną pracą! O której będzie pani piła herbatę?

– Nie za wcześnie. Może o wpół do piątej.

– Na pani miejscu położyłabym się teraz i ucięła sobie drzemkę. Będzie pani świeższa wieczorem.

Skoro w domu nareszcie jest spokój, może pani z niego skorzystać.

Anna posłusznie spoczęła na sofie w saloniku, gdzie Edith opatulila ją pledem.

– Cackasz się ze mną jak z dzieckiem – zaśmiała się.

– A bo też była pani prawie dzieckiem, kiedy nastalam do paninej mamy... i niewiele się pani zmieniła od tego czasu. Dzwonił pułkownik Grant. Prosił, żeby nie zapomnieć: restauracja Mogador o ósmej. Powiedziałam mu, że pani wie. Ale jak to mężczyzna... robią wokół strasznie dużo szumu, a już wojskowi są najgorsi!

– Miło z jego strony, że zaprosił mnie dziś do restauracji. Przewidział, że mogę się czuć osamotniona.

– Nie mam nic przeciwko pułkownikowi – zawyrokowała Edith z powagą. – Jest trochę drobiazgowy, ale to dżentelmen jak się patrzy. – Po chwili wahania dodała: – W sumie mogła pani trafić znacznie gorzej.

– Co masz na myśli?

Gospościa bez mrugnięcia wytrzymała jej spojrzenie.

– To, że są gorsi kandydaci. Tak sobie myślę, że skoro panienka Sara wyjechała, to ten tam... pan Gerry nie będzie tu tak często bywać?

– Nie lubisz go, prawda?

– Lubisz, nie lubisz... Ma coś w sobie, temu nie można zaprzeczyć. Ale to nie jest człowiek, na którym się można oprzeć. Moja siostrzenica Marlene wyszła za takiego. Żadnej pracy nie utrzymał dłużej niż pół roku. A cokolwiek zawali, zawsze twierdzi, że to nie jego wina.

Edith wyszła z pokoju. Anna oparła głowę na wyściełanym oparciu i zamknęła oczy.

Przez zamknięte okno dochodził stłumiony szum ruchu ulicznego, niby przyjemny kojący szmer odległego roju pszczół. Tuż obok, na stoliku, żonkile w wazonie wypełniały pokój słodkim aromatem.

Czuła się spokojna i szczęśliwa. Będzie jej brakowało Sary, ale też krótki wypoczynek w samotności dobrze jej zrobi.

Ten atak paniki, który miała dziś rano, był niewytłumaczalny...

Zaczęła się zastanawiać, kogo prócz niej zaprosił dziś na kolację pułkownik Grant.

## 2

Mogador była małą i raczej staroświecką restauracją z dobrym jedzeniem, dobrym winem i atmosferą leniwego spokoju.

Anna przyszła pierwsza, zastała pułkownika w barze przy wejściu. Na przemian otwierał i zamykał zegarek.

– O, Anna! – Zerwał się na powitanie. – Witaj! – Z uznaniem omiół wzrokiem jej czarną wieczorową sukienkę i pojedynczy sznur pereł zdobiący szyję. – To zachwycające, kiedy piękna kobieta jest punktualna.

– Spóźniłam się tylko trzy minuty. – Uśmiechnęła się.

James Grant był wysokim mężczyzną o sztywnej wojskowej postawie, krótko ostrzyżonych siwych włosach i stanowczym podbródku. Ponownie zerknął na zegarek.

– Czemuż tych ludzi jeszcze nie ma? Stół będzie gotowy na kwadrans po ósmej, ledwie starczy czasu na drinki. Dla ciebie sherry? Wolisz je od koktajli, prawda?

– Tak, dziękuję. Kto jeszcze przyjdzie?

– Massinghamowie. Znasz ich?

– Oczywiście.

– I Jennifer Graham. To moja kuzynka, nie wiem, czy miałaś okazję...

– Chyba poznałam ją kiedyś u ciebie.

– I jeszcze Richard Cauldfield. Spotkałem go niespodzianie parę dni temu, po raz pierwszy od lat. Większość życia spędził w Birmie. Wrócił właśnie do kraju i nie zdążył się jeszcze zadomowić.

– Nic dziwnego.

– Miły gość. W ogóle to smutna historia: jego żona zmarła, wydając na świat pierwsze dziecko. Bardzo ją kochał. Długo nie mógł się pozbierać po jej śmierci i dlatego właśnie wyjechał do Birmy.

– A dziecko?

– Też nie przeżyło.

– Prawdziwa tragedia.

– O, są już Massinghamowie.

Pani Massingham, określana zawsze przez Sarę jako *memsahib*, zbliżała się do nich, rażąc szerokim uśmiechem białych zębów. Była to chuda, żylasta kobieta o cerze ogorzałej i wysuszonej przez wiele lat spędzonych w Indiach. Za nią postępował niski, krępy małżonek, prowadzący rozmowy rzeczowym staccato.

– Cieszę się, że znów się widzimy. – Pani Massingham serdecznie uścisnęła dłoń Anny. – I jak to wspaniale, że mamy okazję wyjść na kolację w stosownym stroju. W ogóle już nie noszę wieczorowych sukien! Wszyscy zawsze mówią „nie przebieraj się”. W ogóle życie w dzisiejszych czasach zbrzydło. Ile rzeczy trzeba robić samemu! Wiecznie stoję przy zlewie. Naprawdę nie sądzę, żebyśmy mogli zostać w tym kraju. Zastanawialiśmy się nad Kenią.

– Wielu ludzi wyjeżdża – wtrącił jej mąż. – Mają dość. Winią rząd.

– O, jest już Jennifer – ucieszył się pułkownik Grant. – I Richard.

Jennifer Graham była wysoką trzydziestopięcioletnią kobietą o końskiej twarzy, której śmiech łudząco przypominał rzenie. Towarzyszył jej opalony mężczyzna w średnim wieku, który usiadł obok Anny.

Zagadnęła go, od jak dawna jest w Anglii i co myśli o obecnej sytuacji.

Trochę czasu minęło, nim się przyzwyczaił, odparł. Kraj bardzo się zmienił od czasów sprzed wojny. Szuka pracy, ale wcale niełatwo ją znaleźć, zwłaszcza komuś w jego wieku.

– To prawda – przyznała. – Czasem ma się wrażenie, że nic nie działa tak, jak by należało.

– A przecież nie dobiegłem nawet pięćdziesiątki! – Uśmiechnął się dziecinnym rozbajającym uśmiechem. – Mam niewielki kapitał. Zastanawiałem się nad kupnem kawałka ziemi na wsi i uprawą warzyw. Albo hodowlą kurcząt.

– Broń Boże kurczaki! – wyrwało się Annie. – Mam znajomych, którzy tego próbowali. Łatwo zaczynają chorować i padać.

– Faktycznie, jarzyny są chyba bezpieczniejsze. Co prawda dużo się na nich nie zarobi, ale życie byłoby bardzo przyjemne. – Westchnął. – Sytuacja jest taka chwiejna! Może kiedy rząd się zmieni...

Anna z powątpiewaniem kiwnęła głową. W zmianie rządu ludzie dopatrywali się panaceum na wszystkie bolączki.

– Trudno jest w tej chwili podjąć jakiegokolwiek finansowe decyzje – powiedziała. – To bardzo niepokojące.

– Och, ja się nie martwię. Nie wierzę, że zamartwianie się ma jakikolwiek sens. Jeśli człowiek ma wiarę w siebie i dostatecznie wiele determinacji, każdą trudność można przezwyciężyć.

Była to skrajnie dogmatyczna deklaracja i Anna zrobiła powątpiewającą minę.

– Nie jestem tego taka pewna – bąknęła.

– Ależ tak! Nie mam cierpliwości do ludzi, którzy bez przerwy uskarżają się, że mieli pecha.

– O, tu się z panem zgadzam! – wykrzyknęła Anna z taką emfazą, że Cauldfield pytająco uniośł brwi.

– Jak rozumiem, zna to pani z własnego doświadczenia?

– O, tak. Jeden z adoratorów mojej córki podczas każdej wizyty opowiada nam o swoim najnowszym nieszczęściu. Z początku mu współczułam, ale teraz obawiam się, że jestem szorstka. Zdążyło mnie to już znudzić.



Pani Massingham przechyliła się przez stół i dorzuciła:

– Bo ludzie, którzy użalają się nad sobą, są potwornie nudni.

– O kim mówisz, Anno, o młodym Geraldzie Lloydzie? – zainteresował się pułkownik Grant. – Ten chłopak niczego w życiu nie osiągnie.

– Ma pani córkę? – szepnął do Anny Richard Cauldfield. – Dostatecznie dużą, by mieć już adoratorów?

– Skończyła dziewiętnaście lat.

– Na pewno bardzo ją pani kocha.

– Nad życie.

Anna ujrzała bolesny skurcz na twarzy mężczyzny i przypomniała sobie, co mówił o nim James Grant. Richard Cauldfield musiał być bardzo samotnym człowiekiem.

– Wygląda pani za młodo na dorosłą córkę – rzekł półgłosem.

– To jedno z tych utartych stwierdzeń, którymi częstuje się kobiety w moim wieku – zaśmiała się.

– Możliwe. Ale naprawdę tak uważam. Pani mąż... – zawahał się. – Zmarł?

– Tak, przed wieloma laty.

– Dlaczego nie wyszła pani ponownie za mąż?

Pytanie granoczyło z impertynencją, ale przeczyło jej autentyczne zainteresowanie w głosie Richarda Cauldfielda. Anna ponownie odniosła wrażenie, że jest on człowiekiem prostolinijnym. Chciał wiedzieć, więc spytał.

– Och, dlatego że... – urwała. Potem odparła szczerze i zgodnie z prawdą: – Bardzo kochałam męża. Po jego śmierci już nigdy nie zakochałam się w nikim innym. Poza tym oczywiście miałam dziecko.

– Tak – powiedział Cauldfield. – Tak, w pani przypadku... Mogłam się tego domyślić.

Grant wstał i zaproponował, żeby przeszli do sali jadalnej. Przy okrągłym stole Anna siedziała obok gospodarza z majorem Massinghamem po drugiej stronie. Nie miała więc okazji podtrzymać tej rozmowy. Cauldfield poważnie konwersował z panną Graham.

– Nadaliby się sobie, nie sądzisz? – szepnął pułkownik do ucha Anny. – Biedak potrzebuje żony.

Z niejasnych przyczyn ta sugestia sprawiła Annie przykrość. Jennifer Graham z tubalnym głosem i końskim rzeniem wcale nie wydawała jej się odpowiednią żoną dla mężczyzny pokroju Richarda Cauldfielda.

Podano ostrygi i towarzystwo, nie przerywając rozmowy, zabrało się do jedzenia.

– Sara pojechała?

– Tak. Mam nadzieję, że będą mieli dość śniegu.

– Faktycznie, o tej porze roku to wcale nie jest pewne. Przypuszczam jednak, że i tak będzie się dobrze bawiła. A propos, mam nadzieję, że młodego Lloyda tam nie będzie?

– O nie. Właśnie podjął pracę w firmie swego stryja. Nie mógł wyjechać.

– To dobrze. Musisz zdusić tę znajomość w zarodku, Anno.

– W dzisiejszych czasach rodzic nie ma wielu możliwości wywarcia presji, Jamesie.

– Hm, pewnie masz rację. Lecz jednak wysłałaś ją do Szwajcarii.

– Tak, uznałam to za dobry plan.

– A widzisz. Nie jesteś głupia, Anno. Miejmy nadzieję, że Sara zainteresuje się w tym czasie jakimś innym młodzieńcem.

– Sara jest jeszcze bardzo młoda, Jamesie. Wątpię, aby w ogóle poważnie traktowała znajomość z Gerrym Lloydem.

– Być może nie. Ale kiedy ostatnio z nią rozmawiałem, wydawała się bardzo przejęta jego losem.

– Ona wszystkimi się tak przejmuje. Jest bardzo lojalna wobec swoich przyjaciół. Z reguły wie, czego im trzeba, i stara się pchnąć każdego we właściwym kierunku.

– Sara to dobre dziecko. I bardzo ładne, muszę przyznać. Aczkolwiek nigdy nie będzie tak atrakcyjna

jak ty, Anno. Jest jakby bardziej kanciasta. Jak to dziś nazywają...? Chłopczyca?

Anna się uśmiechnęła.

– Nie sędzę, żeby naprawdę taka była. Po prostu jej pokolenie przyjęło taki styl.

– Możliwe. Lecz część tych dziewcząt powinna wziąć kilka lekcji wdzięku u swoich matek.

Patrzył na nią ciepło i Anna pomyślała nagle z nieoczekiwaną tkliwością: Kochany James. Jest dla mnie taki czuły. Naprawdę uważa mnie za ideał. Czy nie postępuję głupio, odrzucając to, co mi oferuje? Bycie kochaną, hołubioną...

Na nieszczęście chwilę później pułkownik Grant zaczął opowiadać o jednym ze swych podwładnych i żonie majora w Indiach. Była to długa historia, którą Anna słyszała już trzy razy. Czułe ciepło natychmiast z niej wywietrzało. Patrzyła przez stół na Richarda Cauldfielda, oceniając go w duchu. Trochę zanadto pewny siebie, zbyt zasadniczy. Nie, poprawiła się, wcale nie... To była tylko zbroja, którą się odgradzał od nieznanego i potencjalnie wrogiego środowiska.

Jego twarz zdominował przede wszystkim smutek. I samotność...

Ma też mnóstwo dobrych cech, pomyślała. Wyglądał na człowieka życzliwego, szczerego i niezachwianie uczciwego. Przypuszczalnie był uparty i skłonny do uprzedzeń. Nie umiał śmiać się z siebie ani patrzeć na siebie z dystansu. Tego rodzaju męczyzna rozkwitnie dopiero wówczas, gdy będzie się czuł kochany.

– ...i wyobraź sobie, moja droga – pułkownik dotarł właśnie do puenty – że Sayce od samego początku o wszystkim wiedział!

Wyrwana z rozmyślań Anna podjęła towarzyskie obowiązki i roześmiała się ze stosownym entuzjazmem.

# ROZDZIAŁ TRZECI

## 1

Obudziwszy się nazajutrz rano, przez dłuższą chwilę zastanawiała się, gdzie jest. Przecież szarawy zarys okna powinien być widoczny z prawej strony, nie lewej. A drzwi i szafa...

Nagle oprzytomniała. Tamto wszystko się jej śniło; była dzieckiem i mieszkała w starym rodzinnym domu w Applestream. Biegała po ogrodzie, wykrzykując z zachwytem na widok tego czy owego, a w końcu podekscytowana wpadła do domu, żeby opowiedzieć wszystko mamie i znacznie młodszej wówczas Edith. Wszystko wyglądało tak samo jak przed laty, stosunkowo ciemny hol, z którego otwierały się drzwi do salonu z perkalowymi obiciami. Ale ku jej zaskoczeniu matka powiedziała: „Dziś wypijemy herbatę tutaj” i poprowadziła ją przez kolejne drzwi do innego, nieznanego jej pomieszczenia. Był to bardzo ładny pokój, z barwnymi zasłonami i mnóstwem kwiatów, zalany słońcem. Ktoś odezwał się do niej: „Nie wiedziałaś o istnieniu tych pokoi, prawda? Znaleźliśmy je dopiero w zeszłym roku!”. Dodatkowych pomieszczeń istotnie było więcej, także na piętrze, na które biegła nowa wąska klatka schodowa. Było to niezmiernie ekscytujące.

Leżała na pół rozbudzona, a na pół pogrążona jeszcze we śnie. Wciąż była dziewczynką na progu życia. Te nieodkryte wcześniej pokoje! Dziwne, że przez tyle lat o nich nie wiedziała. Kiedy je odnaleziono? Ostatnio? Czy wiele lat temu?

Przez rozkoszne opary zaczęła się przesączać rzeczywistość. To wszystko był sen, szczęśliwy sen. Zmącony teraz bólem tęsknoty za przeszłością. Szkoda, że nie mogła już tam wrócić. I jakież to dziwne, że sen o odkryciu w domu nowych pokoi sprawił jej ekstatyczną wręcz przyjemność. Na myśl, że te pokoje nigdy nie istniały, poczuła prawdziwy smutek.

Leżała w łóżku, patrząc, jak przesłonięty storą prostokąt okna z wolna się rozjaśnia. Musi już być późno, co najmniej dziewiąta. Poranki są takie ciemne... A Sara pławi się teraz w słońcu na śnieżnych stokach Alp...

Ale co dziwne, to właśnie Sara wydawała jej się w tej chwili jakby nierzeczywista. Daleka, nieważna...

Prawdziwy był dom w Kumbrii, barwny perkal, kwiaty, słońce – i matka. Oraz Edith, wyprężona na baczność i na przekór swej młodej, niepobruźdzonej jeszcze twarzy, skwaszona tak samo jak zawsze.

Anna uśmiechnęła się i zawołała:

– Edith!

Gospościa weszła i rozsunęła zasłony.

– No – mruknęła z aprobatą. – Wreszcie się pani wyspała jak należy. Nie budziłam, bo też dzień nie zapowiada się ładny. Idzie mgła.

Świat za oknem miał brudnożółte zabarwienie. Nie wyglądał kusząco, lecz uczucie błogości wciąż nie opuszczało Anny. Leżała w łóżku, uśmiechając się do siebie.

– Śniadanie gotowe. Zaraz przyniosę. – Edith zatrzymała się na progu i obrzuciła chlebobawczynię zaciekawionym spojrzeniem. – Wygląda dziś pani na zadowoloną z siebie. Miło pani spędziła wczorajszy wieczór?

– Wczoraj? – Anna przez moment usiłowała sobie przypomnieć. – Ach, tak, rzeczywiście, było bardzo przyjemnie. Wiesz, tuż przed przebudzeniem śniło mi się, że jestem znów w domu. I ty tam byłaś, trwało

lato, a dom miał nowe pokoje, o których wcześniej nikt nie wiedział.

– I chwala Bogu – skwitowała Edith. – Pokoi tam było aż nadto. Wielka stara landara. A kuchnia! Kiedy sobie pomyślę, ile musiała zżerać węgla! Na całe szczęście węgiel wtedy był tani.

– Byłaś jeszcze młodziutka i ja też.

– No cóż, czasu nie da się cofnąć, prawda? Choćbyśmy nie wiem jak chcieli. Tamte lata odeszły i nigdy nie wrócą.

– Odeszły i nie wrócą... – powtórzyła Anna cicho.

– Nie żebym się miała uskarżać. Zdrowie i siły wciąż mi dopisują, choć mawiają, że w średnim wieku ludzie są najbardziej podatni na te tam... guzy. Myślałam o tym ostatnio.

– Jestem pewna, że nic takiego ci nie grozi.

– Tego człowiek nigdy nie może być pewny. Dopiero kiedy go transportują do szpitala i kroją na stole operacyjnym, a wtedy z reguły już jest za późno. – Edith z ukontentowaną miną opuściła pokój.

Wróciła parę minut później, niosąc kawę i tosty.

– Smacznego. Proszę się trochę unieść, to podeprę pani plecy poduszką.

Anna podniosła na nią wzrok i powiedziała impulsywnie:

– Jaka ty jesteś dla mnie dobra!

Gospoia pokraśniała z zakłopotania.

– Aj tam, po prostu wiem, co się należy. Zresztą ktoś musi o panią dbać. Nie jest pani bynajmniej jakąś tam herod-babą. Taka pani Laura na przykład... Sam papież rzymski by jej nie podskoczył!

– Pani Laura jest znaną osobistością.

– Wiem. Słyszałam ją w radiu. Zresztą wystarczy na nią spojrzeć, żeby wiedzieć, że jest kimś. Z tego co słyszałam, udało jej się nawet złapać męża. Umarł czy uciekł?

– Zmarł.

– Na własne szczęście, jeśli mogę tak stwierdzić. To nie ten typ kobiety, z którą jakikolwiek dzentelmen czułby się szczęśliwy... chociaż nie zaprzeczę, że bywają mężowie, którzy by woleli, żeby to małżonka nosiła spodnie... – Edith ruszyła w stronę drzwi, dodając po drodze: – Niech się pani nie zrywa, moja droga. Proszę sobie poleżeć, pomyśleć o czymś miłym i korzystać z wakacji.

Wakacje, pomyślała Anna ubawiona. Też pomysły!

A jednak w pewnym sensie Edith miała rację. To były wakacje, wyrwa w uporządkowanym wzorcu życia. Kiedy się mieszka z ukochanym dzieckiem, człowiek nigdy nie jest wolny od podświadomego niepokoju. „Czy jest szczęśliwa?” – myśli. „Czy A, B albo C jest dla niej odpowiednią przyjaciółką?”, „Coś niemiłego musiało ją spotkać na tej wczorajszej potańcówce. Chciałabym wiedzieć co”.

Anna nigdy się nie wtrącała i nie zadawała pytań. Uznała, że Sara musi czuć się wolna. Nie mogła zmuszać córki do wyznań. Kiedy Sara zechce się jej zwierzyć, robi to. Musi sama uczyć się życia, sama dobierać sobie krąg znajomych. A jednak kochająca matka wciąż jest na posterunku, wciąż myśli, troska się, niepokoi. I w każdej chwili może się okazać potrzebna. Jeśli Sara zwróci się do niej po współczucie, poradę lub praktyczną pomoc, ona musi być na to gotowa.

Czasami Anna mówiła do siebie: „Pewnego dnia zobaczę, że jest nieszczęśliwa, i nawet wtedy będę musiała czekać, aż sama zacznie mówić”.

Ostatnio sen z powiek spędzał jej Gerald Lloyd – młodzieniec, który mógłby być miły, gdyby wiecznie się nad sobą nie użalał – i rosnące zaabsorbowanie Sary jego osobą. Dlatego wielką ulgę sprawiała jej myśl, że Sara nie będzie się z nim widywać co najmniej przez trzy tygodnie i pozna w tym czasie wielu innych młodych ludzi.

Tak, na okres pobytu Sary w Szwajcarii mogła zapomnieć o problemach i wreszcie się odprężyć. Na przykład poleżeć w wygodnym łóżku, zastanawiając się leniwie, co będzie dzisiaj robić. Rzeczywiście doskonale się bawiła na wczorajszym przyjęciu. Kochany James jest taki uroczy, choć równocześnie to straszny nudziarz, biedactwo! Te jego niekończące się opowieści! Doprawdy, każdy

mężczyzna po przekroczeniu czterdziestego piątego roku życia powinien złożyć uroczyste ślubowanie, że nie będzie przytaczał żadnych historyjek. Że też nikt z nich nie zauważa, jak znajomi spuszczaają nosy na kwintę, kiedy słyszą: „Nie wiem, czy wam opowiadałem o pewnym przedziwnym zdarzeniu, które miało miejsce...” i tak dalej.

Oczywiście można było na to odpowiedzieć: „Tak, James, opowiadałeś już trzykrotnie”. Tylko że wtedy biedak czułby się dotknięty. Nie, nie mogła zrobić Jamesowi czegoś takiego.

Ten drugi, Richard Cauldfield, był oczywiście znacznie młodszy, lecz pewnego dnia i on zacznie raczyć znajomych długimi i nudnymi opowieściami powtarzanymi przy każdej możliwej okazji...

Możliwe. Ale jakoś jej na to nie wyglądał. Bardziej prawdopodobne wydało jej się, że wyjdzie z niego uparciuch, moralista i mentor. Będzie się kurczowo trzymał swych uprzedzeń i z góry powziętych sądów. Takich ludzi trzeba prowadzić ostrożnie, w jedwabnych rękawiczkach...

Już teraz czasami wydaje się śmieszny, choć w gruncie rzeczy to dobry człowiek. Taki samotny! Bardzo samotny... Anna mu współczuła. Był całkiem zagubiony w nowoczesnym, frustrującym Londynie. Zastanawiała się, jaką pracę uda mu się znaleźć. Nie było to dzisiaj łatwe. Pewnie w końcu kupi gospodarstwo i osiadzie na wsi.

Ciekawe, czy go jeszcze spotka. Planowała zaprosić w najbliższej przyszłości Jamesa na kolację. Może zasugerować, żeby przyprowadził ze sobą Cauldfielda. Będzie to dobry uczynek, skoro ten człowiek najwyraźniej nie ma własnego kółka. A ona zaprosi jeszcze jedną kobietę i będą mogli zagrać w karty.

Ależ ta Edith hałasuje! Buszowała tuż za ścianą, w salonie, robiąc taki rumor jak cała ekipa remontowa. Huki, stuki, łomoty, od czasu do czasu wysoki jęk odkurzacza. Najwyraźniej poczuła się w swoim żywiole.

Kilka chwil później gosposia zajrzała do jej sypialni. Głowę miała okręconą ścierką, a na twarzy ekstazy uniesienie kapłanki odprawiającej rytualną orgię.

– Pewnie zje pani lunch poza domem? Z tą mgłą to przesadziłam, zapowiada się całkiem ładny dzień. Nie chcę przez to powiedzieć, że zapomniałam o flądrze, co to, to nie. Ale skoro przetrzymała się do rana, to przetrzyma się i do wieczora. Trzeba przyznać, że w lodówce nic się nie zaśmierdnie, ale to już jednak nie jest to samo co świeżyzna. Zawsze to powtarzam.

Anna zmierzyła ją wzrokiem i zaczęła się śmiać.

– Dobrze już, dobrze, zjem na mieście.

– Jeśli pani woli, to ja nie mam nic przeciwko temu.

– Cieszę się, kochana, tylko proszę, nie zapracuj się na śmierć. Ściągnę do pomocy panią Hopper, skoro musisz robić generalne porządki.

– Pani Hopper nie będzie mi tu hopsać! Poprzednim razem kazałam jej wyczyścić ten śliczny mosiężny ochraniacz przed kominek, który ma pani po matce, i co? Został cały w smugach. Wszystkie te kobiety nadają się co najwyżej do zmywania linoleum, bo to każdy potrafi. Pamięta pani rżnięte stalowe obramienie i kratę, które mieliśmy w Applestream? Tego to się człowiek musiał napucować! I zawsze byłam dumna z efektu, mówię pani. Poza tym jest tu kilka bardzo ładnych mebli, które aż się proszą, żeby je wypolerować do połysku. Szkoda tylko, że tak dużo szaf jest w ścianach.

– To oszczędza pracy.

– Jak na mój gust zanadto przypomina hotel. Czyli pani wychodzi? Dobrze, będę mogła pościągać wszystkie dywany.

– A wieczorem będę mogła wrócić? Czy rzeczywiście każesz mi zamieszkać w hotelu?

– Tylko bez takich żartów, panno Anno, bardzo proszę. A tak przy okazji, ten podwójny garnek, który pani ostatnio kupiła, jest nic niewart. Po pierwsze za duży, a do tego ma taki kształt, że człowiek niczego w nim porządnie nie wymiesza. Wolałabym taki sam jak ten stary.

– Obawiam się, że już takich nie robią.

– Ech, ten rząd! – sarknęła Edith z niesmakiem. – A porcelanowe miseczki do sufletu, o które prosiłam? Panienska Sara lubi suflet podany w ten sposób.

– Zupełnie o nich zapomniałam. Ale powinnam znaleźć takie jak trzeba.

– Świetnie. No to ma pani zadanie na dzisiaj.

– Doprawdy, Edith! – wykrzyknęła Anna z lekką irytacją. – Można by pomyśleć, że jestem małą dziewczynką, której każesz iść się pobawić piłką w ogrodzie.

– Bo jakoś tak jest, że faktycznie pod nieobecność panienski Sary wydaje się pani młodsza. Ale ja tylko próbowałam poddać pani myśl... – Edith wyprostowała się sztywno na całą swoją wysokość i dokończyła kwaśnym tonem urażonej cnoty: – że gdyby przypadkiem znalazła się pani w pobliżu Army and Navy Stores albo magazynu Johna Bakera...

– Dobrze, Edith. Możesz iść się pobawić w salonie.

– No też coś! – fuknęła oburzona gosposia i wycofała się z godnością.

Stuki i łomoty rozległy się od nowa, a po chwili dołączył do nich kolejny dźwięk – wysoki i skrzekliwy głos Edith, wzniesiony w wyjątkowo ponurej pieśni:

*Po tym padole łez i cierpienia  
W ciemności błądzim, lud Twój wylękły,  
Obmyj nas, Panie, krwi swej strumieniem,  
Byśmy płakali za grzechy.*

## 2

Rekonesans w dziale ceramicznym składnicy sprawił Annie nieoczekiwaną przyjemność. W czasach, kiedy wszystko było brzydkie i toporne, człowiek czuł ulgę, widząc, że krajowy przemysł potrafi jeszcze wyrabiać dobre szkło, fajans i porcelanę.

Odstraszające tabliczki „Tylko na eksport” nie zmąciły jej podziwu dla naczyń wystawionych w lśniących rzędach. Podeszła do stołów, na których zgromadzono odrzuty z eksportu. Kłębił się przy nich rój klientek czyhających na atrakcyjny nabytek.

Dziś Annie też się poszczęściło. Wypatrzyła prawie kompletny serwis śniadaniowy z ładnymi pękatymi filiżankami z miłego dla oka wzorzystego fajansu w ciepłej brązowej tonacji. Cena była całkiem przystępna, toteż Anna niewiele się zastanawiała. Zdążyła w ostatniej chwili. Gdy ekspedient zapisywał adres dostawy, podeszła inna kobieta, mówiąc z ozywieniem: „Weźmę ten serwis!”.

– Niestety, szanowna pani, towar został już sprzedany – oznajmił sprzedawca.

– Bardzo mi przykro – dodała nieszczерze Anna i ruszyła dalej, uskrzydłona satysfakcją z udanego zakupu. Znalazła również miski do sufletu w odpowiednim rozmiarze, tyle że szklane, nie ceramiczne. Miała nadzieję, że Edith je zaakceptuje bez nadmiernego zrzęczenia.

Ze składu naczyń przeszła na drugą stronę ulicy do działu ogrodniczego. Jedna ze skrzynek okiennych zbutwiała już na amen i chciała zamówić nową. Podawała właśnie wymiary, kiedy czyjś głos za jej plecami rzekł:

– O, dzień dobry, pani Prentice!

Obróciła się i ujrzała Richarda Cauldfielda. Jego radość ze spotkania była tak wyraźna, że Anna mimo woli poczuła się mile połączona.

– A to traf, żeśmy się tu spotkali! Szczęśliwy zbieg okoliczności. Prawdę mówiąc, myślałem o pani. Widzi pani, wczoraj miałem ochotę spytać, gdzie pani mieszka i czy mógłbym któregoś dnia panią odwiedzić. Potem jednak doszedłem do wniosku, że byłoby to dość impertynenckie z mojej strony. Na pewno ma pani wielu znajomych i...

– Oczywiście, że musi mnie pan odwiedzić – przerwała mu Anna. – W istocie chcę niebawem zaprosić pułkownika Granta na obiad i zamierzałam mu zasugerować, żeby przyszedł z panem.

– Naprawdę?

Ucieszył się tak bardzo, że zaczęła mu współczuć. Biedny człowiek, musiała mu doskwierać samotność. Radosny uśmiech nadawał mu wygląd uszczęśliwionego chłopca.

– Właśnie zamawiałam nową skrzynkę okienną – powiedziała. – To jedyny ogród, na jaki może sobie człowiek pozwolić, mając mieszkanie w mieście.

– Tak, to prawda.

– A co pan tu robi?

– Oglądałem inkubatory.

– Wciąż tęskni pan za kurczętami?

– W pewnym sensie. Przyszedłem rozeznac się w nowych udogodnieniach dla rolników. Jak rozumiem, to elektryczne cacko jest ostatnim wynalazkiem.

Ruszyli razem w stronę wyjścia. W pewnej chwili Cauldfield rzucił pośpiesznie:

– Zastanawiam się... Oczywiście, o ile nie jest pani zajęta... Czy miałaby pani ochotę zjeść ze mną lunch? Jeśli nie ma pani innych planów.

– Bardzo chętnie, dziękuję. Tak się składa, że moja gosposia urządziła dziś orgię wielkich wiosennych porządków i surowo zabroniła mi wracać do domu na lunch.

Mina Richarda Cauldfielda wyrażała szok i ani odrobiny rozbawienia.

– To zakrawa na bezczelność, nie sądzi pani?

– Edith ma specjalne prawa.

– Mimo wszystko musi pani zdawać sobie sprawę, że spoufalanie się ze służbą nie popłaca.

On mnie strofuje, pomyślała Anna z rozbawieniem. Powiedziała łagodnie:

– W dzisiejszych czasach trudno znaleźć gosposię zasługującą na to miano, a już zwłaszcza taką, do której się ma zaufanie. Edith jest dla mnie bardziej przyjaciółką niż służącą. Jest w naszej rodzinie od bardzo wielu lat.

– Ach, tak – bąknął, czując, że został delikatnie skarcony, ale wyraz jego twarzy się nie zmienił. Ta ładna, miła kobieta była tyranizowana przez jakąś nieokrzesaną kuchnię. Osoba tak łagodna i uległa nie potrafi się sama obronić. – Wiosenne porządki? – mruknął. – Czy robi się je o tej porze roku?

– Właściwie nie. Powinny być zrobione w marcu. Ale moja córka wyjechała na parę tygodni do Szwajcarii i szkoda byłoby nie wykorzystać okazji. Kiedy jest w domu, za wiele się w nim dzieje.

– Pewnie pani za nią tęskni?

– O tak, bardzo.

– Dzisiejsze dziewczęta nie lubią chyba siedzieć w domu. Przypuszczam, że łakną samodzielności.

– Już nie tak jak kiedyś. Ten styl bycia stracił urok nowości.

– Ach tak. Ładna dziś pogoda, prawda? Czy chciałaby pani przejść się przez park, czy spacer panią zmęczy?

– Nie, skądże! Właśnie miałam to sama zaproponować.

Przeszli na drugą stronę Victoria Street i zeszli w dół wąską uliczką, która wyprowadziła ich tuż obok stacji metra przy St. James's Park. Cauldfield uniósł głowę i krytycznym wzrokiem zmierzył rzeźby Epsteina.

– Czy pani jest w stanie dopatrzeć się w tym piękna? Jak można to w ogóle nazywać sztuką?

– Och, myślę, że tak. To bez wątpienia jest sztuka.

– Naprawdę się pani podobają?

– Nie. Jestem staroświecka, wolę klasyczną rzeźbę i w ogóle estetykę, w której mnie wychowano. Ale to nie znaczy, że mój gust jest jedynie słuszny. Myślę, że trzeba edukować ludzi, żeby nauczyli się doceniać nowe formy artystyczne. To samo dotyczy muzyki.

– Muzyka! Trudno ją tak w ogóle nazwać!

– Panie Cauldfield, nie sądzi pan, że trzeba jednak poszerzać horyzonty?

Gwałtownie odwrócił głowę i zmierzył ją wzrokiem. Była zarumieniona i trochę speszona, ale bez zmrużenia wytrzymała jego spojrzenie.

– Czy tak? Może ma pani rację, może rzeczywiście mam ciasne horyzonty. Kiedy tak długo było się poza krajem, człowiek po powrocie krytykuje wszystko, co nie jest już dokładnie takie samo, jakie je zapamiętał. – Uśmiechnął się nagle. – Musi pani nieco mnie utemperować.

– Och, ja sama jestem nieuleczalnie staromodna! Sara często się ze mnie śmieje. Ale w głębi serca czuję ogromny żal, że... jak to ująć? Człowiek ma tendencję do zamykania umysłu w miarę, jak się starzeje. Szkoda. Po pierwsze często staje się wtedy nudny, ale przede wszystkim może mu umknąć coś, co jest ważne.

Richard szedł przez pewien czas w milczeniu. Potem rzekł:

– Wydaje się to absurdalne, kiedy pani mówi o starzeniu. Jest pani najmłodszą osobą, jaką poznałem od dłuższego czasu. Znacznie młodszą niż niektóre z tych strasznych dziewcząt. One mnie naprawdę przerażają.

– Mnie też. Ale przy bliższym poznaniu okazują się bardzo miłe.

Doszli do St. James's Park. Słońce wydostało się wreszcie spoza chmur i zrobiło się prawie ciepło.

– Dokąd pójdziemy?

– Przejdźmy się nad staw, do pelikanów.

W błogiej atmosferze patrzyli na ptaki, wymieniając się uwagami na temat różnych gatunków ptactwa wodnego. Odprężony i swobodny, Richard zachowywał się z chłopięcą naturalnością i okazał się czarującym kompanem. Gawędzili, śmiali się, zaskakująco szczęśliwi w swoim towarzystwie.

Po jakimś czasie Richard zaproponował:

– Może usiadzimy na chwilę w słońcu? Nie będzie pani zimno?

– O, nie, jest tak przyjemnie!

Usiedli na dwóch parkowych krzesłach, patrząc na wodę. Sceneria w przymglonych, jakby rozwodnionych barwach przypominała japońską akwarelę.

– Jaki piękny potrafi być Londyn – powiedziała Anna cicho. – Na co dzień człowiek nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Istotnie. Za każdym razem to jest jak objawienie.

Siedzieli w milczeniu przez minutę lub dwie, po czym Richard powiedział:

– Moja żona mawiała, że Londyn jest jedynym miejscem, w którym należy obserwować przyjscie wiosny. Mówiła, że zielone pączki, kwiaty migdałowca, a potem bzu mają znacznie większą wagę na tle cegieł i tynku. Na wsi wszystko dzieje się chaotycznie i za dużo tego, żeby objąć wzrokiem. Tymczasem w podmiejskim ogródku wiosna rzeczywiście przychodzi w ciągu jednej nocy.

– Myślę, że miała rację.

– Zmarła – powiedział z wielkim wysiłkiem Richard, patrząc w bok. – Dawno temu.

– Wiem. Pułkownik Grant mi powiedział.

Richard odwrócił się i spojrzał na nią.

– Mówił, jak umarła?

– Tak.

– To coś, z czym nigdy nie zdołam się pogodzić. Zawsze będę miał uczucie, że to ja ją zabiłem.

Anna zawahała się na moment, nim odparła:

– Potrafię to zrozumieć i być może na pana miejscu czułabym się tak samo. Ale sam pan wie, że to nieprawda.

– To prawda.

– Nie. Nie z jej, to znaczy z kobiecego punktu widzenia. Kobieta akceptuje to ryzyko. Jest ono wpisane



w... w jej miłość. Pragnie dziecka, proszę o tym pamiętać. Przecież pańska żona chciała tego dziecka?

– O tak. Była bardzo szczęśliwa, ja zresztą też. Alina była zdrową, silną dziewczyną. Nie było żadnych obaw, że cokolwiek może pójść źle.

Zapadła cisza.

– Bardzo panu współczuję – szepnęła po chwili Anna.

– Minęło tyle lat...

– Dziecko też zmarło?

– Tak. Wie pani, w pewnym sensie dobrze się stało. Myślę, że nie zdołałbym pokochać tego biedactwa. Zawsze pamiętałbym o cenie za jego życie.

– Proszę mi opowiedzieć o pańskiej żonie.

Siedząc obok w bladym zimowym słońcu, zaczął mówić. Jaka była śliczna i jaka wesoła. I o jej nagłych chwilach zadumy, kiedy się zastanawiał, o czym myśli i dlaczego odeszła tak daleko.

Raz urwał i wtrącił ze zdumieniem:

– Przez lata z nikim o niej nie rozmawiałem.

– Proszę mówić – zachęciła go łagodnie Anna.

– Wszystko to trwało bardzo krótko, zbyt krótko. Trzy miesiące narzeczeństwa, potem ślub. Nie chcieliśmy hucznego wesela, ale matka Aliny nalegała.

Miesiąc miodowy spędzili we Francji. Zwiedzali zamki nad Loarą, samochodem.

– Bała się podróżować samochodem – wtrącił z roztargnieniem Richard. – Zawsze trzymała mi rękę na kolanie, jakby miało ją to uspokoić. Nie wiem, dlaczego była taka nerwowa. Nigdy nie miała wypadku. – Zamilkł, a potem dodał: – Czasami, już po jej śmierci, czułem dotyk tej dłoni, kiedy prowadziłem samochód po birmańskich drogach. Wyobrażałem go sobie... Wydawało mi się to nie do wiary, że mogła tak po prostu zniknąć, przestać być...

Tak, pomyślała Anna, tak to właśnie wygląda – niewiarygodnie. To samo odczuwała po śmierci Patricka. Że m u s i gdzieś być. Musi jakoś dać jej odczuć swą obecność. Że to niemożliwe, by tak po prostu odszedł, nie pozostawiając nic po sobie. Jakże potworna otchłań dzieli żywych od umarłych!

Richard opowiadał o małym domku z ogródkiem wciśniętym w boczny zaułek. Rosły tam stara grusza i krzew bzu. A potem, kiedy jego szorstki głos, wyrzucający urywane zdania, wreszcie umilkł, znów rzekł ze zdziwieniem:

– Zupełnie nie wiem, dlaczego opowiedziałem pani to wszystko...

Choć w rzeczywistości wiedział...

Kiedy nieśmiało spytał, czy zechce zjeść z nim lunch w klubie (mają tam, o ile wiem, salę dla dam... A może jednak woli pani pójść do restauracji?), a ona odpowiedziała, że woli klub, i kiedy oboje wstali i ruszyli w kierunku Pall Mall – przez cały czas tkwiła w nim ta wiedza, choć wzdragał się ją ująć w świadomą myśl.

To było jego pożegnanie z Aliną. Tu, w chłodnym nieziemskim pięknie zimowego parku. Pozostawił ją nad jeziorem, pod ciemnym koronkowym baldachimem nagich gałęzi.

Po raz ostatni przywołał do życia jej młodość, urodę i jej smutny los. Był to zarazem żałobny lament i hymn pochwalny...

Lecz przed wszystkim pogrzeb.

Pozostawił Alinę w parku i na londyńskie ulice wyszedł już z Anną.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

– Czy zastałam panią Prentice? – spytała wielmożna Laura Whitstable.

– Jeszcze jej nie ma, ale chyba niedługo wróci. Może zechce pani wejść i poczekać? Wiem, że chciałyby się z panią spotkać. – Edith z szacunkiem usunęła się na bok, zapraszając dostojnego gościa do mieszkania.

– Zaczekam kwadransik – zdecydowała pani Laura. – Dawno się z nią nie widziałam.

– Bardzo proszę. – Edith wprowadziła ją do salonu i przyklękła, żeby włączyć elektryczny kominek.

Pani Whitstable rozejrzała się po pokoju i wydała okrzyk zdumienia.

– Przetawiliście meble! To biurko było dawniej w przeciwnym kącie, a sofa też jest w innym miejscu.

– Pani Prentice uznała, że trzeba jej odmiany – poinformowała ją Edith. – Któregoś dnia wracam z zakupów i patrzę, a ona jeździ z meblami po pokoju. Edith, powiada do mnie, nie sądzisz, że teraz salon wygląda znacznie ładniej? Zrobiło się więcej miejsca! Mówiąc szczerze, ja tam nie widzę różnicy, ale naturalnie tego jej nie mówiłam. Damy mają prawo do kaprysów. No to powiedziałam tylko: Niech się pani nie przedzwiga. Takie ciężary to najgorsza rzecz dla wewnętrznych organów, a jak się raz oberwą, to tak łatwo nie wrócą na swoje miejsce. Wiem, bo moja bratowa tak miała. Oberwała się, podnosząc ramię okienną i już do końca swoich dni musiała leżeć na sofie.

– Prawdopodobnie zupełnie bez potrzeby – wypaliła szczerze pani Laura. – Na szczęście udało się już wykorzenić powszechne przekonanie, że leżenie na sofie jest panaceum na wszelkie dolegliwości.

– Tak, tak, teraz gonią nawet matki po porodzie! – sarknęła z dezaprobatą Edith. – Dawniej mogły sobie wypocząć chociaż miesiąc, a mojej biednej bratanicy kazali wstać i chodzić już na piąty dzień!

– I Anglicy są teraz zdrowsi niż kiedykolwiek przedtem.

– Mam nadzieję – mruknęła posepnie Edith. – Ja tam jako dziecko byłam bardzo delikatna. Myśleli, że się nie uchowam. Coraz to mdlałam i jeszcze dostawałam drgawek. A zimą to z kolei byłam cała sina. I wiecznie ciekło mi z nosa.

Niezbyt zainteresowana przeszłymi dolegliwościami Edith, pani Laura rozejrzała się po przemeblowanym salonie.

– Rzeczywiście jest lepiej – zauważyła. – Pani Prentice ma rację. Zastanawiam się, czemu wcześniej tego nie zrobiła.

– Wije gniazdko – stwierdziła Edith znacząco.

– Co?

– Wije gniazdko. Nieraz widać, jak ptaki to robią. Latają tam i z powrotem z gałązkami w dziobkach.

– Ach...

Dwie kobiety spojrzały na siebie i choć żadna nawet nie zmrużyła oka, przemknęła między nimi nic porozumienia.

– Widuje się ostatnio z pułkownikiem Grantem? – spytała od niechcienia pani Laura.

Edith potrząsnęła głową.

– Biedny pan pułkownik – westchnęła. – Gdyby mnie kto pytał, powiedziałabym, że dostał konger. – Widząc pytające spojrzenie pani Laury, dodała wyjaśniająco: – To po francusku odprawa.

– Ach, *congé*! Rozumiem.

– To był miły dżentelmen. – Edith żalobnym tonem zaakcentowała czas przeszły, jakby czytała

nekrolog. – No cóż...

Wychodząc z pokoju, dodała jeszcze:

– Powiem pani, komu się to przemeblowanie nie spodoba. Paniencie Sarze. Ona nie lubi zmian.

Laura Whitstable uniosła krzaczaste brwi. Potem zdjęła książkę z półki i zaczęła ją machinalnie kartkować.

Po pewnym czasie posłyszała szcęk klucza w zamku i drzwi mieszkania się otwały. W ciasnym przedpokoju rozległy się dwa ożywione, wesołe głosy. Jeden należał do Anny; drugi, męski, był nieznajomy.

– O, jest poczta! – ucieszyła się Anna. – List od Sary!

Weszła do salonu z kopertą w ręku i przystanęła zaskoczona.

– Laura! Jak to miło, że wpadłaś. – Obróciła się do towarzyszącego jej mężczyzny. – To pan Richard Cauldfield. Wielmożna pani Laura Whitstable.

Pani Laura dokonała w myślach prędkiej oceny. Mężczyzna dość przeciętny, przywiązujący wagę do konwenansu. Prawdopodobnie uparty. Uczciwy. Dobroduszny. Pozbawiony poczucia humoru. Raczej wrażliwy. I bardzo w Annie zakochany.

Zagaiła rozmowę w swój zwykły bezceremonialny sposób.

Anna mruknęła:

– Powiem Edith, żeby podała herbatę. – I wyszła z pokoju.

– Dziękuję za herbatę, kochana! – zawołała za nią Laura. – Już prawie szósta.

– My z Richardem się napijemy. Byliśmy na koncercie. Co ci podać?

– Brandy z wodą sodową.

– Dobrze.

– Lubi pan muzykę, panie Cauldfield? – zagadnęła Laura.

– Tak. Zwłaszcza Beethovena.

– Wszyscy Anglicy lubią Beethovena. Muszę przyznać, że mnie on usypia, ale też nie jestem szczególnie muzykalna.

– Zapali pani? – Richard podsunął jej papierośnicę.

– Nie, dziękuję, palę tylko cygara. – Obrzuciła go przenikliwym spojrzeniem i dodała: – A zatem należy pan do ludzi, którzy o godzinie szóstej wolą herbatę od koktajlu lub sherry?

– Bynajmniej. Osobiście nie przepadam za herbatą, ale do Anny jakoś ona pasuje... – Urwał. – Zabrzmiało to absurdalnie.

– Wcale a wcale. Dowodzi to dużej przenikliwości z pana strony. Nie twierdzę, że Anna nie pija koktajli ani sherry, bo to nie byłoby prawdą. Niemniej zasadniczo reprezentuje ona ten typ kobiety, która wygląda najlepiej nad serwisem do herbaty. Pięknym srebrnym georgiańskim imbrykiem i filiżankami z najcieńszej porcelany...

Richard był w siódmym niebie.

– Ma pani stuprocentową słuszność!

– Bądź co bądź znam Annę od wielu lat i bardzo ją lubię.

– Wiem. Często mówiła mi o pani. Oczywiście znam też pani nazwisko z innych źródeł.

Pani Laura zachichotała.

– O tak, jestem jedną z najbardziej znanych kobiet w Anglii. Jeśli nie uczestniczę w pracach jakiejś komisji, to wygłaszam swe poglądy na falach eteru lub orzekam, co jest dobre dla ludzkości. Mam jednak świadomość, że człowiek osiąga w życiu bardzo niewiele, a to, co osiągnie, równie dobrze mogłoby być dziełem kogo innego.

– Co też pani mówi! – zaprotestował Richard. – To przecież bardzo przygnębiający wniosek.

– Czyżby? Przecież ludzkim wysiłkom zawsze winna towarzyszyć pokora.

– Tu się z panią nie zgodzę.

– Nie?

– Nie. Uważam, że zasadniczym warunkiem, by człowiek mógł osiągnąć cokolwiek wartego zachodu, jest jego wiara w siebie.

– Dziwne.

– Ależ szanowna pani, chyba pani nie zaprzeczy...

– Mam staroświeckie poglądy. Wolałabym, żeby człowiek z n a ł siebie, a w i e r z y ł w Boga.

– Czyż wiedza i wiara nie są tym samym?

– Niestety nie. Jedną z moich ulubionych teorii... niemożliwą rzecz jasna do zrealizowania (na tym właśnie polega cały smaczek teorii), jest pomysł, aby każdy spędził miesiąc lub nawet rok w środku pustyni. Oczywiście mając w pobliżu studnię oraz suty zapas daktyli czy co się tam jada na pustyni.

– Mogłoby to być całkiem przyjemne – uśmiechnął się Richard. – Ja jednak zastrzegłbym sobie prawo do zabrania kilku literackich arcydzieł.

– Otóż nie. Żadnych książek. Czytanie to używka, która wchodzi w nałóg. Tymczasem mając pod dostatkiem jedzenia i picia i absolutnie nic do roboty, miałby pan sporą szansę poznać samego siebie od podszewki.

Richard uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Nie uważa pani, że większość ludzi bardzo dobrze siebie zna?

– Nic podobnego. W naszej epoce ludziom brakuje czasu, by zauważać cokolwiek poza swoimi zaletami.

– O co się sprzeczcacie? – Anna weszła do salonu ze szklaneczką w rękę. – Brandy dla ciebie, Lauro. Edith zaraz przyniesie herbatę.

– Wyłuszczałam właśnie panu moją teorię medytacji na pustyni.

– A, to jej konik – zaśmiała się Anna. – Siedzisz na pustyni, nic nie robiąc, dzięki czemu dowiadujesz się, jakim potworem w rzeczywistości jesteś!

– Czy każdy musi okazać się potworem? – spytał cierpko Richard. – Wiem, że psycholodzy gremialnie tak twierdzą, ale właściwie dlaczego?

– Bo kiedy człowiek ma czas poznać tylko część siebie, wybiera tę przyjemniejszą – odparowała pani Whitstable.

– Wszystko to bardzo pięknie, Lauro – wtrąciła Anna. – Ale nawet jeśli pobyt na pustyni da nam poznać wszystkie nasze wady, cóż dobrego z tego wyniknie? Czy człowiek jest w stanie się zmienić?

– Sądzę, że jest to bardzo mało prawdopodobne. Ale można przynajmniej zyskać pewne wskazówki co do tego, jak się zachowamy w pewnych okolicznościach, a co ważniejsze – dlaczego tak się zachowamy.

– Myślę, że każdy wie, jak by się zachował w danych okolicznościach. Wystarczy je sobie wyobrazić.

– Oj, Anno, Anno! Tysiące ludzi przepowiada sobie w myślach, co powie szefowi, narzeczonej albo sąsiadowi z przeciwka. Noszą w głowach przygotowane, wyczelowane kwestie. A potem, gdy przychodzi kluczowy moment, albo zapominają języka w gębie, albo też mówią zupełnie co innego. To właśnie ludzie stuprocentowo pewni, że sprostają każdemu wyzwaniu, kompletnie tracą głowę w kryzysowych sytuacjach. Tymczasem ci, którzy w głębi ducha obawiają się porażki, zaskakują sami siebie refleksem i zdolnością do trafnych decyzji.

– Jesteś niesprawiedliwa. Mówisz o rozmowach, które ludzie przeprowadzają w myśli tak, jak c h c i e l i b y, żeby się potoczyły. Większość z nich pewnie zdaje sobie sprawę, że tak nie będzie. Ja tymczasem mam na myśli zasadniczo to, że człowiek dość dobrze zna swoje reakcje i w ogóle swój charakter.

– Moje drogie dziecko! – Pani Laura emfaticznie uniosła rękę. – Sądziś więc, że znasz Annę Prentice? No, nie wiem...

Weszła Edith z herbatą.

- Wcale nie uważam się za nadzwyczaj miłą – dopowiedziała Anna z uśmiechem.
- List od panienki, proszę pani – zauważyła gospoia. – Zostawiła go pani w sypialni.
- O, dziękuję ci, Edith. – Anna wsunęła nieotwarty list pod talerzyk.

Pani Laura obrzuciła ją szybkim spojrzeniem.

Cauldfield prędko wypił herbatę, a potem się pożegnał.

– Jest taktowny – stwierdziła Anna półgłosem po jego wyjściu. – Założył, że chcemy porozmawiać bez świadków.

Laura Whitstable z uwagą przyjrzała się przyjaciółce. Była zaskoczona przemianą, jaka w niej zaszła. Spokojna uroda rozkwitła w coś, co śmiało można było nazwać pięknem. Pani Laura bywała już świadkiem owego fenomenu i знаła jego przyczynę. Rozpromienienie Anny mogło oznaczać tylko jedno: była zakochana.

Jakież to niesprawiedliwe, pomyślała pani Laura, że zakochane kobiety wyglądają najpiękniej, podczas gdy zakochani mężczyźni – jak przygnębione owce.

– To co porabiałaś ostatnio, moja droga? – spytała.

– Czy ja wiem? To i owo. Nic szczególnego.

– Richard Cauldfield to nowa znajomość?

– Tak. Poznałam go jakieś dziesięć dni temu na kolacji. Tej, na którą zaprosił mnie James Grant.

Podzieliła się z Laurą garścią informacji na temat Richarda, a na koniec spytała naiwnie:

– I jak ci się spodobał? Miły człowiek, prawda?

Laura Whitstable, która jeszcze nie zdołała zdecydować, czy polubiła Richarda Cauldfielda, czy wręcz przeciwnie, odpowiedziała natychmiast:

– O tak, bardzo!

– Wiesz, wyczuwam w nim tak wiele smutku...

Pani Laura słyszała podobne stwierdzenia setki razy. Stłumiła uśmiech i zapytała:

– A co tam u Sary?

Twarz Anny natychmiast się rozjaśniła.

– Bawi się jak szalona. Śniegu jest mnóstwo i nikt niczego sobie nie złamał.

– Edith będzie niepokieszona – wtrąciła sucho pani Laura i obie wybuchnęły śmiechem.

– Właśnie przyszedł list od niej. Czy będziesz miała coś przeciwko temu, jeśli otworzę?

– Nie, oczywiście, że nie.

Anna rozdarła kopertę i przeczytała krótki list. Potem zaśmiała się z czułością i podała arkusik przyjaciółce.

Sara pisała:

*Kochana Mamusiu!*

*Warunki śniegowe wciąż są wspaniałe. Wszyscy mówią, że tak udanego sezonu jeszcze nie było. Lou przystąpiła do egzaminu, ale niestety nie zdała. Roger wziął mnie pod swoje skrzydła i uczy; to bardzo miłe z jego strony, bo tu wśród narciarzy jest nie byle kim. Jane mówi, że wpadłam mu w oko, ale nie wydaje mi się. Sądzę raczej, że odczuwa sadystyczną przyjemność, widząc, jak płaczą mi się ręce i nogi i ląduję głową naprzód w śnieżnych zaspach. Jest tu lady Cronsham z tym okropnym Latynosem. Afiszują się w sposób dość niesmaczny. Zakochałam się w jednym z tutejszych przewodników – niewiarygodnie przystojnym! – ale na nieszczęście on jest przyzwyczajony, że wszystkie panie tracą dla niego głowę, przez co w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. Ale za to nauczyłam się tańczyć walca na łyżwach.*

*Co u Ciebie, Mateczko? Mam nadzieję, że szalejesz po mieście z wielbicielami. Uważaj na pułkownika, czasami ma taki błysk w oku, jakby chciał Cię porwać do swego haremu. Co słuchać u profesorka? Czy wciąż Ci opowiada o pikantnych zwyczajach małżeńskich u dzikich plemion?*

Pani Laura oddała Annie list.

- Faktycznie dobrze się bawi. Domyślam się, że „profesorek” to ten twój znajomy archeolog?
- Tak, Sara zawsze mi w ten sposób dokucza. Planowałam zaprosić go na lunch, ale byłam taka zajęta!
- Faktycznie wygląda na to, że nie próżnowałaś.

Anna złożyła list, rozprostowała go na powrót i zaczęła składać w harmonijkę.

- Ach...! – westchnęła.
- Co się dzieje, dziecinko?
- Chyba mogę ci powiedzieć od razu. Zresztą pewnie sama już się domyśliłaś. Richard Cauldfield poprosił mnie o rękę.
- Kiedy?
- Właśnie dziś.
- Wyjdiesz za niego?
- Chyba tak... Boże, co ja mówię? Oczywiście, że tak.
- Prędko ci to poszło!
- Chcesz powiedzieć, że za krótko się znamy? Być może, ale oboje jesteśmy zdecydowani.
- W sumie wiesz o nim sporo... od pułkownika Granta. Cieszę się, moja droga. Wyglądasz na bardzo szczęśliwą.

- Pewnie zabrzmiało to w twoich uszach idiotycznie, ale ja go naprawdę bardzo kocham.
- Dlaczego miałyby brzmieć idiotycznie? Zresztą to, że go kochasz, wyraźnie widać.
- A on mnie.
- To też rzuca się w oczy. Nigdy w życiu nie widziałam mężczyzny z tak jednoznacznie baranią miną!
- Co ty opowiadasz? Richard wcale tak nie wygląda!
- Zakochany mężczyzna z a w s z e wygląda jak baran. To jakieś prawo natury.
- Ale polubiłaś go, Lauro? – powtórzyła z niepokojem Anna.

Tym razem Laura Whitstable nie odpowiedziała tak pochoinnie.

- Zdajesz sobie sprawę, że to bardzo prostolinijny człowiek? – spytała z namysłem.
- Prostolinijny? Być może. Ale czy to nie zaleta?
- Różnie z tym bywa. Poza tym jest wrażliwy, a wręcz nadwrażliwy.
- Ty jednak znasz się na ludziach, Lauro. Mało kto to dostrzega.
- Jestem fachowcem. – Laura zawahała się na moment i spytała wprost: – Sara wie?
- Nie, oczywiście, że nie. Już ci mówiłam, to wszystko stało się dzisiaj.
- Miałam na myśli raczej to, czy wspominałaś o nim w swoich listach, czy że tak powiem, przetarłaś szlaki.

- Nie... właściwie nie. – Anna milczała chwilę, nim dodała: – Muszę do niej napisać.
- Tak.

Anna znów wahała się przez chwilę.

- Chyba nie będzie miała do mnie żalu, jak sądzisz?
- Trudno powiedzieć.
- To takie kochające dziecko. Nikt tego nie wie lepiej ode mnie. To znaczy... potrafi okazać miłość bez słów. Oczywiście... – Anna spojrzała błagalnie na przyjaciółkę. – Może to uznać za śmieszne.
- Może. Będziesz miała jej to za złe?
- Och, ja nie. Ale Richard...
- No tak. Richard będzie musiał to przełknąć. Na twoim miejscu jednak powiadomiłabym Sarę

o wszystkim, zanim wróci. Będzie miała trochę więcej czasu, żeby się oswoić ze zmianą sytuacji. A propos, na kiedy planujecie ślub?

– Richard chce, żebyśmy się pobrali najszybciej, jak to możliwe. No bo w sumie nie ma chyba na co czekać, prawda?

– Absolutnie. Powiedziałabym nawet, że im szybciej się pobierzecie, tym lepiej.

– Wszystko dobrze się składa, bo Richard właśnie dostał pracę u braci Hellnerów. Okazało się, że zna jednego z młodszych wspólników; z Birmy, z czasów wojny. To naprawdę szczęśliwy traf.

– Rzeczywiście wygląda na to, że los wam sprzyja. Bardzo się cieszę – powtórzyła miękko Laura Whitstable.

Potem wstała i ucałowała Annę w czoło.

– Skąd ten mars? – spytała poważnie.

– Chodzi mi o Sarę. Czy nie będzie jej przykro?

– Moja droga! Czyje życie masz przeżyć? Swoje czy córki?

– Moje, ale...

– Nawet jeśli będzie zdruzgotana, trudno! Przejdzie jej. Ona cię kocha, Anno.

– Och, wiem.

– Bycie kochanym wiele rzeczy utrudnia. Prawie każdy ma sposobność prędzej czy później się o tym przekonać. Im mniej ludzi cię kocha, tym mniej w życiu cierpisz. Ja mogę uważać się za szczęściarę: większość ludzi serdecznie mnie nie znosi; reszta pławi się w szczęśliwej obojętności.

– To nieprawda, Lauro! Ja...

– Pa, Anno. I nie zmuszaj swojego Richarda do zachwytów nade mną. Prawdę mówiąc, już dziś zdążył do mnie poczuć gwałtowną antypatię. To nieistotne.

Tegoż wieczoru, podczas bankietu, pewien uczony siedzący obok pani Laury poczuł się przykro dotknięty, kiedy objaśniwszy jej najświeższą rewolucyjną innowację w terapii wstrząsowej, dostrzegł, iż patrzy w dal niewidzącym spojrzeniem.

– Pani mnie nie słucha! – fuknął oburzony.

– Wybacz, Davidzie. Myślałam właśnie o pewnej matce i córce.

– Pacjentki? – zaciekał się uczony.

– Nie, nie pacjentki. Znajome.

– Jak sądzę, syndrom zaborczej matki?

– Nie – westchnęła pani Laura. – Widzę tam wszelkie cechy syndromu zaborczej córki.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

## 1

– No cóż, Anno, moja droga – rzekł Geoffrey Fane. – Szczerze ci gratuluję. Co właściwie się mówi przy takich okazjach? Twój wybranek jest, jeśli mogę tak stwierdzić, szczęściarzem. Tak, szczęściarzem. Nie znam go, prawda? Nie przypominam sobie tego nazwiska.

– Nie. Poznaliśmy się kilka tygodni temu.

Profesor Fane spojrzał łagodnie na Annę znad okularów, jak to miał w zwyczaju.

– No, no! – prychnął karcącym tonem. – Skąd ten pośpiech? Czy na pewno wszystko dobrze przemyślałaś?

– Na pewno.

– U ludu Matawajala okres narzeczeństwa wynosi co najmniej półtora roku...

– To musi być bardzo ostrożny lud. Zawsze myślałam, że dzicy łatwo ulegają prymitywnym popędom.

– Matawajala w żadnym razie nie są dzicy! – obruszył się profesor. – Mają rozwiniętą, wyrazistą kulturę. Rytuły małżeńskie są bardzo złożone. W przeddzień ceremonii ślubnej przyjaciółki oblubienicy... może oszczędźmy sobie szczegółów. Ale jest to naprawdę bardzo interesujące i zdaje się potwierdzać tezę, że w czasach zamierzchłych rytualne zaślubiny najwyższej kapłanki... nie, tę kwestię też pomińmy. Przejdźmy do meritum. Co chciałabyś dostać w prezencie ślubnym?

– Naprawdę nie musisz mi dawać prezentu, Geoffreyu.

– Co się daje z tej okazji... coś srebrnego, dobrze myślę? Przypominam sobie, że kupowałem kiedyś srebrny kubeczek... a nie, to było na chrzciny. Łyżki? Paterę do tostów? Ach, już wiem, flakon na róże. Tylko że, Anno, moja droga, czy ty na pewno wystarczająco dobrze znasz tego mężczyznę? Macie jakichś wspólnych przyjaciół, którzy mogliby za niego poręczyć? W gazetach czyta się o takich zdumiewających przypadkach...

– Richard nie poderwał mnie w porcie, a ja nie ubezpieczyłam się na życie na jego korzyść.

Geoffrey Fane zerknął na Annę spłoszony i z ulgą spostrzegł, że się śmieje.

– To dobrze, dobrze. Bałem się, że się na mnie pogniewasz. Ale ostrożności nigdy za wiele. A co na to wszystko twoja mała córeczka?

Twarz Anny zachmurzyła się na moment.

– Pisałam do niej, bo jest teraz w Szwajcarii, ale dotąd nie otrzymałam odpowiedzi. Oczywiście minęło bardzo niewiele czasu, ale spodziewałam się... – urwała.

– Ach, listy! Człowiek wiecznie zapomina odpisać! Mnie zdarza się to coraz częściej. Proszono mnie, abym w marcu wygłosił serię wykładów na uniwersytecie w Oslo. Miałem zamiar odpowiedzieć i całkiem wypadło mi to z głowy. Znalazłem list wczoraj w kieszeni starego palta.

– Do marca jest jeszcze dość czasu – stwierdziła Anna pocieszająco.

Geoffrey Fane zwrócił na nią smutne spojrzenie łagodnych niebieskich oczu.

– Tak, moja droga, ale zaproszenie dotyczyło minionego marca.

– O, mój Boże! Geoffreyu, jak to możliwe, żeby list tak długo leżał w kieszeni?

– Bo to było bardzo stare palto. Jeden rękaw prawie całkiem się odpruł. Nie nadawało się do noszenia i dlatego... hm, no cóż, odłożyłem je do szafy.

– Naprawdę powinieneś mieć kogoś, kto by o ciebie dbał.



– Uchowaj Boże! Kiedyś miałem bardzo obowiązkową gosposię, przy tym świetną kucharkę, lecz niestety, obsesyjną maniaczkę porządku. Wyrzuciła moje notatki na temat zaklinaczy deszczu z plemienia Bulyano. Niepowetowana strata! Tłumaczyła, że leżały w skrzynce na węgiel. Powiedziałem jej na to: Skrzynka na węgiel to nie to samo co kosz na śmieci, pani... pani... jakkolwiek się nazywała. Obawiam się, że kobietom brak poczucia hierarchii. Przywiązują absurdalnie wielką wagę do sprzątanía, które staje się dla nich aktem rytualnym.

– Niektóre całkiem poważnie je tak traktują. Pani Laura Whitstable... ale przecież ty też ją znasz, prawda? Otóż Laura przeraziła mnie kiedyś nie na żarty złowieszczą teorią dotyczącą ludzi, którzy myją szyję dwa razy dziennie. Najwyraźniej im brudniejsze masz ciało, tym czystsze serce!

– Doprawdy? No cóż, muszę już iść. – Profesor westchnął. – Będzie mi cię brakować, Anno. Wprost trudno mi wyrazić, jak bardzo będzie mi ciebie brak.

– Ależ przecież wcale mnie nie utracisz, Geoffreju. Nigdzie nie wyjeżdżam. Richard ma pracę w Londynie. Jestem pewna, że go polubisz.

Geoffrey Fane westchnął ponownie.

– To już nie to samo. Kiedy piękna kobieta wychodzi za innego mężczyznę... – Ucisnął jej dłoń. – Bardzo wiele dla mnie znaczyłaś, Anno. Czasami nawet ośmielałem się mieć nadzieję... Płonę, bo wszak taki stary ramol jak ja zanudziłby cię na śmierć. Mimo to jestem ci szczerze oddany, moja droga, i z całego serca życzę ci szczęścia. Wiesz, co zawsze przychodzi mi na myśl, kiedy o tobie myślę? Ten wyjątek z Homera. – Z uczuciem zacytował długi ustęp po grecku. – Otóż to – zakończył z uśmiechem.

– Dziękuję ci, Geoffreju. Co prawda nie zrozumiałam...

– Znaczy to, że...

– Nie, nie mów. Przekład z pewnością nie będzie tak piękny jak oryginał. Jakież to cudowny język, greka. Pa, kochany, dziękuję. Nie zapomnij kapelusza. Nie, to nie twój parasol, tylko Sary... Czekaj chwilę... Proszę, twoja teczka. – Z westchnieniem zamknęła za nim drzwi.

Edith wystawiła głowę z kuchni.

– Bezradny jak dziecko, nie? – powiedziała. – A przecież żaden z niego tępak. Nie dość, że uczony, to na swój sposób całkiem mądry człowiek. Chociaż muszę powiedzieć, że te dzikie ludy, które profesor tak kocha, są gorsząco, no skandalicznie wręcz bezwstydne. Tę drewnianą figurę od niego schowałam na tył bieliźniarki. Bogiem a prawdą przydałby się jej biustonosz, nie mówiąc już o figowym listku. A co najśmieszniejsze, staruszek chyba nigdy w życiu nie miał jednej sprośnej myśli. Zresztą nie jest nawet taki stary.

– Ma dopiero czterdzieści pięć lat.

– No proszę. Pewnie od tej całej wiedzy tak wyłysiał. Mój siostrzeniec stracił wszystkie włosy od gorączki. Był łysy jak jajo. Ale po jakimś czasie mu odrosły. Są dwa listy dla pani.

Anna wzięła je do ręki.

– Zwrot przesyłki? – Jej twarz się zmieniła. – Och, Edith, to mój list do Sary. Ależ jestem niemądra! Zaadresowałam do hotelu, a bez nazwy miejscowości. Nie wiem, co się ostatnio ze mną dzieje.

– Ja wiem – wtrąciła Edith znacząco.

– Jestem tak roztargniona... Ten drugi jest od pani Laury. Jakie to miłe z jej strony. Muszę do niej zadzwonić.

Poszła do salonu i wykręciła numer.

– Laura? Właśnie dostałam twój list. Rozpieszczasz mnie, kochana. Zawsze marzyłam, żeby mieć Picassa. Powieszę go nad biurkiem. Jesteś dla mnie taka dobra... Wyobraź sobie, Lauro, że zachowałam się jak idiotka. Napisałam do Sary, żeby poinformować ją o wszystkim, ale list wrócił, bo zaadresowałam go tylko: „Hotel des Alpes, Szwajcaria”. Potrafisz sobie coś takiego wyobrazić?

– Hm. Interesujące – zagrzemiał w słuchawce tubalny głos pani Laury.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tylko to, co powiedziałam.

– Znam ten ton. Chcesz mi dać do zrozumienia, że podświadomie wcale nie chciałam, żeby Sara dostała ten list... lub coś w tym guście. Znów ta twoja irytująca teoria, że wszystkie pomyłki są w istocie popełniane celowo.

– Nie ja jedna się pod nią podpisuję.

– No cóż, mimo to jest błędna! A efekt jest taki, że Sara pojutrze wraca do domu i o niczym nie wie. Będę jej teraz musiała o wszystkim opowiedzieć znacznie bardziej szczegółowo, co będzie o wiele bardziej kłopotliwe. I w ogóle nie wiem, od czego miałabym zacząć.

– Sama wpakowałaś się w tę sytuację, nie chcąc, żeby Sara dostała twój list.

– Ależ ja chciałam, żeby go dostała! Jesteś nieznośna.

W słuchawce rozległ się chichot.

– Cała ta twoja teoria jest śmieszna – fuknęła z irytacją Anna. – Dziś odwiedził mnie Geoffrey Fane. Właśnie znalazł zaproszenie na wykłady do Oslo, które zgubił rok temu. Pewnie powiesz, że celowo schował ten list przed samym sobą?

– A chciał jechać do Oslo? – zapytała rzeczowo pani Laura.

– Sądzę, że... no cóż, tego nie wiem.

– Interesujące – powtórzyła pani Laura tonem jawnie już kpiącym, po czym odłożyła słuchawkę.

## 2

Richard Cauldfield kupił bukiet żonkili w kwiaciarni na rogu.

Czuł się szczęśliwy. Po pierwszych wątpliwościach przyzwyczajał się do nowej posady. Merrick Hellner, jego szef, okazał się sympatycznym gościem, a przyjaźń zrodzona w Birmie przetrwała również w starym kraju. Praca nie wymagała fizycznego wysiłku. Była to rutynowa praca administracyjna, w której wykorzystywał swoją znajomość Birmy i w ogóle Wschodu. Richard nie mógł się pochwalić lotną inteligencją, lecz był za to sumienny, pracowity i miał mnóstwo zdrowego rozsądku.

Rozczarowanie, jakie odczuł po powrocie do Anglii, odeszło już w niepamięć. Czuł się tak, jakby rozpoczynał nowe życie, w którym wszystko mu sprzyja. Dobra praca, przyjazny i życzliwy pracodawca oraz w bliskiej przyszłości małżeństwo z kobietą, którą kochał.

Co dzień na nowo zdumiewał się, że zyskał jej przychyłność. Była słodka, łagodna i taka pociągająca! Lecz czasami, kiedy bardzo stanowczo wypowiadał swe poglądy na jakiś temat, napotykał jej rozbawiony wzrok. Nie przywykł do tego, by się z niego śmiano, i z początku wcale nie miał ochoty tego tolerować, ale w końcu musiał przyznać, że Anna jest wyjątkiem i nawet mu się to podoba.

Kiedy mówiła: „Czy nie nazbyt się srożysz, kochany?“, najpierw rzeczywiście marszczył z urazą brwi, ale zaraz potem wybuchał śmiechem wraz z nią i przyznawał: „Masz rację. Znów się wymądrzam”.

– Masz na mnie zbawienny wpływ, Anno – rzekł kiedyś. – Czynisz mnie lepszym człowiekiem.

– Oboje mamy na siebie dobry wpływ – odparła szybko.

– Niewiele mogę dla ciebie zrobić poza opieką i troską.

– Za bardzo się mną nie opiekuj, bo zachęcisz mnie do ulegania słabościom.

– Ty nie masz żadnych słabości.

– O, mam, Richardzie. Chcę być lubiana. Zawsze boję się kogoś urazić. Nie znoszę kłótni...

– Dzięki Bogu! Nie chciałbym mieć kłótlivej żony, która wiecznie miałaby do mnie pretensje. Widywałem już takie, uwierz mi! Najbardziej podziwiam w tobie właśnie twoją łagodność, spokój, pogodę ducha. Będziemy ze sobą bardzo szczęśliwi, najdroższa.

– Tak – szepnęła Anna. – Też tak myślę.

Richard bardzo się zmienił od dnia, gdy go poznała. W jego zachowaniu nie było już agresji człowieka zepchniętego do defensywy. Stał się, jak sam to określił, lepszy. Bardziej pewny siebie, a dzięki temu tolerancyjny i życzliwy.

Niosąc pęczek żonkili, wszedł do kamienicy, w której na trzecim piętrze mieszkała Anna. Wjechał windą, witany przyjaźnie przez portiera, który znał go już z widzenia.

Drzwi otworzyła Edith. Z głębi dobiegł zdyszany, nagłący głos Anny:

– Edith! Edith! Nie widziałaś mojej torebki? Nie mogę jej nigdzie znaleźć!

– Dzień dobry, Edith – rzekł Richard, wchodząc.

W obecności gosposi nigdy nie czuł się pewnie, starał się to zamaskować jowialną życzliwością, która nie brzmiała do końca szczerze.

– Dzień dobry panu – odparła z szacunkiem.

– Edith! – zawołała Anna z sypialni. – Czy ty mnie słyszysz? Chodźże tutaj!

Wybiegła do przedpokoju w tej samej chwili, w której Edith powiedziała:

– Przyszedł pan Cauldfield, proszę pani.

– Richard? – Powitała go zaskoczona i wprowadziła do salonu, rzucając przez ramię: – Koniecznie znajdź mi tę torebkę. Zobacz, czy nie leży w pokoju Sary.

– Któregoś dnia zgubi pani głowę – mruknęła gosposia i odmaszerowała.

Richard zmarszczył brwi. Nieokiełznany język Edith obrażał jego poczucie dobrego smaku. Piętnaście lat temu służba nie zwracała się w ten sposób do chlebodawców.

– Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj. – W głosie Anny zabrzmiała nutka zniecierpliwienia. – Umówiliśmy się, że przyjdiesz jutro na lunch.

– Jutro wydawało mi się zbyt odległe – wyznał z uśmiechem. – Przyniosłem ci kwiaty.

Wręczając jej żonkile, które przyjęła z radosnym okrzykiem, nagle spostrzegł, że w salonie już jest mnóstwo kwiatów. Hiacynty w doniczce na niskim stoliku przy kominku, wczesne tulipany i narcyzy w wazonach porozstawiane po pokoju.

– Bardzo tu świątecznie – zauważył.

– Naturalnie. Sara wraca dzisiaj do domu.

– Rzeczywiście! Wyobraź sobie, że całkiem o tym zapomniałem.

– Chyba żartujesz!

Tym razem w jej głosie posłyszał naganę. Naprawdę o tym zapomniał. Znał datę przyjazdu Sary, ale kiedy wczoraj byli z Anną w teatrze, żadne z nich o tym nie wspomniało. Omówili wszystko wcześniej i zgodzili się, że w dniu powrotu Sara będzie miała matkę tylko dla siebie, a Richard przyjdzie nazajutrz, by poznać przyszłą pasierbicę.

– Przepraszam cię – powiedział. – Naprawdę wyleciało mi to z pamięci. Wydajesz się bardzo podniecona – dodał z lekką dezaprobatą.

– No cóż, kiedy się kogoś długo nie widziało, jego powrót jest okazją do radości, nie sądzisz?

– Tak, chyba masz rację.

– Zaraz jadę na dworzec. – Anna zerknęła na zegarek. – Mam jeszcze trochę czasu. Zresztą pociąg z Dover na pewno się spóźni. Zawsze się spóźnia.

Edith weszła do pokoju, niosąc torebkę Anny.

– Włożyła ją pani do bieliźniarki.

– No tak, kiedy szukałam poszewek na poduszki. Powlekałaś pościel Sary w ten zielony komplet? Nie zapomniałaś?

– Czy ja kiedykolwiek o czymkolwiek zapominam?

– A o papierosach?

– Są.

– A Toby i Jumbo?

– Tak, tak, tak. – Kręcąc pobłaźliwie głową, Edith wyszła z pokoju.

– Edith! – zawołała za nią Anna. – Włóż te żonkile do wazonu.

– O ile jakiś znajde! Dobrze, niech się pani nie martwi, coś wymyślę. – Gospośia wzięła kwiaty i wyszła.

– Jesteś podekscytowana jak dziecko – rzekł Richard.

– Tak się za nią stęskniłam!

– Nie widziałas jej... ile? Aż trzy tygodnie? – zagadnął, siląc się na żartobliwy ton.

– Pewnie jestem śmieszna – Anna uśmiechnęła się rozbijając – ale tak bardzo ją kocham. Sam byś nie chciał, żebym była nieczułą matką, przyznaj.

– Oczywiście. Nie mogę się już doczekać, kiedy ją poznam.

– Jest bardzo uczuciowa, impulsywna. Na pewno się polubicie.

– Jestem tego pewien. Skoro Sara jest twoją córką, musi być uroczą dziewczyną.

– Jak miło, że to mówisz, Richardzie. – Anna oparła mu dłonie na ramionach i uniosła twarz do pocałunku. – Mój kochany... – szepnęła. – Wykaż trochę cierpliwości, dobrze? Wiadomość o naszym ślubie będzie dla niej szokiem. Gdybym tylko tak strasznie nie zaważyła z tym listem...

– Nie martw się, najdroższa. Przecież wiesz, że możesz mi zaufać. Sara może z początku być zdziwiona, lecz przekonamy ją, że to dobry pomysł. Zapewniam cię: cokolwiek powie, nie będę się czuł obrażony.

– Och, ona niczego nie p o w i e. Jest bardzo dobrze wychowana. Ale nie cierpi zmian.

– Rozchmurz się, kochanie. Przecież Sara nie zerwie naszych zapowiedzi, prawda?

Anna nie odpowiedziała na jego żart. Wciąż miała zmartwioną minę.

– Gdybym tylko napisała od razu...

Richard nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Wyglądasz jak dziecko przyłapanie na wyjadaniu konfitur! Wszystko będzie dobrze, kochana. Sara i ja wkrótce się zaprzyjaźnimy.

Anna spojrzała na niego z powątpiewaniem. Jego radosna pewność siebie nie trafiała jej do przekonania. Wolałaby, żeby odrobinę bardziej się przejmował.

– Nie możesz się zadręczać każdym drobiazgiem – dodał.

– Zwykle tego nie robię – przyznała.

– Ale dziś jesteś roztrzęsiona, podczas gdy cała sprawa jest w istocie banalnie prosta.

– No cóż, jestem... jestem po prostu nieśmiała. Zupełnie nie wiem, jak to ująć w słowa.

– Może na przykład: „Sara, to jest Richard Cauldfield. Za trzy tygodnie zostanę jego żoną”.

– Bez ogródek? – Anna uśmiechnęła się mimo woli.

– Czy nie tak jest najlepiej? – Richard odpowiedział jej uśmiechem.

– Może masz rację. – Zawahała się. – Dlaczego ty nie zdajesz sobie sprawy, jak strasznie głupio będę się przy tym czuć?

– Głupio? – Spojrzał na nią ostro.

– Trudno nie czuć się głupio, mówiąc dorosłej córce, że wychodzi się za męża.

– Nie rozumiem dlaczego.

– Na przykład dlatego, że młodzież podświadomie zakłada, że ten etap mamy już poza sobą. Jesteśmy dla nich s t a r z y. Sądzą, że miłość to znaczy zakochanie, jest zastrzeżoną domeną ludzi młodych. I pewnie wydaje im się śmieszne, kiedy dwoje ludzi w średnim wieku zakochuje się w sobie i bierze ślub.

– Nie ma w tym nic śmiesznego – rzekł sucho.

– Nie dla nas, bo my j e s t e ś m y w średnim wieku.

Richard zmarszczył brwi. Kiedy przemówił, jego głos zabrzmiał szorstko.

– Posłuchaj, Anno. Wiem, że jesteście z Sarą bardzo do siebie przywiązane. Dopuszczam myśl,

że twoja córka będzie o mnie zazdrosna. To naturalne i w pełni wybacalne. Możliwe, że Sara najpierw poczuje do mnie niechęć, ale to minie. Trzeba jej uświadomić, że masz prawo żyć własnym życiem i zaznać szczęścia.

Na policzkach Anny wykwitł lekki rumieniec.

– Sara na pewno nie będzie mi zazdrościć „szczęścia”, jak to ująłeś – wypaliła. – Nie jest złośliwa ani małostkowa. Przeciwnie, ma wielkie, czułe, kochające serce.

– Prawda jest taka, że denerwujesz się zupełnie bez powodu. Równie dobrze Sara może być uszczęśliwiona twoim zamążpójściem. Dzięki niemu ona sama zyska więcej swobody.

– Swobody! – prychnęła pogardliwie Anna. – Doprawdy, Richardzie, przemawiasz jak postać z wiktoriańskiej powieści!

– Prawda jest taka, że matka zawsze wzdraga się wypuścić pisklę z gniazda.

– Mylisz się, Richardzie. Bardzo się mylisz.

– Nie chcę cię denerwować, kochanie, ale czasem najszczęśliwsza miłość macierzyńska może pętać i ciążyć. Pamiętam, kiedy sam byłem młody. Bardzo kochałem rodziców, ale mieszkanie z nimi pod jednym dachem bywało irytujące. Wciąż pytali, dokąd idę i o której wrócę. Nie zapomnij klucza! Nie hałasuj, kiedy będziesz wchodził! Ostatnim razem zapomniałeś zgasić światło w holu! Co, z n ó w wychodzisz? W ogóle nie bywasz w domu! Taką mamy zapłatę za wszystkie poświęcenia... – Urwał. – Kochałem ich i kochałem ten dom, ale... mój Boże, chciałem wreszcie poczuć się wolny!

– Oczywiście.

– Nie możesz więc czuć się dotknięta, jeśli się okaże, że Sara tęskni za niezależnością bardziej, niż ci się wydaje. Pamiętaj, że w dzisiejszych czasach dziewczęta pracują zawodowo.

– Sara nie jest dziewczyną tego typu.

– Ty tak twierdzisz. A jednak większość dziewcząt szuka posady.

– Zwykle z powodów finansowych, nieprawdaż?

– Co masz na myśli?

– Słowo daję, Richardzie, masz jakieś piętnaście lat opóźnienia! – sarknęła niecierpliwie Anna. – Kiedyś modna była „emancypacja”. Dziś dziewczęta pracują, ale już nie dla szyku. Przy zabójczych podatkach, cłach i całej reszcie obciążeń uczą się zawodu, żeby się utrzymać. To objaw rozsądku. Sara nie ma żadnych szczególnych zdolności. Opanowała parę języków nowożytnych i skończyła kurs bukieciarstwa. Jedna z naszych znajomych ma kwaciarnię z pracownią florystyczną i zatrudniła w niej Sarę. Obie są zadowolone, ale to tylko praca, nic więcej. Nie ma sensu dorabiać do niej niepodległościowej ideologii. Sara kocha swój dom i czuje się w nim najszczęśliwsza.

– Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałem, ale...

Urwał, bo w drzwiach pojawiła się Edith z miną kogoś, kto słyszał więcej, niż skłonny byłby przyznać.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy pani wie, która jest godzina?

Anna zerknęła na zegarek.

– Mam jeszcze sporo czasu... nie, momencik, ta sama godzina była, kiedy patrzyłam wcześniej! – Przynęła zegarek do ucha. – Stała. Która jest naprawdę, Edith?

– Jest pani już dwadzieścia minut spóźniona.

– Boże złoty, w końcu się miniemy! Dobrze, że pociągi z Dover zawsze się spóźniają. Gdzie moja torebka? A, jest. Na szczęście teraz nie ma problemu ze złapaniem taksówki. Nie, Richardzie, pojedę sama. A ty zostań, proszę, napijesz się z nami herbaty. Tak, koniecznie. Myślę, że tak będzie najlepiej. A teraz naprawdę muszę lecieć.

Wybiegła z pokoju i po chwili dał się słyszeć huk zatrząskiwanych drzwi. W biegu zahaczyła skrajem futra o pęk tulipanów, wyrzucając dwa z wazonu. Edith pochyliła się, podniosła je i starannie umieściła z powrotem, mrużąc przy tym:

– Tulipany to ulubione kwiaty panienki Sary, zwłaszcza te liliowe.

Richard nie wytrzymał i sarknął z irytacją:

– Wszystko tu się kręci wokół panienki Sary.

Edith obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Jej skwaszone oblicze nawet nie drgnęło, kiedy powiedziała bezbarwnym, pozbawionym wyrazu głosem:

– A bo ona po prostu taka jest. Da się lubić i każdy to potwierdzi. Od dawna wiadomo, że są panny i panny. Jedna robi wokół siebie bałagan, a ty po niej sprzątaj. Przynieś, podaj, podetknij wszystko pod nos, przyszyj każdy guzik. A mimo to nie ma takiej rzeczy, której by człowiek dla niej nie zrobił. Są i inne, co w ogóle nie sprawiają kłopotu, czyściutkie, schludne, poskładane, a mimo to jakoś ich człowiek nie lubi. Niech pan mówi co chce, świat po prostu nie jest sprawiedliwy. Tylko jakiś zwariowany polityk może sobie gadać o równości. Jeden dostaje pensa, a drugi kopniaka, tak jest i zawsze było.

Gderając, obeszła pokój, poprawiając to i owo, wyrównując serwetki i oklepując poduszki.

Richard zapalił papierosa i odezwał się mile:

– Służysz u pani Prentice od bardzo dawna, prawda, Edith?

– Ponad dwadzieścia lat. Dwadzieścia dwa, by rzec dokładnie. Zgodziłam się do starszej pani, jeszcze zanim panienka Anna wyszła za pana Prentice. O, to był miły dżentelmen.

Richard spojrzał na nią ostro. Jego nadwrażliwe ego od razu podsunęło mu myśl, że porównanie z tamtym wypadło na jego niekorzyść.

– Pani powiedziała ci, że wkrótce weźmiemy ślub?

Edith kiwnęła głową.

– Nie żeby trzeba mi było mówić – mruknęła.

Richard zdobył się na wysiłek, przełamał wrodzoną nieśmiałość i rzekł podniośle:

– Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi, Edith.

– Też mam taką nadzieję – odparła grobowym głosem.

– Obawiam się – ciągnął sztywno – że moja obecność dołoży ci pracy, ale najmiemy kogoś do pomocy...

– Ja tam nie lubię tych dochodzących kobiet. Kiedy jestem sama, to wiem, na czym stoję. Owszem, mężczyzna w domu wiele zmienia. Poczynając od posiłków.

– Nie jem dużo – zapewnił ją Richard.

– Chodzi o rodzaj posiłków – oświeciła go Edith. – Mężczyzna nie wytrzyma na przekąseczkach. Musi dobrze zjeść.

– Podczas gdy panie jadają stanowczo zbyt lekko.

– To prawda – zgodziła się Edith i bardziej niż zwykle posępnym tonem dodała: – Nie zaprzeczę, że z mężczyzną w domu jest weselej.

Richard poczuł się nieomal wdzięczny.

– To bardzo miłe, że tak mówisz – rzekł ciepło.

– Och, na mnie może pan polegać. Nie zostawię pani Prentice. Za nic bym od niej nie odeszła. A poza tym nie mam w zwyczaju odchodzić, kiedy kłują się kłopoty.

– Kłopoty? Jakie kłopoty masz na myśli?

– Ano, będzie burza.

– Burza? – powtórzył.

Spojrzała mu w oczy bez zmruczenia powiek.

– Nikt mnie o radę nie pyta – mruknęła. – A ja nie jestem taka, żebym odzywała się niepytana, ale to jedno powiem: gdyby panienka Sara po powrocie zastała was już po ślubie, byłoby znacznie lepiej, jeśli wie pan, co mam na myśli.

Dzwonek przy drzwiach wejściowych zadzwonił i nie zdążył nawet przebrzmieć, kiedy przycisk naciśnięto pośpiesznie po raz drugi i trzeci.

– No to już wiem, kto to – oznajmiła Edith, wychodząc do przedpokoju.

Kiedy otworzyła drzwi, dały się słyszeć dwa głosy, męski i damski. Rozległ się śmiech i okrzyki.

– Edith, kochana staruszko! – odezwał się ciepły dziewczęcy kontralt. – Gdzie mama? Właż, Gerry.

Wrzuć te narty do kuchni.

– Wara od mojej kuchni! – najeżyła się gospoia.

– Gdzie mama? – powtórzyła Sara Prentice, wchodząc do salonu.

Była to wysoka ciemnowłosa dziewczyna, a jej energia i promienna, wybijająca witalność zupełnie zaskoczyły Richarda Cauldfielda. Widział w mieszkaniu fotografie Sary, ale zdjęcie nigdy nie oddaje rzeczywistości. Spodziewał się młodszej wersji Anny – współczesniejszego, bardziej sportowego modelu, ale zasadniczo w tym samym typie. Tymczasem Sara Prentice była podobna do ojca. Tak samo jak on wesoła, wylewna i pełna egzotycznego uroku. Sama jej obecność zdawała się przeobrażać atmosferę w mieszkaniu.

– Jakie piękne te tulipany! – wykrzyknęła, pochylając się nad wazonem. Ten ich lekko cytrynowy zapach to sama kwintesencja wiosny... – Jej oczy rozszerzyły się lekko, gdy prostując się, dostrzegła Richarda.

Podszedł bliżej, wyciągając rękę ze słowami:

– Nazywam się Richard Cauldfield.

Sara z wdziękiem uściśnęła mu dłoń i spytała grzecznie:

– Czeka pan na mamę?

– Właśnie wyjechała po panią na dworzec. Niech sprawdzę... jakieś pięć minut temu.

– Bez sensu! Dlaczego Edith nie wyprawiła jej na czas? Edith!

– Zegarek jej stanął.

– Te jej zegarki...! Gerry! Gdzie jesteś, Gerry?

Do salonu zajrzał objuczony dwiema walizkami młody mężczyzna o przystojnej, choć nieco poirytowanej twarzy.

– Gerry, robot transportowy – przedstawił się. – Gdzie mam to postawić? I dlaczego w tej kamienicy nie ma portierów?

– Są, tylko zawsze znikają, ilekroć ktoś przyjedzie z bagażami. Zanieś je do mojego pokoju. A, właśnie. To jest pan Lloyd. A to jest pan... pan...

– Cauldfield – powtórzył Richard.

Weszła Edith. Sara objęła ją w pół i wycisnęła głośnego całusa na policzku.

– Edysiu, tak się stęskniłam za twoją skrzywioną mordką!

– Mordka, też coś! – prychnęła Edith ze wzgardą. – I niech mnie panienska nie obcałowuje. Powinna panienska wiedzieć, co wypada.

– Tylko się nie złościć. Obie wiemy, że też się cieszysz. Jak tu czysto! Miło wrócić do domu. Te same obicia i mamina szkatułka z muszelkami... I... przestawiłyście sofę? I biurko? Było tam.

– Pani mówi, że teraz jest więcej miejsca.

– Nie. Ma wrócić tam, gdzie stało. Gerry! Gerry, gdzie jesteś?

– Co znowu?

Kiedy Gerry wrócił do salonu, Sara już ciągnęła biurko. Richard zerwał się, żeby pomóc, ale Gerry zbył go wesoło:

– Niech się pan nie kłopotczy, ja to zrobię. Gdzie chcesz je przesunąć, Saro?

– Tam gdzie było. O, tu.

Kiedy przesunęli biurko i sofę z powrotem na dawne miejsca, Sara westchnęła i oznajmiła:

– Tak jest lepiej.

– Nie jestem tego pewien. – Gerry zmierzył salonik krytycznym spojrzeniem.

– Ale ja jestem – odparowała. – Lubię, kiedy w domu nic się nie zmienia. Inaczej to nie byłby dom. Edith, a gdzie jest ta poduszka w ptaki?

– W pralni.

– No trudno. Idę na inspekcję do swojego pokoju. – Sara zatrzymała się w drzwiach i dodała: – Zrób nam po drinku. Panu... Coalfieldowi, czy tak? Panu też. Wiesz, gdzie jest wszystko?

– Jasne. – Gerry zerknął na Richarda. – Czego się pan napije? Różowego ginu? Martini z ginem i sokiem pomarańczowym?

– Nie, dziękuję. – Richard gwałtownie zerwał się z miejsca. – Na mnie już czas.

– Nie zaczeka pan na panią Prentice? – Oprócz wrodzonego wdzięku Gerry miał sympatyczny, swobodny sposób bycia. – Na pewno zaraz tu będzie. Kiedy tylko przekona się, że pociąg przyjechał wcześniej, zawróci do domu.

– Nie, muszę iść. Proszę przekazać pani Prentice, że eee... będę jutro, tak jak się umówiliśmy.

Skinął głową Gerry'emu i wyszedł do przedpokoju. Z sypialni Sary dobiegała jej wesoła paplanina.

Lepiej, jeśli go tu nie będzie. Pierwotny plan Anny był najwłaściwszy. Dziś wieczorem ona powie wszystko Sarze, on zaś przyjdzie jutro na lunch i zacznie się zaprzyjaźniać ze swoją przyszłą pasierbicą.

Był zaniepokojony i zbity z tropu, bo dziewczyna okazała się zupełnie inna, niż sobie wyobrażał. Sądził, że jest niesamodzielną, stłamszoną macierzyńską miłością Anny. Jej uroda, żywotność i pewność siebie go przeraziły.

Dotąd postrzegał ją jako abstrakcję. Teraz stała się rzeczywistością.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Sara wróciła do salonu, dopinając wzorzystą brokatową podomkę.

– Musiałam zedrzeć z siebie ten strój narciarski. Królestwo za kąpiel! Dlaczego w tych pociągach jest tak brudno? Masz dla mnie drinka, Gerry?

– Proszę uprzejmie.

– Dzięki. – Wzięła od niego szklanke. – Widzę, że udało ci się spławić tego człowieczka? Dobra robota.

– Kto to był?

– Nie mam pojęcia. Pewnie jakaś nowa zdobycz mojej matki – zachichotała i zwracając się do Edith, która weszła do salonu zaciągnąć story, spytała: – Co to za jeden?

– Przyjaciel pani Prentice. – Edith szarpnęła zasłonę i przeszła do następnego okna.

– Za długo mnie nie było. Mama ma fatalny gust do ludzi. Na szczęście wróciłam i zrobię z tym porządek.

– Ach! – Edith zasunęła storę w drugim oknie i obróciła się do Sary, patrząc jej twardo w oczy. – Nie spodobał się panience?

– Nie.

Gospoia mruknęła coś pod nosem i wyszła.

– Co ona powiedziała, Gerry?

– Chyba: „Szkoda”.

– Zabawne.

– Raczej intrygujące.

– Och, sam wiesz, jaka jest Edith. Gdzie ta mama? Dlaczego ona musi być tak okropnie niepozbitana?

– Zwykle nie robi takiego wrażenia. Ja w każdym razie tego nie stwierdziłem.

– To bardzo miło z twojej strony, że po mnie wyszedłeś. Wybacz, że nie pisałam, ale wiesz, jakie jest życie. Jak ci się udało urwać z biura na czas, żeby zdążyć na dworzec?

Gerry milczał przez chwilę.

– Ach, to nie było specjalnie trudne w zaistniałej sytuacji – bąknął.

Sara wyprostowała się i spojrzała na niego z uwagą.

– Co się dzieje? Mów!

– Nic. Po prostu nie wyszło mi najlepiej.

– Obiecałeś, że wykażesz cierpliwość i będziesz trzymał nerwy na wodzy – powiedziała oskarżycielskim tonem.

Gerry zmarszczył brwi.

– Wiem, kochanie, ale nie masz pojęcia, co przeszedłem. Dobry Boże, w Korei było piekło na ziemi, lecz przynajmniej służyłem z przyzwoitymi ludźmi. Prawdziwa dżungla to City. Żałuj, że nie znasz mojego stryja Luke’a. Spasiony tak, że trudno mu oddechać, o małych świdrujących świńskich oczkach. Cie-heszę się, że wróciłeś cały, mój chłopcze, powiada. – Obdarzony dużym talentem naśladowczym Gerry wyrzeźbił te słowa z astmatyczną sapką. – Te-heraz, kiedy to zamieszanie dobiegło końca, będziesz się mógł wre-heszcie wykazać. Brak nam rąk do pra-hacy, dzięki czemu rysują się przed tobą doskonałe widoki, jeśli solidnie przyłożysz się do roboty. Oczywiście zaczniesz na samym dole. Żadnego nepotyzmu, oto moja dewiza. Zabawa się skończyła, pora zakasać rękawy.

Gerry zerwał się i przeszedł po pokoju.

– Zabawa! Tak ten tłusty skurczybyk nazywa służbę w warunkach frontowych! Do diabła, chciałbym zobaczyć, jak celuje do niego czerwony chiński snajper! Te bogate gnojki płaszczą sobie tyłki w biurach i nigdy nie myślą o niczym prócz pieniędzy...

– Och, przestań, Gerry! – ucięła niecierpliwie Sara. – Twój stryj po prostu jest pozbawiony wyobraźni. Sam mówiłeś, że musisz mieć pracę i zarabiać pieniądze. Rozumiem, że nie jest to zbyt przyjemne, ale widzisz jakieś inne wyjście? Człowieku, mając bogatego stryjka w City, możesz się uważać za wybrańca losu! Większość ludzi oddałaby oboje oczu za kogoś takiego!

– A dlaczego jest bogaty? – zapytał z wyrzutem Gerry. – Bo tarza się w pieniądzach, które powinny należeć do mnie. Bo dziadek zapisał je stryjowi zamiast memu ojcu, który był starszym z braci...

– Czy to ważne? – wtrąciła Sara. – Zanimbyś je odziedziczył, wszystkie zjadłby podatek spadkowy.

– Ale to niesprawiedliwe!

– Życie jest niesprawiedliwe – oświadczyła z mocą. – A zrządzenie nic ci nie pomoże. Przed wszystkim wychodzisz na straszego nudziarza. Wszyscy mają już wyżej uszu płaczących opowieści, jakiego masz pecha.

– Muszę przyznać, że nie grzeszysz nadmiarem współczucia.

– Nie. Bo wierzę w absolutną szczerłość. Uważam, że powinieneś albo unieść się honorem i zrezygnować z tej pracy, albo siedzieć cicho, dziękując swoim gwiazdom, że masz bogatego stryjka ze świńskimi oczkami i astmą. Czeka, coś słyszę. Może to wreszcie mama.

Szczęknięta zasuwka w drzwiach wejściowych i po chwili do salonu wpadła zdyszana Anna.

– Sara, kochanie! Jesteś!

– Nareszcie! – Sara zamknęła matkę w objęciach. – Gdzieś ty się podziewała?

– Zegarek mi stanął.

– Na szczęście Gerry po mnie wyszedł.

– O, witaj, Gerry, nie zauważyłam cię. – Anna powitała wesoło młodego człowieka, choć w głębi duszy odczuła irytację. Miała nadzieję, że wyjazd Sary pomoże zerwać tę znajomość!

– Niechże ci się przyjrzę, kochana. Prezentujesz się bardzo sztywnie – orzekła Sara. – To nowy kapelusz, prawda? Wyglądasz prześlicznie!

– Ty też. Jaka opalona!

– Słońce i śnieg. Edith co prawda jest rozczarowana, że nie przywieźli mnie w gipsie. Wolałabyś, żebym jednak złamała parę kości, co, staruszek?

Edith, która właśnie wniosła tacę z herbatą, nie zniżyła się do bezpośredniej odpowiedzi.

– Przyniosłam trzy filiżanki – oznajmiła – choć przypuszczam, że panienka Sara i pan Lloyd nie zechcą herbaty, skoro trąbią gin.

– W twoich ustach to brzmi jak wyuzdana orgia, Edith – zauważyła Sara. – Proponowaliśmy drinka temu tam. Kto to był, mamu? Nazywał się tak jakoś podobnie do kalafiora.

– Pan Cauldfield powiedział, że nie może czekać, proszę pani – wtrąciła Edith. – Będzie jutro, tak jak się państwo umówili.

– Kto to jest ten Cauldfield, mamu, i dlaczego ma przyjść jutro? Przecież chyba nie będziemy się z nim widywać?

– Jeszcze drinka, Gerry? – spytała pośpiesznie Anna.

– Nie, dziękuję, pani Prentice, naprawdę muszę już iść. Cześć, Sara.

Dziewczyna odprowadziła go do drzwi.

– Może byśmy poszli wieczorem do kina? – spytał. – W „Academy” grają jakiś francuski film.

– O, świetnie! Albo... nie, lepiej nie. W końcu to mój pierwszy wieczór w domu. Myślę, że powinnam go spędzić z mamą. Biedulka byłaby rozczarowana, gdybym od razu dała nogę.

– Myślę, koleżanko, że jesteś przerażająco dobrą córką.

– No cóż, mam przerażająco dobrą matkę.

– Naturalnie.

– Oczywiście zadaje straszne mnóstwo pytań typu: co robiłaś i z kim. Ale w sumie jak na matkę jest bardzo rozsądna. Wiesz co, Gerry? Zobaczę. Jeśli mama nie będzie zbyt za mną tęsknić, to później do ciebie zadzwonię.

Sara wróciła do salonu i sięgnęła po ciastko.

– To te popisowe ciastka Edith – zauważyła. – Niesamowicie wykwintne. Nie mam pojęcia, jak jej się udaje zdobyć wszystkie składniki. A teraz, matuś, opowiedz mi, co porabiałaś, kiedy mnie nie było? Czy szalałaś po knajpach z pułkownikiem Grantem i resztą twoich adoratorów?

– Nie... a właściwie tak, w pewnym sensie... – Anna urwała.

Sara przyjrzała jej się uważnie.

– Czy coś się stało, mamusi?

– Nie, dlaczego miałoby się coś stać?

– Masz dziwną minę.

– Ja?

– Chcesz mi coś powiedzieć, czuję to. Naprawdę wyglądasz przedziwnie. Jakbyś miała potężne wyrzuty sumienia. No, kochana, mów mi tu zaraz, co zbroiłaś.

– Nic, to znaczy w sumie... nic takiego. Och, Saro, kochanie... wierz mi, że to niczego nie zmieni. Wszystko będzie tak samo jak zawsze, tylko... – Głos Anny załamał się i ucichł. Ależ ze mnie tchórz, pomyślała. Dlaczego wstydzę się przed własną córką?

Sara, która przez cały czas przyglądała jej się z uwagą, nagle wyszczerzyła wszystkie zęby.

– Zdaje się, że już wiem... Czy ty przypadkiem nie chcesz delikatnie dać mi do zrozumienia, że będę miała nowego tatusia?

– Och, kochanie! – Anna głośno westchnęła z bezmiernej ulgi. – Jak się tego domyśliłaś?

– Nie było to takie trudne. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam, żeby ktoś był tak straszliwie speszony. Bałaś się, że będę temu przeciwna?

– Chyba tak. Nie jesteś? Naprawdę?

– Nie – odparła poważnie Sara. – Prawdę mówiąc, uważam, że dobrze robisz. Ostatecznie tatko zmarł szesnaście lat temu. Powinnaś zorganizować sobie jeszcze jakieś życie płciowe, zanim będzie za późno. A jesteś tak straszliwie staroświecka, że zwykły romans pewnie nie wchodzi w grę.

Anna spojrzała bezradnie na swoją córkę. Nie mogła się nadziwić, jak daleko odbiegła ta rozmowa od jej wcześniejszych przewidywań.

– Tak. – Sara pokiwała głową. – Pozostaje ci tylko małżeństwo.

Kochany głuptasek, pomyślała czule Anna, ale utrzymała język za zębami.

– Nadal jeszcze wyglądasz całkiem, całkiem – ciągnęła Sara z miążdzącą szczerością ludzi młodych. – Dlatego, że masz ładną cerę. Wyglądałabyś jeszcze lepiej, gdybyś dała sobie wyskubać brwi.

– Lubię moje brwi – oświadczyła stanowczo Anna.

– W gruncie rzeczy jesteś bardzo atrakcyjna, kochana – podsumowała Sara. – Aż się dziwię, że nie wystartowałaś wcześniej. A w ogóle kim jest narzeczony? Mam trzech kandydatów: pułkownik Grant, profesor Fane i ten melancholijny Polak o niewymawialnym nazwisku. Ale stawiam na pułkownika Granta. Zaleca się do ciebie od lat.

– To nie James Grant – wypaliła bez tchu Anna – tylko Richard Cauldfield.

– Kim jest Richard Cauld... Matuś, chyba nie ten człowiek, który tu dzisiaj był?

Anna skinęła głową.

– Nie! Chyba żartujesz. Ten koszmarny nadęty sztywniak?

– Wcale nie jest nadęty – powiedziała ostro Anna.

– Doprawdy, mamu, stać cię na coś lepszego.

– Kochanie, mówisz o czymś, o czym nie masz pojęcia. Ja... bardzo mi na nim zależy.

– Chcesz powiedzieć, że się w nim zakochałaś? – W głosie Sary zadźwięczało niekłamane zdumienie.

– Naprawdę coś do niego c z u j e s z?

Anna bez słowa ponownie kiwnęła głową.

– Wiesz co – mruknęła Sara. – Trudno mi w to uwierzyć.

Anna wyprostowała się z godnością.

– Widziałas dzisiaj Richarda przez parę chwil. Kiedy go lepiej poznasz, na pewno go polubisz.

– Wygląda na buca.

– To dlatego, że jest nieśmiały.

– No cóż – burknęła Sara. – To twój pogrzeb, nie mój.

Zapadła cisza. Siedziały obie zażenowane, w milczeniu.

– Wiesz co, mateczko – odezwała się Sara po dłuższej chwili. – Naprawdę powinnaś mieć kogoś, kto by cię pilnował. Nie było mnie raptem trzy tygodnie, a ty już zdążyłaś strzelić piramidalne głupstwo.

– Saro! – Tym razem Anna się rozgniewała. – Jak możesz być taka niemiała!

– Wybacz, kochanie, ale wierzę w absolutną szczerłość.

– Ja nie.

– Jak długo to trwa?

Wbrew sobie Anna wybuchnęła śmiechem.

– Żałuj, że się nie słyszysz. Kochanie, zachowujesz się jak surowy ojciec w wiktoriańskim dramacie.

Poznałam Richarda trzy tygodnie temu.

– Gdzie?

– U Jamesa Granta. James zna go od lat. Richard wrócił niedawno z Birmy.

– Ma jakikolwiek majątek?

Anna była równocześnie zirytowana i wzruszona. Jakie śmieszne było jej dziecko, z powagą zadające jej kluczowe pytania. Powściągając złość, odparła sucho, ironicznie:

– Jest niezależny finansowo i będzie mnie w stanie utrzymać. Pracuje u braci Hellner, to duża firma w City. Na litość boską, kochanie, ktoś mógłby pomyśleć, że to ja jestem twoją córką, a nie odwrotnie.

– No cóż, kochanie, ktoś musi mieć nad tobą pieczę – odparła surowo Sara. – Jesteś absolutnie niezdolna do zadbania o własne interesy. Bardzo cię kocham i dlatego nie chcę, żebyś zrobiła sobie krzywdę. To kawaler, wdowiec czy rozwodnik?

– Wdowiec. Żona zmarła wiele lat temu, przy porodzie. Dziecko też umarło.

Sara westchnęła i potrząsnęła głową.

– Rozumiem – wycedziła. – Tak cię złapał. Zawsze dajesz się brać na litość.

– Nie bądź śmieszna, Saro!

– Ma jakieś siostry, matkę i tak dalej?

– Chyba nie ma żadnych bliskich krewnych.

– Chwała Bogu choć za to. Ma dom? Gdzie będziecie mieszkać?

– Myślę, że tutaj. Pokoi jest dość, a on pracuje w Londynie. Chyba nie będziesz miała nic przeciwko temu?

– Och, j a nie. Myślę o tobie.

– Kochanie, to przemiłe z twojej strony, ale naprawdę sama wiem najlepiej, czego chcę. I jestem pewna, że będziemy z Richardem bardzo szczęśliwi.

– A właśnie, kiedy planujecie ślub?

– Za trzy tygodnie.

– Trzy tygodnie? Nie możesz wyjść za niego tak prędko!

– Nie widzę sensu w czekaniu.

– Och, proszę cię, mateczko. Odłóż to przynajmniej na trochę. Daj mi więcej czasu, żebyśmy mogła... przywyknąć do tej myśli. Proszę.

– Sama nie wiem. Będziemy się musieli zastanowić.

– Sześć tygodni. Niech to będzie co najmniej sześć tygodni.

– W sumie nie ustaliliśmy jeszcze dokładnego terminu. Richard przyjdzie jutro na lunch. Saro, bądź dla niego miła, bardzo cię proszę.

– Oczywiście, że będę miła. Jak możesz wątpić?

– Dziękuję ci, kochanie.

– Rozchmurz się, mateczko, nie masz się czym martwić.

– Jestem pewna, że bardzo się polubicie – bąknęła słabo Anna.

Sara milczała. Anna poczuła, że znów ogarnia ją gniew.

– Mogłabyś przynajmniej spróbować!

– Powiedziałam ci, żebyś się nie martwiła – ucięła Sara. Po chwili dodała: – Pewnie chciałabyś, żebyśmy wieczór spędziła w domu?

– Dlaczego pytasz? Wybierasz się gdzieś?

– W zasadzie tak, ale nie chciałabym cię zostawiać samej.

Anna uśmiechnęła się do córki, czując, że życie znów zaczyna się toczyć zwykłym trybem.

– Nie będę sama. Tak się składa, że Laura zaprosiła mnie na wykład.

– Jak się miewa nasza stara walkiria? Niepokonana jak zawsze?

– Jak zawsze. Co prawda powiedziałam, że nie przyjdę, ale w każdej chwili mogę do niej zadzwonić.

Z równą łatwością mogłaby zadzwonić do Richarda... Czują jednak, że lepiej tego nie robić. Lepiej trzymać się z daleka od Richarda przed jutrzejszym lunchem.

– To dobrze – mruknęła Sara. – Zadzwonię do Gerry'ego.

– Wychodzisz z Gerrym?

– Tak. A co? – spytała podniesionym głosem dziewczyna.

Lecz Anna nie podjęła wyzwania. Odpowiedziała łagodnie:

– Tylko pytam...

# ROZDZIAŁ SIÓDMY

## 1

- Gerry?
- Tak?
- Nie mam ochoty na kino. Czy moglibyśmy pójść gdzieś i porozmawiać?
- Oczywiście. Chcesz coś zjeść?
- Nie dałabym rady. Edith napchała mnie po dziurki w nosie.
- Wobec tego postawię ci drinka.
- Obrzucił Sarę szybkim spojrzeniem, zastanawiając się, co ją tak wytrąciło z równowagi. Milczała. Dopiero gdy usiedli z napojami przy stoliku, wypaliła:
- Mama chce znów wyjść za mąż.
- Coś podobnego! – Gerry był szczerze zaskoczony. – Nic nie podejrzewałaś?
- A skąd! Poznała go dopiero po moim wyjeździe.
- Szybka piłka.
- O wiele za szybka. Pod pewnymi względami moja matka jest całkiem pozbawiona rozumu.
- Co to za jeden?
- Zastaliśmy go w salonie dziś po południu. Kalafior czy jak tam się nazywa.
- Ach, ten.
- Ten. Chyba zgodzisz się ze mną, że facet jest nie do przyjęcia?
- Prawdę mówiąc, nawet mu się nie przyjrzałem. – Gerry zastanowił się przelotnie. – Wydał mi się zupełnie zwyczajny.
- Absolutnie nieodpowiedni dla mamy.
- Jestem zdania, że ona najlepiej to osądzi – rzekł łagodnie Gerry.
- Wcale nie. Problem z mamą polega na tym, że jest s ł a b a. Łatwo współczuje ludziom. Musi mieć kogoś, kto o nią zadba.
- Najwyraźniej też doszła do tego wniosku.
- Tu nie ma się z czego śmiać, Gerry, sprawa jest poważna. Kalafior nie będzie dla niej dobrym mężem.
- To jej sprawa.
- Muszę się nią opiekować. Wiem to od dawna. Znam życie znacznie lepiej niż ona i jestem od niej dwa razy twardsza.
- Z tym stwierdzeniem Gerry nie próbował dyskutować, w głębi duszy bowiem przyznawał mu słusność. Mimo to poczuł niepokój.
- Jeśli jednak chce wyjść powtórnie za mąż... – rzekł powoli.
- Przerwała mu w pół zdania:
- Och, z tym się zgadzam. Mama powinna wyjść za mąż. Sama jej to powiedziałam. Od dawna była pozbawiona normalnego życia płciowego. Ale przecież nie za Kalafiora!
- A nie sądzisz... – Gerry urwał, zawahał się.
- Co?
- Że... że tak samo zareagowałabyś na każdego? – Nie czuł się z tym pewnie, ale brnął dalej: – Tak

naprawdę nie wiesz, czy Kalafior będzie dla niej zły czy dobry. Zamieniłaś z nim raptem dwa słowa. Nie sądzisz, że w rzeczywistości jesteś... – Wyartykułowanie ostatniego słowa kosztowało go wiele odwagi, ale zdołał je wydusić: – zazdrosna?

Sara natychmiast się uniosła.

– Zazdrosna? Ja? Mój drogi! Czy nie powiedziałam dawno temu, jeszcze przed wyjazdem do Szwajcarii, że mama powinna się powtórnie wydać?

– Tak. Ale... – Tu Gerry wykazał się rzadką przenikliwością. – Czym innym jest mówić coś teoretycznie, a czym innym, gdy to dzieje się naprawdę.

– Zazdrość nie leży w moim charakterze – oznajmiła wyniośle Sara. – Myślę tylko o szczęściu mojej matki.

– Na twoim miejscu nie starałbym się narzucać ludziom tego, jak i z kim mają być szczęśliwi – rzekł Gerry z przekonaniem.

– Ale to jest moja własna matka!

– Tym bardziej. Sama wie, co dla niej dobre.

– Mówię ci, że ona jest słaba.

– Tak czy owak – uciął – nic nie możesz na to poradzić.

Uznał w duchu, że Sara robi wiele hałasu o nic. Miał już dość Anny i jej spraw sercowych. Chciał porozmawiać o sobie.

– Chyba rzucę tę pracę – rzekł nagle.

– U stryja? Wstydz się, Gerry!

– Dłużej tego nie wytrzymam. Za każdym razem kiedy spóźnię się choćby kwadrans, jest awantura.

– No cóż, do biur trzeba przychodzić punktualnie, prawda?

– Cholerne gryzpiórki! Świata nie widzą spoza swoich ksiąg, od rana do wieczora nic tylko kasa, kasa, kasa!

– Ale jeśli rzucisz tę pracę... co będziesz robił?

– Znajdę coś innego – rzucił beztrąsko.

– Próbowalesz już tylu różnych rzeczy... – bąknęła z powątpiewaniem.

– I zewsząd mnie wylali, to chciałaś powiedzieć? Tym razem nie będę czekał na wypowiedzenie. Sam odejdę.

– Ale czy to rozsądne? – Spojrzała na niego z macierzyńską troską. – Bądź co bądź to twój stryj i właściwie jedyny krewny, a poza tym sam mówiłeś, że jest bogaty.

– Jeśli będę grzeczny, zapisze mi wszystko w spadku? To chciałaś powiedzieć?

– No cóż, zawsze narzekasz, że nie zrobił tego stryjeczny dziadek.

– Tak, bo gdyby miał jakiegokolwiek uczucia rodzinne, nie musiałbym się teraz wysługiwać magnatom z City. Cały ten kraj jest przegniły na wylot. Jestem bliski decyzji, żeby wyjechać.

– Za granicę?

– Tak. Gdzieś, gdzie człowiek ma przed sobą perspektywy.

Oboje zamilkli, wyobrażając sobie mgliście życie z perspektywami.

Sara, zawsze mocniej od Gerry'ego stojąca na ziemi, zauważyła wnikliwie:

– A działaś tam cokolwiek bez kapitału? Bo przecież nie masz żadnego, prawda?

– Dobrze wiesz, że nie mam. Och, sądzę, że człowiek może robić wiele rzeczy.

– A konkretnie?

– Czy musisz być taka wredna?

– Wybacz. Chodziło mi o to, że nie masz żadnych zawodowych kwalifikacji.

– Jestem dobry w zarządzaniu ludźmi i lubię spędzać czas na świeżym powietrzu. Nie zamknięty w biurze.

– Och, Gerry – powiedziała Sara i westchnęła.

– Co takiego?

– Nie wiem. Życie jest jednak trudne. Wszystkie te wojny wywróciły świat do góry nogami.

Zapatrzyli się ponuro w przestrzeń.

Po chwili Gerry wspaniałomyślnie zgodził się dać stryjowi jeszcze jedną szansę. Sara przyklasnęła tej decyzji.

– Idę do domu – oznajmiła. – Mama pewnie wróciła już z odczytu.

– O czym miał być ten odczyt?

– Nie wiem. Coś w rodzaju „Dokąd zmierzamy i dlaczego”. – Wstała. – Dziękuję, Gerry. Naprawdę mi pomogłeś.

– Nie uprzedzaj się do niego z góry. Jeśli twoja mama lubi tego gościa i będzie z nim szczęśliwa, to w końcu najważniejsze.

– Jeśli mama rzeczywiście będzie z nim szczęśliwa, to nie zgłaszam zastrzeżeń.

– Ostatecznie ty też wyjdiesz za mąż... jak sądzę... niebawem... – mruknął, nie patrząc na dziewczynę.

Sara ze skupieniem wpatrywała się w swoją torebkę.

– Kiedyś na pewno – odburknęła. – Na razie mi się nie śpieszy.

Atmosfera zgęstniała od zakłopotania, które miało w sobie jednak rozkoszną słodycz...

## 2

Nazajutrz w czasie lunchu Anna odczuła wreszcie ulgę. Sara zachowywała się bez zarzutu. Gościnnie powitała Richarda i podtrzymywała grzeczną rozmowę przy posiłku.

Anna była dumna, patrząc na tę dziewczynę o żywej buzi i nieskazitelnym manierach. Powinna była wiedzieć, że może na niej polegać. Sara nigdy by jej nie zawiodła.

Żałowała natomiast, że Richard nie potrafi się pokazać od lepszej strony. Był bardzo spięty. Zależało mu na tym, by wyrzucić dobre wrażenie, i jak to często bywa w takich razach, gorliwość pogarszała tylko sytuację. Jego głos przybrał tony mentorskie, jeśli nie wręcz pompatyczne. Starając się wydać swobodnym, sprawiał wrażenie, że chce zdominować towarzystwo. Uprzejmość okazywana mu przez Sarę jeszcze to wrażenie pogłębiała. Stwierdzenia Richarda, zbyt mocno akcentowane, zdawały się wskazywać, że nie dopuszcza żadnej opinii poza własną. Anna, która wiedziała, jak bardzo w istocie brak mu pewności siebie, czuła narastającą irytację.

No bo jak mogła patrzeć na to wszystko Sara? Richard przedstawiał jej swoje najgorsze cechy, a tak ważne było, aby dostrzegła w nim najlepsze. Przez to Anna coraz wyraźniej traciła dobry humor, co z kolei, jak wkrótce spostrzegła, odbijało się na zachowaniu Richarda.

Kiedy po lunchu Edith wniosła kawę, wyszła z salonu pod pretekstem, że musi zadzwonić (drugi aparat znajdował się w jej sypialni). Miała nadzieję, że pozostawiony sam, Richard poczuje się swobodniej i pokaże więcej swojej prawdziwej natury. To ona wprowadza zbyt duże napięcie. Kiedy się usunie, atmosfera między tymi dwójkiem może się oczyścić.

Sara nalala Richardowi kawy, wypowiedziała kilka gładkich komunałów, po czym rozmowa zamarła.

Richard zebrał się na odwagę. Szczerość, jak ocenił, była dlań najlepszą drogą postępowania. Sara wywarła na nim bardzo pozytywne wrażenie. Nie okazała mu wrogości. Musiał jej dowieść, jak dobrze rozumie jej sytuację. Przed przyjściem przećwiczył kilkakrotnie, co powie – i jak wszystkie przygotowane kwestie, ta również zabrzmiała sucho i sztucznie. Chcąc poczuć się swobodniej, narzucił sobie jowialną, pewną siebie pozę, skrajnie odległą od wrodzonej mu nieśmiałości.

– Posłuchaj, młoda damo – zagaił – mam ci to i owo do powiedzenia.

– Ach tak? – Ładna buzia Sary przez moment pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. Czekająca grzecznie na to, co powie Richard, a Richard spieszył się jeszcze bardziej.



– Chcę powiedzieć, że dobrze rozumiem twoje odczucia. To wszystko musiało cię bardzo zaskoczyć. Wiem, że ty i twoja mama jesteście sobie bardzo bliskie... Nie pragnęłaś, by w waszym życiu pojawił się ktoś jeszcze. Na pewno czujesz się nieco rozgoryczona lub zazdrosna.

– Zapewniam pana, że tak nie jest – wtrąciła gładko Sara.

Zaaferowany Richard nie spostrzegł, że to zdanie było w istocie ostrzeżeniem. Brnął dalej:

– Jak mówię, byłoby to całkiem zrozumiałe. Nie będę cię ponaglał. Możesz mnie traktować tak chłodno, jak tylko zechcesz. Kiedy uznasz, że jesteś gotowa się ze mną zaprzyjaźnić, wyjdę ci naprzeciw. Musisz mieć na uwadze szczęście twojej matki.

– To właśnie mam na uwadze – poinformowała go Sara.

– Dotąd to ona robiła wszystko dla ciebie. Teraz pora zadbać o jej dobro. Nie wątpię, że chcesz, aby była szczęśliwa. Musisz pamiętać jedno: przed tobą życie, które dopiero się zaczyna. Masz swoich przyjaciół, swoje nadzieje i ambicje. Jeśli wyjdiesz za mąż albo podejmiesz jakąś pracę, twoja matka zostanie sama. I będzie się czuła bardzo samotna. To chwila, w której musisz myśleć w pierwszym rzędzie o niej, a dopiero potem o sobie.

Urwał. Stwierdził w duchu, że udało mu się wszystko zgrabnie ująć w słowa.

Jego samozadowolenie rozwiało się w jednej chwili, kiedy usłyszał głos Sary, wciąż grzeczny, ale z ledwo uchwytną nutką kpiny:

– Często pan przemawia publicznie?

Zaskoczony bąknął:

– A czemu?

– Ma pan talent.

Rozparta w fotelu, oglądała swoje paznokcie – karminowoczerwone, co tylko wzmogło irytację Richarda. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie został mile przyjęty.

Z pewnym wysiłkiem zapanował nad sobą. W rezultacie ton, jakim się odezwał, był niemal obraźliwy w swej pobłażliwości.

– Być może rzeczywiście wygłosiłem ci kazanie, moje dziecko. Ale chciałem zwrócić twoją uwagę na parę spraw, o których być może nie pomyślałaś. Jednego możesz być pewna: miłość twojej matki do mnie nie uszczupli jej miłości do ciebie.

– Naprawdę? Jak to miło, że mi pan o tym powiedział.

Teraz już nie mogło być wątpliwości, że ma w niej wroga.

Gdyby Richard opuścił gardę, gdyby powiedział po prostu: „Czuję, że nie jestem w stanie zdobyć twojego zaufania, Saro. Jestem nieśmiały, smutny i przez to mówię zupełnie nie to, co powinienem, ale bardzo kocham Annę i zależy mi na tym, żebyś mnie polubiła, o ile jesteś w stanie” – być może wówczas lodowata rezerwa Sary stajałaby nieco, bo dziewczyna miała w gruncie rzeczy dobre, życzliwe serce.

Zamiast tego jednak Richard usztywnił się jeszcze bardziej.

– Młodość z natury bywa egoistyczna. Nie myśli o nikim prócz siebie. Ale musisz pomyśleć o szczęściu twojej matki. Ma prawo do swojego życia, prawo do cieszenia się szczęściem, gdy je znajdzie. Potrzebuje kogoś, kto by się nią opiekował i ją chronił.

Sara podniosła głowę i spojrzała mu prosto w twarz. Wyraz jej oczu zbił go z tropu. Ich spojrzenie było twarde, wyrachowane.

– Co do tego całkowicie się z panem zgadzam – stwierdziła nieoczekiwanie.

Anna, kryjąc zdenerwowanie, weszła do pokoju.

– Zostało trochę kawy? – spytała.

Sara starannie nalala pełną filiżankę, wstała i wręczyła ją matce.

– Proszę. Przyszłaś w samą porę, matuś. Zdążyliśmy sobie porozmawiać – powiedziała i wyszła z pokoju.

Anna spojrzała pytająco na Richarda. Poczzerwieniał jeszcze bardziej.

- Twoja córka – rzekł – zdecydowała, że jednak mnie nie polubi.
- Bądź wobec niej cierpliwy, Richardzie, proszę cię, bądź cierpliwy.
- Nie martw się, Anno. Uzbroiłem się w cierpliwość.
- Widzisz, to dla niej jednak szok.
- I to niemały.

– Sara ma w rzeczywistości dobre, czułe serce. To takie kochane dziecko, naprawdę.

Richard nie odpowiedział. Jego zdaniem Sara była odrażającą młodą wiedźmą, ale postanowił nie mówić tego jej matce.

– Wszystko się ułoży – rzekł pocieszająco.

– Na pewno. Trzeba tylko czasu.

Zamilkli bezradnie, przytłoczeni świadomością pierwszej przegranej.

### 3

Sara poszła do sypialni. Z niewidzącymi oczyma wyjęła ubrania z szafy i rozłożyła je na łóżku.

– Co panienka robi? – spytała Edith, wchodząc.

– Och, przeglądam rzeczy. Niektóre trzeba pewnie wyprać. Albo naprawić. Albo coś.

– Już się tym zajmę. Nie musi się panienka fatygować.

Sara nie odpowiedziała. Edith zerknęła na nią szybko i ujrzała łzy wzbierające w oczach dziewczyny.

– No co ty, serduszko! Nie przejmuj się tak bardzo.

– On jest koszmarny, Edith! Odrażający! Jak mama mogła! Wszystko zepsuła, zniszczyła! Już nic nie będzie takie jak dawniej!

– No, no, panienko. Nie trzeba się tak zaperzać. Im mniej się powie, tym mniej się później żałuje.

A czego nie da się naprawić, trzeba po prostu znieść.

Sara zaśmiała się gwałtownie.

– Jeden szew w porę oszczędza łatania! A toczący się kamień nie obrasta mchem! Idź sobie, Edith.

Proszę cię, wyjdź.

Edith potrząsnęła głową ze współczuciem i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Sara zaczęła płakać, rozpaczliwie, jak dziecko. Czuła się tak, jakby świat nagle się zawalił. Niczym dziecko widziała wszędzie ciemność bez jednego krzepiącego światełka.

– Och, mammo! – wyszłochała. – Mammo, mammo, mammo!

# ROZDZIAŁ ÓSMY

## 1

- Och, Lauro, jakże się cieszę, że cię widzę!
- Laura Whitstable usiadła na prostym krześle z oparciem. Nie korzystała z foteli. Zawsze siedziała prosta jak struna.
- I jak się ułożyło?
- Anna westchnęła.
- Niestety. Sara robi trudności.
- Tego mogłaś się spodziewać, prawda? – Laura Whitstable mówiła swobodnym, lekkim tonem, ale w spojrzeniu, którym obrzuciła Annę, mignęła troska. – Nie wyglądasz za dobrze, moja droga.
- Wiem. Źle śpiam i dokuczają mi bóle głowy.
- Nie bierz wszystkiego tak poważnie.
- Łatwo ci mówić. Nie masz pojęcia, jak to przez cały czas wygląda. Niech tylko Sara i Richard znajdą się w jednym pokoju, natychmiast zaczynają się kłócić.
- Sara jest zazdrosna. To oczywiste.
- Obawiam się, że tak.
- No cóż, jak mówiłam, tego należało się spodziewać. Sara wciąż jest bardzo dziecinna. Dzieci z reguły nie znoszą, kiedy matka poświęca swój czas i uwagę komukolwiek innemu. Ale na to byłaś chyba przygotowana?
- Przynajmniej do pewnego stopnia. Sara zawsze wydawała mi się racjonalna i dojrzała. Mimo to, jak mówisz, byłam na to przygotowana. Nie spodziewałam się natomiast, że Richard będzie zazdrosny o nią.
- Dopuszczałaś myśl, że Sara zrobi z siebie idiotkę, ale od Richarda oczekiwałaś nieco większej dozy rozsądku?
- Właśnie.
- To człowiek zasadniczo pozbawiony pewności siebie. Mężczyzna obdarzony wyższą samooceną parsknąłby śmiechem i kazałby Sarze iść do diabła.
- Anna roztarła sobie czoło udręczonym gestem.
- Naprawdę, Lauro, to koszmar. Skaczą sobie do oczu o byle głupstwo, a potem patrzą na mnie, żeby sprawdzić, czyją stronę wezmę.
- Bardzo interesujące.
- Może dla ciebie, ale mnie to raczej nie bawi.
- I czyją stronę bierzesz?
- Żadnej, jeśli tylko mam pole manewru. Ale czasem...
- Tak?
- Anna milczała przez chwilę, potem stwierdziła:
- Widzisz, Lauro, Sara rozgrywa to znacznie sprytniej od Richarda.
- To znaczy?
- Zachowanie Sary jest zawsze bez zarzutu... na pozór. Jest grzeczna, uprzejma i tak dalej. Ale doskonale wie, jak mu dopiec, i robi to. Po prostu go dręczy. A on wtedy wybuchą i staje się głuchy na głos rozsądku. Boże, dlaczego oni nie mogą się polubić?

– Ponieważ jak przypuszczam, poczuli do siebie silną odruchową antypatię. Zgodzisz się z taką tezą czy twoim zdaniem to tylko zazdrość o ciebie?

– Boję się, że możesz mieć rację.

– O co się kłóć?

– O każdy drobiazg. Pamiętasz, jak przemeblowałam salonik? Zamieniłam miejscami biurko i sofę. Sara po powrocie poprzesuwała je z powrotem, bo nie lubi zmian. I na tym mogłoby się skończyć, lecz nagle pewnego dnia Richard ni stąd, ni zowąd mówi: „Zdawało mi się, że chciałaś mieć biurko tam, Anno”. Bąknęłam, że chyba było wtedy więcej miejsca. Na to Sara: „A mnie się podoba tam, gdzie zawsze było”. Richard natychmiast przybrał ten swój nieznoszący sprzeciwu ton i oznajmił: „T w ó j gust, Saro, nie jest najważniejszy. Pytałem o zdanie twoją matkę. Ustawimy meble tak, jak ona chce, i to zaraz”. Złapał za biurko, przesunął je i pyta: „Tak chciałaś?”. Zmuszona byłam odpowiedzieć zgodnie z prawdą, że tak. Ale zamiast na tym poprzestać, Richard obrócił się do Sary i spytał zaczepnie: „Jakieś obiekcje, młoda damo?”. Spojrzała na niego i odparła cichutko: „O nie, przecież najważniejsze jest to, czego chce mama. Ja się nie liczę”. I wiesz co, Lauro, chociaż w tym przypadku opowiedziałam się za Richardem, to całym sercem byłam po stronie Sary. Ona kocha swój dom i wszystkie w nim rzeczy, a Richard zupełnie tego nie rozumie. Dobry Boże, naprawdę nie wiem, co robić.

– Faktycznie, to dla ciebie ciężka próba cierpliwości.

– Spodziewam się, że w końcu się jakoś dotrą? – Anna z nadzieją zerknęła na przyjaciółkę.

– Ja bym na to nie liczyła.

– Nie starasz się mnie nawet pocieszyć!

– A co ci dobrego przyjdzie z opowiadania bajek?

– To jest podłe z ich strony. Powinni zdawać sobie sprawę, jak ogromną sprawiają mi przykrość.

Czasem czuję się chora z rozpacz.

– Użalanie się nad sobą nic ci nie pomoże, Anno. Nigdy jeszcze nikomu nie pomogło.

– Ale jestem taka nieszczęśliwa!

– Oni też, kochana. Oni też. W pierwszym rzędzie to im powinnaś współczuć. Ta sytuacja jest dla Sary nie do zniesienia... A podejrzewam, że Richard czuje się tak samo.

– Mój Boże, a byliśmy razem tacy szczęśliwi, dopóki Sara nie wróciła ze Szwajcarii...

Pani Laura uniosła lekko jedną brew, ale nic na to nie powiedziała. Po chwili spytała:

– To kiedy ślub?

– Trzynastego marca.

– Jeszcze prawie dwa tygodnie. Dlaczego go odłożyłaś?

– Sara mnie błagała. Chciała mieć więcej czasu, żeby się przyzwyczaić do tej myśli. Maglowała mnie raz po raz i w końcu ustąpiłam.

– Sara? Rozumiem... Richard nie był zadowolony?

– Niezadowolony? Prawdę mówiąc, był wściekły. Wciąż powtarza, że zanadto rozpuściłam Sarę. Jak myślisz, Lauro, czy to prawda?

– Nie, wcale tak nie uważam. Mimo całej twojej miłości do Sary nigdy nie rozpieszczałaś jej ponad miarę. I dotąd Sara zawsze okazywała ci rozsądną dozę szacunku... Na tyle, rzecz jasna, na ile zdolne jest do tego egoistyczne młode stworzenie.

– Lauro, czy sądzisz, że powinnam... – Anna urwała.

– Co takiego?

– Ach, nic. Ale czasami mam uczucie, że dłużej tego nie zniosę.

Anna umilkła, bo dał się słyszeć dźwięk otwieranych drzwi. Do salonu weszła Sara i na widok pani Whitstable rozpromieniła się nagle.

– Ciocia Laura! Nie wiedziałam, że się do nas wybierasz.

– Jakże się wie dzie mojej chrzestnej córeczce?

Sara podeszła i ucałowała ją. Jej policzek był świeży i chłodny.

– W porządku.

Anna mruknęła coś pod nosem i wyszła z pokoju. Sara odprowadziła ją wzrokiem. Kiedy się znów odwróciła i napotkała uważne spojrzenie Laury, zarumieniła się lekko.

Pani Whitstable energicznie pokiwała głową.

– Owszem. Twoja matka płakała.

Sara zadarła wysoko nos.

– Jeśli tak, to nie moja wina.

– Nie twoja? Przecież ją kochasz, prawda?

– Uwielbiam! Wiesz o tym, ciociu.

– To dlaczego ją unieszczęśliwiasz?

– Ja? Przecież ja nic nie robię.

– Wyklócasz się z Richardem.

– Ach, to! Ten człowiek jest nie do zniesienia! Nikt by z nim nie wytrzymał. Dlaczego mama tego nie widzi? Mam nadzieję, że w końcu to sobie uświadomi.

– Czy naprawdę m u s i s z dyrygować życiem innych ludzi, Saro? – zapytała poważnie Laura Whitstable. – Za czasów mojej młodości oskarżano rodziców, że robią to swoim dzieciom. Teraz, jak widzę, jest odwrotnie.

Sara przysiadła na poręczy jej krzesła.

– Ale ja się o nią martwię – wyznała. – Nie chcę, żeby mama była nieszczęśliwa. A będzie. Jest taka... taka bezbronna. Ktoś musi się o nią zatroszczyć.

Laura Whitstable ujęła opalone dłonie Sary w swoje i przemówiła z naciskiem, który przykuł uwagę dziewczyny i trochę ją wystraszył.

– Posłuchaj mnie, Saro. Słuchaj uważnie. Bądź ostrożna. Bądź bardzo ostrożna.

– Co ciocia ma na myśli?

– Bądź ostrożna – pokreśliła pani Laura – bo inaczej twoja matka zrobi coś, czego będzie żałować przez całe życie.

– No i temu właśnie...

– Ja cię tylko ostrzegam – przerwała jej Laura. – Nikt inny ci tego nie powie. – Pociągnęła nosem. – Czuję w powietrzu przykry swąd, skarbie, i powiem ci, co to jest. Zapach ofiary całopalnej. Bardzo nie lubię takich ofiar.

Zanim zdołała dodać cokolwiek więcej, drzwi się otworzyły i Edith zaanonsowała:

– Pan Lloyd.

– Cześć, Gerry! – Sara zerwała się z poręczy. – Ciociu, to jest Gerry Lloyd. A to moja chrzestna matka, wielmożna pani Laura Whitstable.

Gerry uściśnął dłoń starszej pani i zauważył:

– Chyba słyszałem wczoraj panią w radiu.

– Jakże mnie to cieszy.

– To była pani druga pogadanka z cyklu „Jak w dzisiejszych czasach pozostać żywym”. Zrobiła na mnie duże wrażenie.

– Tylko bez impertynencji, młody człowieku! – Pani Laura puściła do niego oko.

– Naprawdę! Miałem uczucie, że zna pani odpowiedzi na większość fundamentalnych pytań.

– Ach! – westchnęła pani Laura. – Bo znacznie łatwiej jest powiedzieć komuś, jak ma upiec ciasto, niż zrobić to samemu. I znacznie przyjemniej... Aczkolwiek takie zabawy zgubnie działają na charakter. Zdaję sobie sprawę, że z dnia na dzień jestem coraz bardziej odrażająca.

– Wcale nie! – zaprotestowała Sara.

– Niestety tak, dziecinko. Jeszcze trochę, a zacznę dawać ludziom rady, co zawsze uważałam

za niewybaczalny grzech. No nic, zajrzę jeszcze do twojej matki.

## 2

Gdy tylko pani Laura wyszła z pokoju, Gerry rzekł bez wstępów:

– Wyjeżdżam z kraju, Saro.

Spojrzała na niego osłupiała.

– Ależ Gerry...! Kiedy?

– Lada moment. Konkretnie w przyszły czwartek.

– Dokąd?

– Do Afryki Południowej.

– Przecież to strasznie daleko!

– Owszem.

– Nie będziesz tu przyjeżdżać przez całe lata!

– Prawdopodobnie nie.

– I co tam będziesz robił?

– Uprawiał pomarańcze. Wchodzę w spółkę z dwoma facetami. Szykuje się niezła zabawa.

– Och, Gerry, naprawdę musisz jechać?

– Mam już dość Anglii. Tej ugrzecznionej przebiegłości, którą człowiek napotyka na każdym kroku.

Nic tu po mnie. Ani Anglia ze mnie, ani ja z niej nie będę miał pożytku.

– A twój stryj?

– Nie rozmawiamy już ze sobą. Aczkolwiek ciocia Lena okazała mi sporo serca. Dostałem od niej czek

i jakiś specyfik na ukąszenia węży. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Ale czy ty się w ogóle znasz na uprawie drzew pomarańczowych?

– Nic a nic. Sądzę jednak, że wkrótce się tego nauczę.

Sara westchnęła.

– Będzie mi ciebie brakować...

– Wątpię, a jeśli nawet, to niedługo – rzekł dość szorstko, nie patrząc na nią. – Jeśli ktoś wyjeżdża na drugi koniec świata, ludzie prędko o nim zapominają.

– Nieprawda!

– Nie? – Zerknął na nią ukradkiem.

Potrząsnęła głową. Zmieszani, odwrócili od siebie wzrok.

– Fajnie było... razem chodzić – bąknął Gerry.

– Tak.

– Niektórzy całkiem nieźle dorabiają się na pomarańczach.

– Podobno.

Starannie dobierając słowa, Gerry rzekł:

– Wydaje mi się, że to może być fajne życie dla... dla kobiety. Ciepły klimat i... dużo służby... i w ogóle.

– Tak.

– Ale pewnie niedługo za kogoś wyjdiesz...

– O nie! – Sara gwałtownie potrząsnęła głową. – Na pewno nieprędko. To wielki błąd, jeśli ktoś wiąże się zbyt młodo.

– Teraz tak myślisz, ale w końcu jakaś świnią skłoni cię do zmiany zdania – rzekł ponuro Gerry.

– Z natury jestem bardzo oziębła – pocieszyła go.

Wstali niezręcznie, nie patrząc sobie w oczy. W końcu Gerry, blady jak ściana, wykrztusił:

– Saro, kochanie... szaleję za tobą. Wiesz o tym?

– Naprawdę?

Powoli, jakby wbrew woli, przysunęli się do siebie. Ramiona Gerry'ego oploty dziewczynę. Pocałowali się – nieśmiało, z wahaniem...

Dziwne, pomyślał Gerry, nie spodziewał się po sobie takiej nieporadności. Lubił używać życia i miał sporo doświadczeń z dziewczynami. Tylko że to nie była jakaś tam „dziewczyna”, a jego najukochańsza Sara...

– Gerry...

– Saro...

Pocałował ją jeszcze raz.

– Nie zapomnisz o mnie, kochana? O tym, jak nam było razem dobrze i wesoło i... i w ogóle...?

– Oczywiście, że nie zapomnę!

– Będiesz do mnie pisać?

– Przecież wiesz, że nie lubię pisać listów.

– Ale do mnie napiszesz. Proszę cię, maleńka. Będę taki samotny...

Sara wyplątała się z jego objęć i zaśmiała się słabo.

– Nie będziesz samotny. Będzie tam mnóstwo dziewczyn.

– Jeśli nawet, to niezbyt porządnych. Podejrzewam jednak, że nie będzie tam nic prócz pomarańcz.

– Od czasu do czasu przyślij mi skrzynkę.

– Tak zrobię. Och, zrobiłbym dla ciebie wszystko.

– Jeśli tak, to pracuj ciężko i zrób świetny interes na tej twojej plantacji.

– Zrobię. Przysięgam ci, że zrobię.

Sara westchnęła.

– Jaka szkoda, że jedziesz. To była dla mnie taka pociecha, że mogłam z tobą o wszystkim porozmawiać.

– Jak tam Kalafior? Polubiłaś go już?

– Nie. Nigdy nie przestaniemy się kłócić. Ale wiesz co? – W jej głosie zabrzmiała radość zwycięstwa.

– Sądzę, że wygrywam!

Spojrzał na nią niepewnie.

– Chcesz powiedzieć, że twoja matka...

Sara triumfalnie skinęła głową.

– Myślę, że zaczyna dostrzegać, jaki on jest beznadziejny.

Gerry stropił się jeszcze bardziej.

– Kotku, wolałbym, żebyś nie...

– Nie wojowała z Kalafiozem? Nic z tego. Będę go zwalczać ze wszystkich sił, zębami i pazurami! Nie poddam się. Muszę uratować przed nim mamę.

– Wolałbym, żebyś się nie wtrącała do jej spraw. Twoja matka wie najlepiej, czego i kogo chce.

– Już ci mówiłam, ona jest słaba. Robi jej się kogoś żal i trzeźwy osąd diabli biorą. Ratuje ją przed nieszczęśliwym małżeństwem.

Gerry zebrał się na odwagę.

– Moim zdaniem jesteś po prostu zazdrosna.

Obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

– Tak? Dobrze! Skoro tak myślisz, to idź już sobie!

– Nie złość się na mnie. Wolałbym mieć pewność, że wiesz, co robisz.

– Oczywiście, że wiem – powiedziała.

### 3

Anna była w swojej sypialni; siedziała przed toaletką, kiedy Laura Whitstable weszła do pokoju.

– Czujesz się trochę lepiej, kochana?

– Tak. Głupio mi, że się tak rozkleiłam. Powinnam bardziej panować nad nerwami.

– Przyszedł właśnie jakiś młody człowiek, Gerald Lloyd. Czy to ten, który...

– Tak. Co o nim myślisz?

– Że Sara jest w nim po uszy zakochana.

Anna wyraźnie się zmartwiła.

– O Boże. Mam nadzieję, że nie jest aż tak źle.

– To płonna nadzieja.

– Kiedy ta znajomość nie ma żadnej przyszłości.

– Zupełnie nieodpowiedni młody człowiek, czy tak?

– Niestety, tak. – Anna znów westchnęła. – Słomiany ogień. Nie jest w stanie utrzymać żadnej pracy.

Jest atrakcyjny i trudno go nie lubić, ale...

– Za słaby, żeby się na nim oprzeć?

– Po prostu z góry widać, że nie zrobi kariery w żadnej dziedzinie. Sara wciąż powtarza, że miał pecha, ale sądzę, że to nie tylko pech. – Anna urwała i po chwili dodała: – A przecież zna wielu bardzo porządnych chłopców.

– I pewnie uważa ich za nudziarzy. Rozsądne, energiczne dziewczęta, a Sara jest naprawdę bardzo rzeczowa, zawsze mają słabość do nieudaczników. To chyba prawo natury. Muszę przyznać, że i ja poczułam do niego sympatię.

– Ty, Lauro?!

– Też mam swoje kobiece słabostki. Dobranoc, Anno, moja droga. Trzymam za ciebie kciuki.

### 4

Richard zjawił się w mieszkaniu tuż przed ósmą. Miał zjeść kolację z Anną. Sara wybierała się do restauracji i na tańce. Kiedy przyszedł, siedziała w salonie i malowała paznokcie. W powietrzu unosił się landrynkowy zapach.

Sara podniosła głowę i powiedziała: – Witaj, Richardzie – po czym podjęła przerwana operację.

Przyglądał się jej z rozdrażnieniem. Sam odczuwał nieprzyjemne zaskoczenie, obserwując swoją rosnącą niechęć do tej dziewczyny. Chciał dobrze. W wyobraźni widział się jako życzliwy, przyjazny ojczym, pobłażliwy, wręcz czuły. Był przygotowany na to, że spotka się z podejrzliwością, lecz później bez trudu rozproszy dziecięce uprzedzenia.

Tymczasem miał wrażenie, że to Sara, a nie on, kontroluje sytuację. Jej chłodna wrogość, jej pogarda, łatwo przebijały jego cienką skórę; raniły i upokarzały. Richard nigdy nie miał wysokiej samooceny, a to, jak traktowała go Sara, do reszty podkopało jego pewność siebie. Wszystkie wysiłki – najpierw, żeby oswoić dziewczynę, potem, żeby ją podporządkować – odniosły katastrofalny skutek. Zawsze mówił i robił nie to, co by należało. Nasilającej się antypatii do Sary towarzyszyły coraz większe pretensje do Anny. Anna powinna stać po jego stronie. Poprzeć go, zwrócić Sarze uwagę i przypomnieć jej, gdzie jej miejsce. Jej uparty kurs środkiem nurtu, cała ta zabawa w mediatorkę, coraz bardziej go irytowały. Nie odnosiły żadnego skutku i Anna powinna była już zdać sobie z tego sprawę.

Sara wyciągnęła rękę do suszenia, machając nią w powietrzu.

W pełni świadom, że lepiej byłoby zachować milczenie, Richard nie zdołał się powstrzymać



od uwagi:

– Wyglądasz, jakbyś miała palce umaczane we krwi. Zupełnie nie rozumiem, po co wy, dziewczęta, smarujecie sobie tym paznokcie.

– Nie rozumie pan?

Szukając w myśli bezpieczniejszego tematu, rzekł:

– Spotkałem dziś twojego przyjaciela, tego młodego Lloyda. Mówił, że wyjeżdża do Afryki Południowej.

– Odpływa w czwartek.

– Będzie musiał się nieźle napracować, jeśli chce się tam czegoś dorobić. To nie jest kraj dla ludzi, którzy łatwo się męczą.

– Jak rozumiem, wie pan wszystko o Afryce?

– Wszędzie w koloniach jest podobnie. Potrzeba tam mężczyzn z ikrą.

– Gerry ma mnóstwo ikry... jeśli koniecznie m u s i pan używać tego określenia.

– A co w nim złego?

Sara podniosła głowę i zmierzyła go zimnym wzrokiem.

– Jest obrzydliwe. Poza tym już nic – oświadczyła.

Richard oblał się szkarłatnym rumieńcem.

– Szkoda, że matka nie nauczyła cię lepszych manier – warknął.

– Byłam niegrzeczna? – Otworzyła szeroko oczy, patrząc nań z miną niewiniątka. – Tak bardzo, b a r d z o pana przepraszam!

Ta przesadzona skrucha ubodła go jeszcze mocniej.

– Gdzie Anna? – spytał szorstko.

– Przebiera się. Zaraz przyjdzie.

Sara otworzyła torebkę i uważnie przyjrzała się swojej twarzy w lusterku. Musnęła ją tu i ówdzie pudrem, jeszcze raz pomalowała usta, zadumała się nad kredką do brwi. W rzeczywistości nałożyła kompletny makijaż znacznie wcześniej. To, co robiła teraz, było grą obliczoną na wyprowadzenie Richarda z równowagi. Wiedziała, że hołduje staromodnej opinii, iż kobieta malująca się publicznie postępuje gorsząco.

– Nie przesadz – rzekł, siląc się na żartobliwy ton.

– Co proszę? – zapytała, opuszczając lusterko.

– Chodzi mi o puder i szminkę. Mężczyźni nie lubią tak mocno wymalowanych kobiet, zapewniam cię.

Wyglądasz jak...

– Jak dziwka, czy tak?

– Tego nie powiedziałem – warknął ze złością.

– Ale to pan pomyślał. – Sara wrzuciła kosmetyki do torebki. – No cóż, to nie pański zakichany interes.

– Słuchaj no...

– To moja sprawa, co i jak nakładam sobie na twarz! Ty wścibski, przemądrzały bigocie! – Sara trzęsła się z wściekłości, łzy napłynęły jej do oczu.

Richard do reszty stracił panowanie nad sobą i wrzasnął:

– A ty jesteś nieznośną, źle wychowaną smarkulą! Nie do wytrzymania!

W tejże chwili weszła Anna. Zatrzymała się w progu i spytała ze znużeniem:

– Na litość boską, o co wam chodzi tym razem?

Sara wyminęła ją i bez słowa wybiegła z salonu. Anna spojrzała na Richarda.

– Powiedziałem jej, że za mocno się maluje – bąknął.

Anna wydała głośne poirytowane westchnienie.

– Doprawdy, Richardzie, myślałam, że masz więcej rozsądku. Czy naprawdę powinno cię to obchodzić?

Richard przeszedł się po pokoju rozgniewany.

– Dobrze – fuknął. – Dobrze! Skoro ci nie przeszkadza, że twoja córka chodzi wymalowana jak ulicznica!

– Sara nie wygląda jak ulicznica! – odparła ostro Anna. – Jak mogłeś w ogóle coś takiego powiedzieć! Wszystkie dziewczęta się malują. Taka jest moda. Masz całkiem staroświeckie poglądy, Richardzie!

– Staroświecki! Nadaję się tylko do lamusa! Nie cenisz mnie zbyt wysoko, prawda?

– Och, Richardzie, czy naprawdę musimy się kłócić? Nie zdajesz sobie sprawy, że mówiąc to, co powiedziałeś o Sarze, w rzeczywistości potępiasz mnie?

– Nie mogę powiedzieć, żebym uważał cię za szczególnie zasadniczą matkę, skoro Sara jest przykładem twoich metod wychowawczych!

– To było okrutne i nieprawdziwe, Richardzie. Sara jest bardzo dobrze wychowana.

Richard opadł na sofę i westchnął:

– Niech Bóg ma w opiece mężczyznę, który pragnie poślubić matkę jedynaczki!

Oczy Anny wypełniły się łzami.

– Wiedziałaś, że mam córkę, kiedy prosiłeś mnie o rękę. Mówiłam ci, jak bardzo ją kocham i ile dla mnie znaczy.

– Ale nie wiedziałem, że jesteś całkowicie w jej władzy! Od rana do wieczora nic tylko Sara, Sara i Sara!

– Na litość boską... – Anna podeszła i usiadła obok niego. – Richardzie, spróbuj być rozsądny. Obawiałam się, że Sara może być o ciebie zazdrosna, ale nigdy nie sądziłam, że ty będziesz zazdrosny o nią!

– Nie jestem o nią zazdrosny – odburknął ponuro.

– Jesteś, kochanie.

– Zawsze stawiasz ją na pierwszym miejscu.

– Boże drogi... – Anna bezradnie przymknęła oczy. – Naprawdę nie wiem, co mam robić.

– A gdzie jest miejsce dla mnie? Nigdzie. Ja po prostu nie istnieję w twoim świecie. Odłożyłaś ślub tylko dlatego, że Sara tego zażądała.

– Chciałam jej dać więcej czasu, żeby przywykła do nowej sytuacji.

– I co, przywykła? Wykorzystuje każdą chwilę, żeby grać mi na nosie.

– Wiem, że jest trudna, ale naprawdę myślę, że przesadzasz. Biedna Sara nie może powiedzieć słowa, żebyś się na nią nie złościł.

– Biedna Sara. Biedna Sara. Widzisz? Takie jest twoje nastawienie.

– Ostatecznie Sara jest jeszcze prawie dzieckiem. Trzeba to brać pod uwagę, mieć dla niej trochę więcej wyrozumiałości. Ty natomiast jesteś dorosłym mężczyzną...

– Bo ja cię tak bardzo kocham! – wypalił rozbrajająco.

– Mój najdroższy!

– Byliśmy tacy szczęśliwi, dopóki nie wróciła.

– Wiem...

– A teraz przez cały czas mam wrażenie, że cię tracę.

– Nie tracisz mnie, Richardzie.

– Anno, najmiłsza, czy ty mnie jeszcze choć trochę kochasz?

– Bardziej niż kiedykolwiek, Richardzie – odparła, czując, jak ogarnia ją fala tkliwej namiętności. – Bardziej niż kiedykolwiek...

Obiad minął w przyjemnej atmosferze. Edith sięgnęła wyżyn sztuki kulinarnej, a pod nieobecność burzliwego wpływu Sary mieszkanie znów stało się zaciszną, spokojną przystanią.

Rozmawiali, śmiali się, przypominali różne przeszłe zdarzenia i dla obojga było to wytęsknione, błogie ukojenie.

Dopiero kiedy wrócili do salonu, gdzie wypili kawę i benedyktynekę, Richard powiedział:

– To był cudowny wieczór. Taki spokojny! Gdybyż tak mogło być zawsze!

– Będzie, Richardzie.

– Nie oszukuj się, moja droga. Wiele o tym myślałem. Prawda to nieprzyjemna rzecz, ale trzeba jej spojrzeć w oczy. Mówiąc zupełnie szczerze, boję się, że Sara i ja nigdy się nie polubimy. Jeśli zamieszkamy tu we troje, życie stanie się nie do zniesienia. W gruncie rzeczy jest tylko jedno wyjście.

– Co masz na myśli?

– Mówiąc bez ogródek, Sara będzie się musiała wyprowadzić.

– Nie, Richardzie. To niemożliwe.

– Kiedy młode panny nie są szczęśliwe w domu, wynajmują własne mieszkania.

– Sara ma dopiero dziewiętnaście lat, Richardzie.

– Istnieją stosowne pensjonaty dla młodych panien. Albo pokoje przy rodzinie... oczywiście sprawdzonej rodzinie.

Anna stanowczo potrząsnęła głową.

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy, co sugerujesz. To mianowicie, że chcąc ponownie wyjść za mąż, musiałabym odtrącić córkę lub wręcz wyrzucić ją z domu.

– Dziewczęta lubią być samodzielne.

– Nie Sara. Z całą pewnością nie zechce się stąd wyprowadzić. To jest jej dom, Richardzie.

– No cóż, ja jednak myślę, że taki plan ma szansę powodzenia. Moglibyśmy jej wyznaczyć hojne kieszonkowe, do którego chętnie się dołożę. Nie czułaby się czegokolwiek pozbawiona. Ona będzie szczęśliwa u siebie, a my szczęśliwi u siebie. Nie widzę w tym nic zdroźnego.

– Zakładasz z góry, że samotność uszczęśliwi moją córkę?

– Spodoba jej się. Mówię ci, że dziewczęta lubią być niezależne.

– Nie wiesz nic o dziewczętach, Richardzie. Myślisz tylko, czego sam chcesz.

– Proponuję rozwiązanie, które wydaje mi się najrozsądniejsze.

Anna odezwała się powoli:

– Przed obiadem mówiłeś, że stawiam Sarę na pierwszym miejscu. W pewnym sensie to prawda... i nie chodzi o to, które z was kocham bardziej. Przeciwnie, dopiero kiedy myślę o was bez emocji, rozumiem, że to przede wszystkim interes Sary muszą mieć na względzie. Bo widzisz, Richardzie, jestem za nią odpowiedzialna. I będę, dopóki Sara nie stanie się dorosłą kobietą. A jeszcze nią nie jest.

– Matki nigdy nie chcą, żeby ich dzieci dorosły.

– To bywa prawdą, ale całkiem szczerze uważam, że w przypadku mnie i Sary tak nie jest. Ja po prostu dostrzegam to, czego ty nie widzisz: że Sara jest jeszcze bardzo młoda i bezbronna.

– Bezbronna! – prychnął Richard.

– Tak właśnie uważam. Jest niepewna siebie, jeszcze lęka się życia. Gdy będzie gotowa wyfrunąć w świat, kiedy sama tego zechce, zrobię co w mojej mocy, żeby jej w tym pomóc. Ale na razie nie jest na to gotowa.

Richard westchnął.

– Trudno jest dyskutować o dziecku z jego matką – mruknął.

– Nie wyproszę swojej córki z domu – oświadczyła Anna z determinacją, której się po niej nie spodziewał. – Taki gest w sytuacji, kiedy ona tego nie chce, byłby najgorszą podłością.

– No cóż, skoro masz w tej kwestii tak niezachwiany pogląd...

– Tak właśnie. Gdybyś tylko wykazał więcej cierpliwości, skarbie... Czy nie rozumiesz, że to nie ty

jesteś outsiderem w tym układzie, tylko Sara? I ona boleśnie to odczuwa. Ale wiem, że z czasem nauczy się traktować cię jak przyjaciela. Bo ona mnie naprawdę kocha, Richardzie. I koniec końców nie chciałaby, żebym była nieszczęśliwa.

Richard spojrział na nią ze sceptycznym uśmiechem błakającym się w kąciку ust.

– Moja słodka Anno, jesteś jednak nieuleczalną optymistką.

Wtuliła się w jego ramiona.

– Bo cię kocham, najdroższy. Gdyby tylko tak strasznie nie bolała mnie głowa...

– Przyniosę ci aspirynę.

Wychodząc z pokoju, nagle zdał sobie sprawę, że każda ich rozmowa kończy się aspiryną.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

## 1

Na dwa dni niespodziewanie zapanował wytęskniony spokój. Anna nabrała otuchy. A zatem nie jest tak źle, myślała. Z czasem wszystko się ułoży. Jej apel do Richarda odniósł skutek. Za tydzień będą już małżeństwem, a później – była o tym przekonana – życie potoczy się normalniej. Sara z pewnością przestanie szukać zwady z Richardem i zacznie się bardziej interesować własnym towarzystwem.

– Czuję się dziś o niebo lepiej – powiedziała do Edith, uświadamiając sobie, że dzień bez migreny stał się czymś na kształt święta.

– Dziś spokojnie. Jak w oku cyklonu, można rzec – zgodziła się gospoia. – Bo na ogół to pan Cauldfield z panią gryzą się jak pies z kotem. Zniechcieli się od pierwszego wejrzenia.

– Ja myślę, że Sarze już troszkę przechodzi, nie sądzisz?

– Na pani miejscu nie robiłabym sobie fałszywych nadziei – oświadczyła Edith grobowym głosem.

– Ale przecież w końcu będą musieli przestać!

– Ja bym na to nie liczyła.

Anna złożyła tę opinię na karb czarnowidztwa Edith, która uwielbiała prorokować nieszczęścia.

– Ostatnio było już lepiej – powiedziała z uporem.

– To dlatego, że pan Cauldfield przychodzi w ciągu dnia, kiedy panią siedzi w tej swojej kwiaciarni, a z kolei wieczorami jesteście tylko we dwie. Poza tym martwi się, że pan Gerry wyjeżdża w obce kraje. Ale po ślubie będzie pani miała ich tu razem i wtedy rozedrą panią na strzępy.

– No wiesz! – Anna wzdrygnęła się na tę koszmarną wizję, wiernie oddającą to, co sama czuła. – Nie zniosłabym tego – powiedziała z rozpaczą. – Nienawidzę scen i kłótni. Nigdy ich nie znośłam.

– A to prawda. Żyła sobie pani cicho jak pod kloszem i takie życie pani służy.

– Ale co ja mam na to poradzić? Co ty byś zrobiła na moim miejscu, Edith?

– Nie ma co gdybać – oznajmiła służąca z nietajoną satysfakcją. – Od dziecka mnie uczono, że ten świat jest padołem łez.

– Tylko tak umiesz mnie pocieszyć?

– Bóg daje człowiekowi krzyż, żeby go wypróbować – powiedziała Edith sentencjonalnie. – No bo gdyby pani była z tych, co lubią awantury! Są takie. Na przykład druga żona mojego wuja. Nic jej bardziej nie cieszy niż porządna pyskówka. Jęzor ma niewyparzony, ale kiedy już ucichnie, nie chowa urazy i nigdy już do tego nie wraca. Mawia, że kłótnie są potrzebne, żeby oczyścić powietrze. Ja tam myślę, że to w niej buzuje irlandzka krew, bo jej matka pochodziła z Limericku. Ci ludzie nie są źli ani mściwi, ale zawsze gotowi do bitki. Panią Sara też jest taka, i nic dziwnego, bo pamiętam, jak pani mówiła, że pan Prentice był półkrwi Irlandczykiem. Ona też lubi spuścić sobie trochę pary, choć ze świecą by szukać lepszego serduszka. Jakby mnie kto pytał, to dobrze, że pan Gerry wybiera się za morze. Bo on się nigdy nie ustatkuje, a naszej pani trzeba lepszego kawalera.

– Boję się, że jest w nim zakochana.

– Nie ma się czym trapić. Mówią, że w oddaleniu uczucie rozkwita! Rozkwita, ale do kogo innego, tak zawsze mawiała moja ciotka Jane. Co z oczu, to z serca, ot i cała prawda. Niech się pani nie martwi. O, tu jest ta książka z biblioteki, co ją pani tak bardzo chciała przeczytać. Zaraz przyniosę pyszną kawkę i parę biszkoptów. Niech się pani nacieszy spokojem, póki jeszcze może.

Złowieszczy wydźwięk ostatnich słów jakoś umknął uwadze Anny.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła, kochana – powiedziała z wdzięcznością.

W czwartek Gerry Lloyd opuścił Anglię, a Sara po powrocie do domu pokłóciła się z Richardem jeszcze bardziej zażarcie niż zwykle.

Anna zostawiła ich samych i uciekła do swojej sypialni. Leżała w ciemności, osłoniwszy rękoma oczy, przyciskając palce do pulsującego bólem czoła. Łzy płynęły jej po policzkach. Powtarzała cicho:

– Nie zniosę tego... nie zniosę...

Po jakimś czasie usłyszała, jak Richard, wybiegając z salonu, krzyczy:

– A twoja matka też nie będzie mogła wiecznie się zasłaniać bólami głowy! – Ostatniemu słowu towarzyszyło trzaśnięcie drzwi wejściowych.

Potem w korytarzu rozległy się powolne, ostrożne kroki Sary zmierzające do jej pokoju. Anna zawołała:

– Saro!

Drzwi się uchyliły i głos Sary, nieco zawstydzony, spytał:

– Leżysz po ciemku?

– Głowa mnie boli. Zapal tę małą lampkę w kącie.

Sara posłusznie zaświeciła lampkę i zawróciła w stronę łóżka, wbijając wzrok w ziemię. Było w niej coś z opuszczonego dziecka, co chwyciło Annę za serce, choć jeszcze przed chwilą była na córkę wściekła.

– Saro... – odezwała się – musisz to robić?

– Co?

– Bez przerwy kłócić się z Richardem. Nie masz dla mnie ani odrobiny litości? Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo mnie to boli? Chyba chcesz, żebym była szczęśliwa?

– Oczywiście, że chcę, i właśnie o to chodzi!

– Nie rozumiem cię. Zrobiłaś mi z życia piekło. Czasem mam uczucie, że dłużej już nie dam rady. Wszystko legło w gruzach.

– To prawda, że wszystko się zmieniło. On wszystko zniszczył. Chce się mnie pozbyć. Nie pozwolisz mu, żeby mnie stąd wyrzucił?

– Oczywiście, że nie! – oburzyła się Anna. – Kto w ogóle mówi o czymś takim?

– On. Właśnie przed chwilą. Ale ty mu nie pozwolisz, prawda? To jakiś koszmarny! – Nagle z oczu Sary zaczęły płynąć łzy. – Odkąd wróciłam ze Szwajcarii, wszystko idzie źle. Gerry wyjechał i pewnie już nigdy go nie zobaczę... A ty zwróciłaś się przeciwko mnie...

– Nie zwróciłam się przeciw tobie! Nawet nie mów takich rzeczy!

– Och, mamusiu! Mamusiu...!

Dziewczyna opadła na kolana obok łóżka i rozsłochała się gwałtownie, powtarzając co chwilę: Mamusiu... mamusiu...

## 2

Nazajutrz rano na tacy ze śniadaniem Anna znalazła liścik od Richarda:

*Droga Anno!*

*Tak dalej być nie może. Musimy wypracować jakiś sposób postępowania. Wierzę, że Sara okaże się bardziej, niż sądzisz, skłonna do ustępstw.*

*Twój Richard*

Zmarszczyła brwi. Czy Richard świadomie sam siebie oszukiwał? Czy też wczorajszy wybuch Sary miał głównie historyczne podłoże? To nie było wykluczone; Sara z całą pewnością cierpiała właśnie męki szczenięcej miłości i pierwsze w życiu rozstanie z ukochanym. Być może, skoro Richard tak bardzo działał jej na nerwy, rzeczywiście lepiej by się czuła we własnym mieszkanku...

Pod wpływem impulsu sięgnęła po telefon i wykręciła numer Laury Whitstable.

– Laura? Tu Anna.

– Dzień dobry. Co tak wcześnie?

– Och, jestem już bliska obłądu. Głowa nawet na moment nie przestaje mnie boleć i czuję się jak ciężko chora. Ta sytuacja nie może dłużej trwać. Chciałam cię prosić o radę.

– Nie udzielam rad. To najbardziej ryzykowna rzecz, jaką można zrobić.

Anna wyraźnie jej nie słuchała.

– Posłuchaj, czy nie sądzisz... Może byłoby dobrze... na przykład... wynająć osobne mieszkanie dla Sary? Mogłaby zamieszkać z przyjaciółką lub sama... lub coś w tym guście.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza. Potem pani Laura zapytała:

– A ona tego chce?

– No... nie. Właściwie nie. To tylko taki pomysł.

– Kto go podsunął? Richard?

– Hm... tak.

– Bardzo rozumnie.

– Tak sądzisz? – Anna uczepiła się tego stwierdzenia.

– Rozumnie z jego punktu widzenia. Richard wie, czego chce, i stara się to osiągnąć.

– Ale co ty o tym myślisz?

– Już ci mówiłam, Anno, że nie udzielam rad. A co na to Sara?

Anna zawahała się.

– Jeszcze z nią o tym nie rozmawiałam.

– Ale chyba masz jakieś przypuszczenia?

– Sądzę, że w tej chwili nie miałaby na to ochoty – przyznała Anna z ociąganiem.

– Aha!

– Ale może powinnam nalegać?

– Po co? Żeby wyleczyć się z bólów głowy?

– Nie! – wykrzyknęła Anna ze zgrozą. – Nie, miałam na myśli tylko jej szczęście!

– Jakże to pięknie brzmi. Niestety, nie ufam szlachetnym motywom. A mogłabyś to jakoś szerzej uzasadnić?

– No cóż, zastanawiałam się, czy przez przypadek nie jestem zaborczą matką. Może naprawdę byłoby dobrze dla Sary, gdyby uwolniła się spod mego wpływu? Żeby mogła rozwinąć własną osobowość.

– Bardzo nowoczesne podejście.

– Myślę, że ten pomysł mógłby jej się w końcu spodobać. Ja na początku nie byłam przekonana, ale teraz... Och, powiedzże wreszcie, co myślisz!

– Moja biedna Anna!

– Dlaczego to powiedziałaś?

– Pytałaś, co myślę.

– Niewiele mi to pomoże.

– Nie mam zamiaru ci pomagać w taki sposób, o jaki ci chodzi.

– Widzisz, coraz trudniej mi poradzić sobie z Richardem. Dziś rano przysłał mi coś w rodzaju ultimatum... Niedługo każe mi wybierać pomiędzy sobą a Sarą.

– I kogo wybierzesz?

– Och nie, Lauro, do tego przecież nie dojdzie!

– Może dojść.

– Wiesz co? Jesteś okropna. Nawet nie starasz się pomóc! – Anna z wściekłością grzmotnęła słuchawką o widełki.

### 3

O szóstej po południu Richard wykręcił numer telefonu Anny. Odebrała Edith.

– Czy zastałem panią Prentice?

– Nie, proszę pana. Jest na zebraniu tego swojego komitetu. Do spraw domu opieki nad starszymi damami czy jakoś tam. Wróci tuż przed siódmą.

– A panna Sara?

– Właśnie przysłała. Poprosić ją do telefonu?

– Nie, przyjdę osobiście.

Drogę między swoim służbowym mieszkaniem a kamienicą, w której mieszkała Anna, przebył stanowczym marszowym krokiem. Miał za sobą bezsenną noc i w końcu podjął ostateczną decyzję. Postanowienia przychodziły mu zwykle w bólach, ale gdy już zapadły, twardo się ich trzymał.

Sprawy nie mogły dłużej układać się tak jak dotąd. Musiał to uświadomić najpierw Sarze, a potem Annie. Dziewczyna wykańczała matkę – jego biedną łagodną i czułą Annę! – swoim oślim uporem i napadami hysterii.

W jego uczuciach do Anny wciąż przeważała miłość, ale nie panowała już niepodzielnie. Obok niej ukradkiem rozgościła się uraza. Zamiast stawić czoło sytuacji, stosowała uniki, nonsensowne kobiece sztuczki – migreny lub ataki słabości, ilekroć wybuchała awantura... Trzeba było wreszcie położyć im kres.

Anna musiała spojrzeć prawdzie w oczy.

Nacisnął dzwonek, przywitał się z Edith i poszedł wprost do salonu. Sara stała przy kominku ze szklanką w ręku.

– Dobry wieczór, Richardzie – powiedziała.

– Dobry wieczór, Saro.

– Wybacz mi wczorajszy wieczór – powiedziała z wysiłkiem. – Obawiam się, że byłam dość nieuprzejma.

– To nic. – Richard wspaniałomyślnie machnął ręką. – Puśćmy to w niepamięć.

– Napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję.

– Mama wróci dopiero za jakąś godzinę. Pojechała do...

– Tak, wiem – wpadł jej w słowo. – Przyszedłem zobaczyć się z tobą.

– Ze mną? – Oczy Sary zwęziły się i pociemniały. Podeszła bliżej, usiadła, patrząc na niego nieufnie.

– Chcę z tobą porozmawiać o sytuacji, w jakiej się wszyscy znaleźliśmy. Wydaje się zupełnie jasne, że te wieczne boje i kłótnie muszą się wreszcie skończyć. Przede wszystkim to nie w porządku wobec twojej matki. Jestem pewien, że ją kochasz.

– Naturalnie – odparła starannie wyzutym z emocji głosem.

– Musimy więc oboje dołożyć starań, żeby nie utrudniać jej życia. Za tydzień bierzemy ślub. Kiedy wrócimy z podróży i zamieszkamy tu razem, jak myślisz, co nas czeka?

– Jeden wielki koszmar.

– Widzisz? Sama zdajesz sobie z tego sprawę. Muszę zresztą od razu zaznaczyć, że nie całą winą obarczam ciebie.

– Bardzo to wspaniałomyślne z twojej strony, Richardzie.



Powiedziała to grzecznie i z przejęciem, a Richard znał ją jeszcze za słabo, żeby rozpoznać sygnał ostrzegawczy.

– Szkoda, że nie umiemy się ze sobą dogadać. Przyznaj szczerze, nie lubisz mnie.

– Skoro musisz wiedzieć, owszem. Nie lubię.

– Trudno. Ja ze swojej strony też za tobą zbytnio nie przepadam.

– Ty? Ty mnie nienawidzisz.

– Nie ująłbym tego tak ostro.

– Ja tak.

– Powiedzmy zatem, że nie lubimy się wzajemnie. Twoja sympatia nie ma dla mnie większego znaczenia, bo żenię się z twoją matką, nie z tobą. Próbowałem się z tobą zaprzyjaźnić, ale ty nie chciałaś... Musimy więc znaleźć wyjście. Mam ochotę spróbować innego sposobu.

– Jakiego sposobu? – spytała podejrzliwie.

– Skoro nie możesz się dostosować do sytuacji pod dachem twojej matki, zrobię co w mojej mocy, żeby pomóc ci stworzyć sobie własny dom, w którym będziesz znacznie szczęśliwsza. Kiedy Anna zostanie moją żoną, zdołam ją utrzymać na odpowiednim poziomie. Pozostanie więc spora nadwyżka pieniędzy, z których będziesz mogła skorzystać. Wynając ładne mieszkanko, chociażby do spółki z jakąś przyjaciółką, urządzić je, jak sama zechcesz... i tak dalej.

Oczy Sary zwęziły się jeszcze bardziej.

– Niespotykanie hojny z ciebie człowiek, Richardzie – powiedziała.

Nie podejrzewał sarkazmu i już sobie w duchu gratulował. Sprawa ostatecznie okazała się całkiem prosta. Dziewczyna wie doskonale, po której stronie chleb jest posmarowany. I konflikt da się zażegnać bez bólu.

Uśmiechnął się do niej.

– No cóż, przykro mi, kiedy ktoś cierpi. A w przeciwieństwie do twojej matki zdaję sobie sprawę, że młodzi ludzie zawsze tęsknią za niezależnością. Będiesz znacznie szczęśliwsza, żyjąc własnym życiem, niż wśród ciągłych kłótni tutaj.

– A więc to jest to twoje wyjście, tak?

– Całkiem dobre, nie sądzisz? Wszyscy będą zadowoleni.

Sara zaczęła się śmiać. Słyszac to, Richard gwałtownie poderwał głowę.

– Tak łatwo się mnie stąd nie pozbędziesz – wycodziła.

– Ale...

– Nigdzie się nie wyprowadzę, słyszysz? Nie wyprowadzę się.

Żadne z nich nie słyszało klucza obracanego w zamku. Kiedy Anna weszła do salonu, zastała ich stojących naprzeciw siebie. Sara trzęsła się na całym ciele i powtarzała histerycznie:

– Nigdzie nie pójdę! Nie pójdę! Nie pójdę!

– Saro...

Oboje odwrócili się gwałtownie. Sara podbiegła do matki.

– Mamusiu, mamusieczku, nie pozwól mu mnie stąd wyrzucić! Chce, żebym zamieszkała z jakąś koleżanką. Nie cierpię koleżanek! Nie chcę mieszkać sama! Chcę zostać z tobą. Nie odsyłaj mnie, matuś, błagam! Nie wyrzucaj mnie z domu!

– Oczywiście, że nie, kochanie – powiedziała uspokajająco Anna, a do Richarda ostro: – Coś ty jej nagadał?

– Nakreśliłem ze wszech miar rozsądny plan.

– On mnie nienawidzi! – Sara szlochała wniebogłosy. – I knuje, żebyś ty mnie też znienawidziła!

– Nie pleć bzdur, kochanie – powiedziała szybko Anna i rzucając Richardowi porozumiewawcze spojrzenie, dodała: – Porozmawiamy o tym kiedy indziej.

– Nie. – Richard wojowniczo wysunął podbródek. – Porozmawiamy tu i teraz. Trzeba raz wreszcie

postawić sprawy jasno.

– Och, proszę cię! – Anna przyłożyła dłoń do czoła i opadła na sofę.

– Tym razem nie uda ci się wykpić z tego migrena! Pytanie jest bardzo proste: kto jest dla ciebie ważniejszy, ja czy Sara?

– Nie pozwolę ci stawiać spraw w ten sposób.

– Niestety, tak właśnie stoją! Trzeba to rozstrzygnąć, bo dłużej tego nie zniosę.

Podniesiony głos Richarda drażnił każdy obolały nerw w jej głowie, jakby przypiekano je żywym ogniem. Miała za sobą burzliwe zebranie komitetu, wróciła do domu wykończona, a teraz miała ochotę umrzeć.

– Nie mogę w tej chwili z tobą rozmawiać, Richardzie – powiedziała słabo. – Naprawdę nie mogę. Nie mam już siły.

– Powtarzam, że musimy to raz na zawsze ustalić. I jedno z nas stąd wyjdzie: ona lub ja.

Ciałem Sary wstrząsnął lekki dreszcz. Uniosła podbródek, mierząc Richarda nieruchomym spojrzeniem.

– Mój plan jest bardzo rozsądny – ciągnął. – Nakreśliłem go Sarze. Nie zgłaszała obiekcji do chwili, kiedy weszłaś.

– Nigdzie się nie wyprowadzę – oświadczyła Sara.

– Dziewczę drogie, przecież będziesz mogła przychodzić i widywać się z matką, kiedy tylko zechcesz!

Sara rozpaczliwie odwróciła się do Anny i upadła przed nią na kolana.

– Mamo, nie wyrzucisz mnie, prawda? Powiedz, że mnie nie wyrzucisz. Jesteś moją matką...

Twarz Anny okrył rumieniec. Powiedziała nieoczekiwanie stanowczo:

– Nie będę prosić swojej jedynej córki, żeby opuściła swój dom, dopóki sama nie zechce.

– Chciałaby! – wrzasnął Richard. – Tylko robi mi na złość!

– Myślisz tak, bo sam jesteś zły! – parsknęła z furią dziewczyna.

– Milcz! – krzyknął.

Anna uniosła ręce do czoła.

– Nie zniosę tego – powiedziała. – Ostrzegam was oboje, ja tego nie zniosę...

– Mamusiu! – jęknęła błagalnie Sara.

– Nie, Anno! – Richard był wściekły. – Ty i twoje bóle głowy! Tym razem musisz podjąć decyzję, niech to wszyscy diabli, musisz wreszcie wybrać!

– Mamusiu! – Sara zupełnie przestała panować nad sobą. Uczepiła się ręki Anny jak przerażone dziecko. – Nie pozwól mu, żeby nastawił cię przeciwko mnie. Błagam, nie pozwól mu na to!

Anna, ściskając obiema rękami głowę, wykrztusiła:

– Nie zniosę tego ani chwili dłużej. Lepiej odejdz, Richardzie.

– Co? – Spojrzał na nią wstrząśnięty.

– Proszę, odejdz. Zapomnij o mnie. To nie ma sensu...

Znów ogarnął go gniew. Rzekł ponuro:

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?

– Muszę mieć spokój – odparła z roztargnieniem. – Tak dalej być nie może.

– Mamo... – szepnęła Sara.

– Anno... – Głos Richarda był pełen niedowierzania i bólu.

– To nie ma sensu! – krzyknęła rozpaczliwie. – Nie może się udać, Richardzie.

Sara podniosła głowę i zawołała ze złością:

– Idź sobie! Nie chcemy cię tutaj, słyszysz? Nie chcemy cię!

Na jej twarzy malował się triumf, który byłby odrażający, gdyby nie był tak bardzo dziecinny.

Ale Richard nie zwracał na nią uwagi. Patrzył na Annę.

– Mówisz poważnie? – spytał cicho. – Bo ja... nie wrócę.

– Wiem – odparła ze znużeniem. – Po prostu nam nie wyszło. Nie mogło wyjść. Żegnaj...

Mężczyzna wolno wyszedł z pokoju.

– Mamusiu najukochańsza! – Sara wtuliła twarz w jej kolana.

Anna mechanicznie pogładziła ją po głowie, ale oczy utkwione miała w drzwiach, za którymi zniknął

Richard. Chwilę później posłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych.

Czuła ten sam chłód co owego dnia na dworcu Wiktorii, i jeszcze straszliwszą pustkę...

Richard schodził teraz po schodach, wychodził na dziedzińczyk i dalej na ulicę.

Odchodził z jej życia.

# CZĘŚĆ DRUGA

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### 1

Laura Whitstable z uśmiechem patrzyła na znajome ulice Londynu z okna autobusu linii lotniczych. Obowiązki członkini królewskiej komisji wyrwały ją z miasta na wiele miesięcy. Odebrała w tym czasie długą, acz bardzo interesującą podróż nieomal po całym świecie. Kończące tę pielgrzymkę sesje w Stanach Zjednoczonych kosztowały ją sporo wysiłku. Wykłady, posiedzenia, obiady, bankiety... Z trudem znajdowała czas na spotkania z własnymi przyjaciółmi.

Na szczęście miała to już za sobą. Wróciła do domu z walizą pełną notatek, danych statystycznych i raportów – i perspektywą jeszcze bardziej wyętej pracy przy opracowaniu ich do publikacji.

Pani Whitstable była kobietą o wielkiej witalności i olbrzymiej wytrzymałości fizycznej. Praca zawsze była dla niej bardziej kusząca niż wypoczynek, ale w przeciwieństwie do wielu ludzi nie chełpiła się tym i czasem z rozbijającą szczerością przyznawała, że cechą tę w jej przypadku należy raczej uznać za słabość, nie cnotę. Praca bowiem, mawiała, jest jedną z głównych dróg ucieczki człowieka przed samym sobą. Tymczasem pełne życie polega między innymi na tym, żeby umieć wytrzymać ze samym sobą w szczeroci, harmonii i pogodzie ducha.

Należała do osób, które koncentrują się na jednej rzeczy. Nigdy nie marnowała swego czasu na pisanie długich listów do znajomych. Kiedy była nieobecna, to całkowicie – zarówno ciałem, jak i duchem. Wysłała jedynie kilka kolorowych pocztówek do swojej służby domowej, która poczułaby się urażona zaniechaniem. Natomiast przyjaciele i znajomi wiedzieli, że nie będą mieli od niej żadnych wieści, dopóki w słuchawce nie odezwie się charakterystyczny mocny głos informujący, że wróciła do Londynu.

Wszędzie dobrze, lecz w domu najlepiej, pomyślała nieco później, rozglądając się po swym wygodnym, urządzonym w męskim stylu salonie. W jedno ucho wpadał jej monotony głos Bassett, która melancholijnie wyliczała wszelkie drobne domowe katastrofy, do jakich doszło pod nieobecność pani domu.

Odprawiwszy pokojówkę dobrodusznym „Dobrze, słusznie!”, zapadła w wielki, obity wytartą skórą fotel. Na bocznym stoliku piętrzył się pokaźny stos listów i periodyków, lecz nim także się nie przejęła. Wszystko, co rzeczywiście było ważne, zostało już dawno załatwione przez jej bardzo kompetentną sekretarkę.

Pani Laura zapaliła cygaro i odchyliła się, przymykając oczy.

Tak oto skończył się jeden okres w jej życiu i zaczął następny...

Odprężyła się, pozwalając trybikom w mózgu zwolnić i przestawić się na nowy rytm. Członkowie komisji... piętrzące się problemy... spekulacje... punkty widzenia... amerykańscy dygnitarze... amerykańscy znajomi... wszystko to łagodnie, powoli bladło i usuwało się w przeszłość.

W ich miejsce stopniowo nabierał kształtu Londyn. Ludzie, z którymi musi się spotkać, urzędnicy, którym z ochotą stawi czoło, ministerstwa, w których będzie częstym i uciążliwym gościem. Wnioski,

sprawozdania, kroki do podjęcia. Wszystko to wyraźnie stawało jej przed oczyma. Kolejna kampania i znów codzienna ciężka orka...

Ale nim rzuci się w wir pracy, ma do dyspozycji krótkie interludium, czas na to, by od nowa się zadomowić. I skorzystać z tysiąca i jednej rozkoszy życia prywatnego. Odwiedzić ulubione miejsca i lokale. Spotkać się z przyjaciółmi, wysłuchać ich radości i trosk. Powręczać upominki przywiezione z podróży... Pomarszczona twarz pani Laury wygładziła się w uśmiechu. W umyśle pojawiły się imiona. Charlotta... młody Davis... Geraldina i jej dzieci... stary Walter Emlyn... Anna i Sara... Profesor Parkes... Co się z nimi działo pod jej nieobecność?

Odwiedzi Geraldinę w Sussex – najchętniej pojutrze, jeśli tamtej będzie to na rękę. Sięgnęła po telefon, połączyła się, ustaliła dzień i porę. Potem zadzwoniła do starego profesora Parkesa. Prawie ślepy i głuchy jak pień, cieszył się poza tym doskonałym zdrowiem i już zacierał ręce z myślą o burzliwej, zaciętej dyskusji ze swoją starą przyjaciółką Laurą.

W następnej kolejności wybrała numer Anny Prentice.

Odebrała Edith.

– O, jaka miła niespodzianka! Dawno pani u nas nie była. Czytałam o pani artykuł w gazecie, nie dalej niż miesiąc albo dwa temu. Nie, bardzo mi przykro, pani Prentice wyszła. Prawie każdy wieczór spędza poza domem. Panienska też. Tak, proszę pani. Powiem pani Prentice, że pani dzwoniła i że jest z powrotem w kraju.

Powściągając cisnącą się na usta uwagę, że spoza kraju znacznie trudniej byłoby jej dzwonić, Laura Whitstable nacisnęła widełki i wykręciła kolejny numer.

Powitania, rozmowy, ustalanie spotkań – wszystko to kazało odsunąć na plan dalszy pewien drobny problemik, który obiecała sobie zanalizować później.

Dopiero gdy wieczorem leżała już w łóżku, jej dociekliwy umysł wrócił do wypowiedzianego przez Edith zdania, które bardzo Laurę zaskoczyło. Co to było...? Po chwili zdołała sobie przypomnieć. Gospościa stwierdziła, że Anna prawie każdy wieczór spędza poza domem.

Zmarszczyła w zadumie brwi. Oznaczałoby to, że styl życia Anny drastycznie się zmienił. Sara to co innego, można się było spodziewać, że stara się wypełnić do maksimum każdy dzień. Dziewczęta tak właśnie robią. Lecz Anna była domatorką. Od czasu do czasu dawała się wyciągnąć na kolację, jeszcze rzadziej do kina lub teatru, lecz na miły Bóg, nie co dzień!

Laura Whitstable zamyśliła się głęboko.

## 2

Dwa tygodnie później nacisnęła dzwonek w drzwiach mieszkania Anny Prentice.

Na jej widok kwaśna mina Edith o ton złagodniała, co znaczyło, że gospościa jest bardzo rada. Usunęła się na bok, zapraszając panią Laurę do salonu.

– Pani Prentice ubiera się do wyjścia – poinformowała – ale wiem, że chciałaby się z panią zobaczyć.

Po chwili jej prędkie kroki rozległy się w korytarzu, zmierzając do sypialni pani domu.

Laura z pewnym zdziwieniem rozejrzała się wokół. Salon zmienił się nie do poznania i przez chwilę walczyła z absurdalną myślą, że trafiła do innego mieszkania.

Urządzony była w najnowszej wersji francuskiego empire’u z pasiastymi satynowymi obiciami i dużą ilością złoconych brązów. Pozostało ledwie kilka starych mebli. Jeden kąt zajmował duży barek z alkoholem. Nieliczne obrazy na ścianach były ultranowoczesne. Wyglądało to mniej jak pokój mieszkalny, a bardziej jak dekoracja w teatrze.

Edith zajrzała do pokoju i oznajmiła:

– Pani Prentice za chwileczkę do pani przyjdzie.

– Wiele się tu zmieniło – zauważyła pani Laura, wskazując wystrój.

– Kosztowało majątek! – stwierdziła Edith z dezaprobatą. – Już nie mówię o tym, że ci młodzi ludzie od renowacji, którzy tu się przez cały czas kręcili, wyglądali bardzo dziwnie. Nie uwierzyłaby pani!

– Uwierzyłabym – zapewniła ją pani Whitstable. – Cóż, wygląda na to, że zrobili kawał doskonałej roboty.

– Tandeta – skrzywiła się gospoia.

– Trzeba iść z duchem czasu, Edith. Spodziewam się, że panna Sara była zachwycona.

– O nie, to zupełnie nie w guście panienki. Kto jak kto, ona by niczego nie zmieniła. Nie lubiła zmian. Pamięta pani, jaki był gwałt, kiedyśmy przesunęły sofę! Nie, to pani Prentice zrobiła się nagle taka modna.

Pani Laura lekko uniosła brwi. Znow odniosła wrażenie, że w Annie Prentice musiała zajść jakaś fundamentalna przemiana. Ale w tejże chwili na korytarzu rozległy się kroki i do salonu wpadła ona sama.

– Laura, kochanie! Bosko, że wpadłaś! Ależ się za tobą stęskniłam! – Niedbale cmoknęła przyjaciółkę w pobliżu ucha.

Starsza kobieta przyjrzała się jej ze zdumieniem.

Tak, Anna Prentice bardzo się zmieniła. Jej miękkie jasnobrązowe włosy przetykane srebrnymi nitkami zostały ufarbowane henną i ostrzyżone w najmodniejszym i najbardziej krzykliwym stylu. Brwi miała wyskubane, twarz pokrytą kosztownym makijażem. Ubrana była w krótką koktajlową sukienkę przyozdobioną obficie i dość eklektycznie sztuczną biżuterią. Najbardziej jednak rzucała się w oczy nerwowa, afektowana gestykulacja – zwłaszcza gdy się ją porównało z aurą łagodnego spokoju roztaczaną przez dawną Annę, tę sprzed dwóch lat.

Teraz krążyła bez wytchnienia po pokoju, bawiła się frędzlami i wisiorkami i paplała bez ustanku, nie milnąc nawet na chwilę, by dopuścić przyjaciółkę do głosu.

– Ileż to czasu minęło! Wieki, dosłownie wieki! Oczywiście czytywałam o tobie w gazetach. Jak znajdujesz indyjską egzotykę? Słyszałam, że w Ameryce nosili cię na rękach. Chyba dobrze cię karmili? Ich narodową potrawą jest przecież befszytk...! Kiedy wróciłaś?

– Dwa tygodnie temu. Dzwoniłam, ale nie było cię w domu. Pewnie Edith zapomniała ci powiedzieć.

– Biedna stara Edith. Ma coraz słabszą pamięć. Nie, faktycznie, mówiła, że wróciłaś. Zamierzałam zadzwonić, ale wiesz, jak to jest. – Anna zaśmiała się perliście. – Człowiek żyje w takim pośpiechu!

– Dawniej nie żyłaś w pośpiechu, Anno.

– Nie? – Anna zrobiła niezdecydowaną minę. – No cóż, to chyba nieuniknione. Czego ci nalać, Lauro? Gin z limonką?

– Nie, dzięki, nigdy nie pijam koktajli.

– Och, gdzie ja mam głowę! Brandy z wodą sodową, prawda? Proszę. – Anna podała Laurze brandy i wróciła do barku, żeby przyrządzić sobie koktajl.

– Co słyhać u Sary? – spytała pani Whitstable.

– Och, wszystko bardzo dobrze! – rzuciła Anna niezbyt pewnym tonem. – Rzadko ją teraz widuję. Gdzie się podział gin? Edith? Edith!

Gospoia weszła do salonu.

– Dlaczego nie ma ginu?

– Skończył się.

– Mówiłam ci przecież, że musimy zawsze mieć butelkę w rezerwie. Ręce opadają! Masz pilnować tego, żeby barek był zaopatrzone w alkohole.

– Bóg widzi, że dość się ich tu leje – mruknęła Edith posepnie. – Aż za dość na mój gust.

– Nie pozwalaj sobie! – krzyknęła Anna ze złością. – Idź do sklepu i przynieś.

– Teraz?

– Tak, teraz!

Kiedy Edith zniknęła, Anna fuknęła z irytacją:

– O wszystkim zapomina. Jest beznadziejna!

– Nie denerwuj się, moja droga. Lepiej usiądź i opowiedz mi, co u ciebie słyhać.

– Och, nie ma wiele do opowiadania! – Znów śmiech.

– Widzę, że wychodzisz, a ja cię pewnie zatrzymuję.

– Nie, nie. Ktoś po mnie przyjdzie. Znajomy.

– Pułkownik Grant? – zapytała z uśmiechem pani Laura.

– Biedny stary James? O nie. Rzadko go ostatnio widuję.

– Dlaczego?

– Mężczyźni w pewnym wieku robią się koszmarnie nudni! James jest poczciwy, wiem, ale te jego niekończące się historyjki! Człowiek ma wrażenie, że zaraz zaczną krzyczeć. Po prostu nie do zniesienia.

– Anna wzruszyła ramionami. – Wiem, że to brzydko z mojej strony, ale taka jest prawda.

– Nie powiedziałaś mi nic o Sarze. Ma jakiegoś chłopca?

– Och, całe stada. Jest bardzo lubiana. Dzięki Bogu, nie przynosi mi wstydu.

– A zatem nikogo spośród nich nie wyróżnia?

– Czy ja wiem... Trudno powiedzieć. Dziewczęta nie zwierzają się matkom, prawda?

– A co z tym młodym Geraldem Lloydem, o którego tak się martwiłaś?

– Och, wyjechał do Afryki Południowej czy gdzieś tam. Na szczęście wszystko rozeszło się po kościach. Dziwne, że jeszcze o tym pamiętasz.

– Pamiętam o tym, co dotyczy mojej ulubionej chrześnicy.

– Jakież to słodkie z twojej strony, Lauro. Sara miewa się dobrze. Jest bardzo samolubna i pod wieloma względami męcząca, ale to normalna przywara dziewcząt w jej wieku. Niedługo ma wrócić, a potem...

Zadzwonił telefon i Anna przerwała, żeby podnieść słuchawkę.

– Halo? A, to ty, złotko! Oczywiście, z największą przyjemnością... Tak, tylko muszę zerknąć do notesika... Do licha, gdzie się zapodziało... Tak, myślę, że tak. Czwartek w Petit Chat, czy tak?... Tak, prawda? Ależ się śmiałam, kiedy Johnny spadł pod stół...! Oczywiście, wszyscy mieliśmy dobrze w czubie. Masz całkowitą słuszność.

Anna odłożyła słuchawkę i stwierdziła z przeczącą słowom nutką zadowolenia w głosie:

– Oszałeć można z tym telefonem! Dzwoni bez przerwy!

– To już taka przywara telefonów – przyznała sucho Laura Whitstable, po czym dodała: – Jak słyszę, oddajesz się licznym rozrywkom.

– Nie można przecież tylko wegetować, kochana... O, to chyba Sara.

Z holu dobiegł młodzieńczy głos:

– Kto? Ciocia Laura? Cudnie!

Drzwi otworzyły się z impetem i do salonu wbiegła Sara. Pani Whitstable oniemiała na widok jej urody. Zniknął odrobinę niezgrabny podłotek, jego miejsce zajęła niesłychanie atrakcyjna młoda kobieta o pięknej twarzy i posągowej figurze.

Rozpromieniona z radości, uściskała ją gorąco.

– Kochana cioteczko, tak się cieszę! Wspaniale wyglądasz w tym kapeluszu. Królewski majestat ze szczyptą tyrolskiego militaryzmu.

– Co za pyskaty brzdąc! – fuknęła czule Laura.

– Mówię całkiem poważnie. Jesteś teraz osobistością miary światowej, nieprawdaż?

– A ty jesteś bardzo piękną młodą damą!

– Skądże! – zaśmiała się. – To tylko warstwa drogich kosmetyków.

Telefon znów zadzwonił i tym razem odebrała Sara.

– Halo? Kto mówi? Tak, jest w domu. To do ciebie, mammo, jak zwykle.

Kiedy Anna wzięła od niej słuchawkę, Sara przysiadła na poręczu krzesła pani Laury.

– Wydzwaniam ją do niej od rana do wieczora – poinformowała ją wesoło.

– Cicho bądź, Saro, nic nie słyszę! – przerwała jej ostro Anna. – Tak, chyba tak... ale przyszły tydzień mam strasznie zajęty... Zerknę do notesika. – Obróciła się. – Saro, znajdź mój terminarz. Powinien być przy łóżku. – Kiedy Sara wyszła, podjęła do słuchawki: – Oczywiście, że wiem, co masz na myśli. Tak, i potem staje się kamieniem u szyi. Poważnie? Nie, Edwarda mam już dosyć... O, mamy kalendarz! – Przerzuciła kilka kartek. – Nie, w piątek nie dam rady... Później tak. To dobrze, spotkamy się u Lumleyów Smithów. Też tak myślę. Ona jest taka nieefektowna...

Odłożyła słuchawkę i wykrzyknęła:

– Ten telefon! Do grobu mnie wpędzi!

– Uwielbiasz go, mammo. Tak samo, jak uwielbiasz włóczyć się po knajpach. Nie próbuj nam mydlić oczu. – Sara obróciła się do pani Laury i zapytała: – Nie sądzisz, cioteczko, że mama świetnie wygląda w tej fryzurze? Całe eony młodziej!

Anna zaśmiała się z lekkim przymusem:

– Sara nie pozwala mi z godnością się zestarzeć.

– Przestań, mammo, obie wiemy, że lubisz bywać. Mama ma więcej adoratorów niż ja, ciociu Lauro, i rzadko wraca do domu przed świtem.

– Nie pleć bzdur – obruszyła się Anna.

– Kto cię dzisiaj porywa, mateczko? Johnnie?

– Nie, Basil.

– A, weź go sobie. Jest beznadziejny.

– Nonsens – odcięła się ostro Anna. – Jest bardzo zabawny. A ty? Wychodzisz dzisiaj?

– Tak, Lawrence po mnie przyjedzie. Pędzę się przebrać.

– Idź. Ale, Saro... Saro! Nie siej wszędzie swoich rzeczy. Zostawiłaś tu futro. I rękawiczki. I zabierz tę szklanę, bo się stłucze.

– Dobrze już, dobrze, mammo. Nie zrzedź.

– Ktoś musi. Nigdy po sobie nie sprzątasz. Doprawdy, sama nie wiem, jak ja to jeszcze znoszę! O, nie, kochana, zabierz to z salonu!

Kiedy drzwi się zamknęły, Anna westchnęła z teatralną rozpaczą.

– Doprawdy, te dziewczęta są niemożliwe! Nie masz pojęcia, ile muszę przy niej ścierpieć!

Laura obrzuciła ją prędkim spojrzeniem. W głosie słyhać było prawdziwą złość.

– Nie męczy cię tak intensywne życie towarzyskie? – spytała.

– Oczywiście! Jestem wykończona. Ale trzeba przecież szukać sobie rozrywek.

– Dawniej nie miałaś z tym trudności.

– Siedząc w domu z książką i podwieczorkiem na tacy? No cóż, każdemu może się zdarzyć okres stagnacji. Ale teraz na nowo złapałam wiatr w żagle. Ty pierwsza użyłaś tego określenia, pamiętasz? Moje najszczęśliwsze uznanie, kochana. Miałaś rację!

– Niezupełnie to miałam na myśli.

– Oczywiście, że nie, kochana. Myślałaś o zajęciu się czymś na poważnie. Czymś wartościowym. Ale nie każdy może zostać mędrcom i luminarzem jak ty. Ja lubię się bawić.

– A Sara? Też lubi się bawić? Jest szczęśliwa?

– Oczywiście. Bardzo przyjemnie spędza czas – rzuciła Anna beztrąsko.

Laura Whitstable ściągnęła brwi. Kiedy Sara wychodziła z pokoju, uderzyło ją przez moment wyczerpanie malujące się na twarzy dziewczyny. Jakby uśmiechnięta maska nagle się oblużowała i wyjrzała spod niej niepewność... oraz coś, co przypominało ból.

Czy Sara naprawdę była szczęśliwa? Anna najwyraźniej tak uważała. Bądź co bądź matka powinna



wiedzieć...

Nie wmawiaj sobie głupstw, kobieto, zbeształa się surowo w duchu pani Laura. Masz nazbyt bujną wyobraźnię!

Ale pomimo wszystko czuła się zaniepokojona i zbита z tropu. W atmosferze tego domu czaiło się coś dziwnego. Anna, Sara, nawet Edith – wszystkie były tego świadome. Zachowywały się tak, jakby każda miała coś do ukrycia. Posępna dezaprobata Edith... nadmierna ruchliwość i nerwowa gestykulacja Anny... radosny, lecz wysiłony świergot Sary... Tak, działo się tu coś niedobrego.

Z przedpokoju dobiegł dzwonek i Edith z miną bardziej ponurą niż zwykle zaanonsowała pana Mowbraya.

Do salonu wpadł w podskokach afektowany młody człowiek, wesolutki jak pasikonik. Pani Laura pomyślała przelotnie, że nadawałby się do roli Szekspirowskiego Ozryka.

– Anno! – wykrzyknął. – A więc jednak ją włożyłaś! Skarbie, to jest największy sukces!

Zatrzymał się gwałtownie, przechylił głowę, przyglądając się toalecie Anny, gdy ta przedstawiała go Laurze.

– Brosza z kameą – wyjaśnił rozemocjonowany, gnąc się w ukłonie. – Uwielbiam kamee! Mam na ich punkcie kompletnego bzika!

– Basil w ogóle ma bzika na punkcie wiktoriańskiej biżuterii – dodała Anna.

– Bo ludzie w tamtych czasach mieli wyobraźnię. Weź na przykład te bajeczne, bajeczne medaliony! Wewnątrz splecione pukle włosów dwojga ludzi, na wieczku wierzba płacząca albo urna. Dziś już nie robią takich rzeczy. To utracony kunszt. Albo woskowe kwiaty... mógłbym je podziwiać od rana do wieczora! Albo maleńkie stoliki z papier *mâché*! Anno, muszę ci pokazać jeden taki boski stoliczek. Ma wbudowane oryginalne pojemniczki na herbatę. Nieprzyzwoicie drogi, wręcz nieprzyzwoicie! Ale wart swojej ceny!

– Pójdę już – powiedziała pani Whitstable. – Nie będę was zatrzymywać.

– Zostań, porozmawiaj z Sarą – zaprotestowała Anna. – Prawie się z nią nie widziałaś. Ma po nią przyjechać Larry Steene, ale to znacznie później.

– Steene? Lawrence Steene? – spytała ostro pani Laura.

– Tak. Syn Henry'ego Steena, baroneta. Bardzo atrakcyjny.

– Tak sądzisz, skarbie? – wtrącił Basil. – Mnie wydaje się raczej melodramatyczny, jak postać z kiepskiego filmu. Ale panie za nim szaleją.

– Jest nieprzyzwoicie bogaty – wyjaśniła Anna.

– I w tym chyba tkwi wabik... Większość bogaczy jest odrażająco szpetna. Właściwie to nie w porządku, żeby ktoś miał i pieniądze, i wygląd.

– Chodźmy – wtrąciła Anna. – Zadzwońię do ciebie, Lauro, i umówimy się kiedyś na dłuższą pogawędkę. – Złożyła na policzku przyjaciółki wystudiowany pocałunek, wzięła pana Mowbraya pod rękę i wyszła.

Z przedpokoju doleciał jeszcze głos młodego mężczyzny:

– Jakaż ona jest bosko staroświecka! Ten monumentalny granitowy *image*! Boska! Dlaczego nigdy jej u ciebie nie spotkałem?

Kilka minut później do salonu wbiegła Sara.

– Pochwal mnie, cioteczko, że tak szybko się uwinęłam. Machnęłam ręką nawet na makijaż.

– Przepiękna sukienka.

Sara okręciła się dookoła. Miała na sobie seledynową, lejącą się satynową suknię, która podkreślała jej śliczną figurę.

– Podoba ci się? Była strasznie droga. Gdzie mama? Poszli już? Basil jest okropny, prawda? Ale przy tym ma cięty, zabawny języczek, no i szczególnym uwielbieniem otacza starsze panie.

– Pewnie mu się to opłaca – mruknęła kąśliwie pani Laura.

– Jesteś ohydną cyniczką, ciociu kochana, i oczywiście masz rację. Ale ostatecznie biedna mama musi mieć j a k i e ś rozrywki. Toteż używa życia jak szalona! Naprawdę jest jeszcze bardzo atrakcyjna, nie sądzisz? Boże, jakie to przykre, że ludzie się starzeją!

– To bardzo miłe uczucie, zapewniam cię.

– Może dla ciebie, cioteczko, ale nie każdy jest o s o b i s t o ś c i ą. Co robiłaś przez te wszystkie lata, kiedyśmy cię nie widziały?

– Wywierałam naciski. Generalnie wtrącałam się do życia innych ludzi, wmawiając im, że jeśli zrobią to, co im radzę, będą zdrowi, bogaci i szczęśliwi. Czyli mówiąc krótko, bezczelnie się szarogęsiłam.

Sara roześmiała się z czułością.

– To może i mnie powiesz, co mam począć ze swoim życiem?

– A trzeba ci rady?

– No cóż, nie jestem pewna, czy postępuję rozsądnie.

– Dzieje się coś niedobrego?

– W zasadzie nie... Jest miło, przyjemnie i tak dalej. Tylko mam uczucie, że powinnam wreszcie coś zrobić.

– Co na przykład?

– Och, nie wiem. – Sara machnęła ręką. – Czymś się zająć. Czegoś nauczyć. Archeologii, stenografii, pisania na maszynie, masażu, architektury...

– No, no, bardzo szerokie spektrum! Nie masz ukierunkowanych zainteresowań?

– Właściwie nie. Praca w kwiaciarni jest łatwa, ale zaczynam już mieć jej dość. Tak naprawdę to nie wiem, czego bym chciała. – Sara zakręciła się i przeszła po pokoju.

– Nie myślisz o małżeństwie?

– Och, małżeństwo! – Sara wykrzywiła się sugestywnie. – Małżeństwa zawsze kończą się dramatem.

– Niekoniecznie.

– Większość moich znajomych już się rozwiodła. Przez rok lub dwa wszystko jest w porządku, a potem nagle zaczyna się psuć. No chyba że wyszłabym za krezusa... To mógłby być rozumny powód.

– Taki masz światopogląd?

– Chyba słuszny, nie sądzisz? Miłość jest... no, jest fajna, ale... opiera się na pociągu seksualnym, a ten nie trwa wiecznie – wyrecytowała gładko.

– Widzę, że się czytałaś – skwitowała sucho jej chrzestna matka.

– Ale to prawda, czyż nie?

– Najprawdziwsza – przyznała natychmiast pani Laura.

Na twarzy Sary odbiło się lekkie rozczarowanie.

– I dlatego najrozsądniej jest wyjść za bogacza.

Lekki uśmiezek wygiął usta starszej pani.

– To też nie trwa wiecznie – powiedziała.

– Faktycznie, w dzisiejszych czasach upadają fortuny.

– Nie to miałam na myśli. Chciałam powiedzieć, że przyjemność posiadania i wydawania pieniędzy jest jak pociąg pociowy. Człowiek do niej przywyka. I po pewnym czasie go nudzi, jak wszystko inne.

– Mnie by nie znudziło – oświadczyła Sara z przekonaniem. – Piękne suknie... futra... biżuteria... i jacht...

– Ale z ciebie jeszcze dziecko!

– Nie jestem już dzieckiem, cioteczko. Czasami czuję się bardzo stara i pozbawiona złudzeń.

– Czyżby? – Pani Laura mimo woli się uśmiechnęła, patrząc na młodą przejętą twarzyczkę.

– Myślę, że powinnam się gdzieś stąd wynieść, dokądkolwiek – powiedziała nagle Sara. – Podjąć pracę, wyjść za mąż albo coś w tym stylu. Straszliwie działam mamie na nerwy. Próbuję być miła, ale najwyraźniej mi nie wychodzi. Pewnie po prostu jestem nieznośna. Życie jest takie dziwne! W jednej

chwili wszystko cię cieszy, lubisz siebie i cały świat, a potem nagle zaczyna się psuć i człowiek już sam nie wie, kim jest i co chciałby robić. I nie ma nikogo, z kim mógłby porozmawiać. Czasem ogarnia mnie taki idiotyczny lęk... nie wiem przed kim lub przed czym. Po prostu się boję. Może powinnam poddać się psychoanalizie albo czemuś w tym stylu...

Znów rozległ się dzwonek u drzwi. Sara poderwała się.

– To pewnie Lawrence.

– Lawrence Steene? – zapytała pani Laura z naciskiem.

– Tak. Znasz go?

– Słyszałam o nim – padła odpowiedź wygłoszona tonem dość posepnym.

Sara parsknęła śmiechem.

– Założę się, że nic dobrego! – zdążyła jeszcze powiedzieć, zanim Edith otworzyła drzwi, mówiąc:

– Pan Steene.

Lawrence Steene był wysoki i ciemnowłosy. Miał około czterdziestki i wyglądał na tyle. Uwagę zwracały oczy niemal całkiem przysłonięte powiekami i leniwa zwierzęca gracia w jego ruchach. Należał do mężczyzn, obok których kobiety nie przechodzą obojętnie.

– Cześć, Larry – powitała go Sara. – To jest Lawrence Steene. A to moja chrzestna matka, wielmożna Laura Whitstable.

Gość podszedł i ujął dłoń pani Laury, nachylając się nad nią w sposób nieco teatralny i zapewne także ciut impertynencki.

– To dla mnie zaszczyt – oznajmił.

– Widzisz, kochana – uśmiechnęła się Sara. – Naprawdę jesteś wielką damą. To chyba frajda nosić tytuł szlachecki. Ciekawe, czy też mogłabym na taki zasłużyć.

– Bardzo wątpię – rzekł Lawrence.

– A to dlaczego?

– Masz zupełnie inne uzdolnienia. – Odwrócił się do pani Laury. – Właśnie wczoraj czytałem pani artykuł w „Commentator”.

– A, tak. O trwałości małżeństwa.

– Zakłada pani z góry, że trwałość małżeństwa jest cechą pożądaną. Tymczasem na przykład dla mnie to właśnie nietrwałość związku małżeńskiego stanowi jego największy urok.

– Lawrence miał wiele żon – wtrąciła złośliwie Sara.

– Tylko trzy – sprostował.

– O mój Boże – powiedziała pani Laura. – Mam nadzieję, że nie topił ich pan w wannie?

– Pozbywa się ich w sądzie – poinformowała ją Sara. – To znacznie łatwiejsze niż zbrodnia.

– I na nieszczęście znacznie bardziej kosztowne – dodał cierpko Lawrence.

– Chyba znałam za młodu pańską drugą żonę – powiedziała pani Whitstable. – Moira Denham, zgadza się?

– Tak, istotnie.

– Czarująca dziewczyna.

– Tu się z panią zgodzę. Była zachwycająca. Tak dziewczęco naiwna.

– To cecha, za którą płaci się wysoką cenę. – Starsza pani wstała. – Muszę iść.

– Podwieziemy cię – zaofiarowała się Sara.

– Nie, dzięki. Spacer dobrze mi robi. Dobranoc, kotku.

Po chwili drzwi zamknęły się z wymownym stuknięciem.

– Nawet nie kryła dezaprobaty – zauważył Lawrence. – Mam na ciebie zły wpływ, Saro. Ta smoczyca Edith dosłownie zjeje ogniem za każdym razem, kiedy wpuszcza mnie do mieszkania.

– Cicho! – szepnęła Sara. – Usłyszysz cię.

– To właśnie jest najgorsze w miejskich mieszkaniach. Żadnej prywatności. – Zbliżył się do niej.

Odsunęła się, mówiąc przekornie:

- Tak, nawet kanalizacja jest wspólna.
- Gdzie spędza dziś wieczór twoja matka?
- Wyszła na kolację.
- To jedna z najmądrzejszych kobiet, jakie znam.
- Dlaczego?
- Nigdy się nam nie narzuca, prawda?
- Ach, to... Faktycznie.
- Jak powiedziałem, mądra kobieta... Dobrze, chodźmy. – Odsunął się nieco i przyjrzał dziewczynie. –

Wyglądasz dziś przepięknie. I tak być powinno.

- Czemu tak ci zależy na dzisiejszym wieczorze? Świątujemy coś?
- Owszem. A co, o tym dowiesz się później.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Kilka godzin później Sara powtórzyła to samo pytanie.

Siedzieli w zadymionym wnętrzu jednego z najdroższych nocnych klubów w Londynie. Był zatłoczony, miał niewydolną wentylację i – o ile można to było stwierdzić – niczym się nie różnił od innych tego typu przybytków, lecz przynajmniej chwilowo był modny.

Raz czy dwa Sara wracała do intrygującego ją tematu, ale Lawrence skutecznie odpierał jej podchody. Był zresztą mistrzem w kreowaniu napięcia.

Zapaliła papierosa i rozejrzała się dookoła.

– Większość nobliwych znajomych mojej mamy uznałaby za skandal, że wolno mi się pokazywać w takim miejscu – powiedziała.

– A to, że pokazujesz się ze mną, uznaliby za grzech śmiertelny?

Sara wybuchnęła śmiechem.

– Dlaczego właściwie uważa się ciebie za takiego libertyna? Uwodzisz nieletnie dziewczęta?

Steene wzdrygnął się z niesmakiem i odparł:

– To za mało wyrafinowane.

– A zatem co?

– Biorę udział w czymś, co gazety nazywają gorszącymi orgiami.

– Słyszałam, że wydajesz dość szczególne przyjęcia – powiedziała bez ogródek.

– Można to i tak nazwać. Prawda jest taka, że brzydzę się konwenansem. Z życia można wyciągnąć bardzo wiele, jeśli człowiek ma odwagę eksperymentować.

– Też tak uważam! – zapaliła się Sara.

– Właściwie nie przepadam za młodymi dziewczętami – ciągnął Steene. – Są głupie, płytkie, niewyrafinowane. Ale ty jesteś inna, Saro. Masz w sobie odwagę i ogień... prawdziwy ogień. – Powoli obwiodł spojrzeniem jej sylwetkę, jakby pieścił ją wzrokiem. – Poza tym masz piękne ciało. Ciało, które czerpie przyjemność ze zmysłów. Potrafi odczuwać... smakować... Sama jeszcze nie wiesz, jak ogromne masz możliwości.

Sara uczyniła wysiłek, żeby ukryć reakcję swego ciała na te słowa, i rzuciła, siląc się na lekki ton:

– Bardzo dobra przemowa. Jestem pewna, że robi wrażenie na pannach.

– Moja droga, większość panien śmiertelnie mnie nudzi. Ty nie. I właśnie dlatego – uniósł kieliszek – dziś świętujemy.

– Dobrze, ale właściwie co świętujemy? Po co te tajemnice?

Uśmiechnął się do niej.

– To żadna tajemnica, a rzecz wręcz banalna. Dziś uprawomocnił się mój rozwód.

– Och... – Sara była zaskoczona.

Steene przyglądał się jej spokojnie.

– Droga wolna – powiedział. – Co ty na to?

– Co ja na co? – odpowiedziała pytaniem.

W głosie Steene'a pojawiła się brutalna nutka:

– Nie udawaj przede mną niewiniątka. Doskonale wiesz, że chcę cię mieć. Wiesz o tym nie od dzisiaj.

Umknęła wzrokiem. Serce biło jej rozkosznie. Larry miał w sobie coś bardzo podniecającego.

– Pociąga cię większość kobiet, nieprawdaż?

– Ostatnio bardzo niewiele. A w tej chwili wyłącznie ty. – Urwał i dodał cicho, prawie zdawkowo: –

Dlatego za mnie wyjdiesz.

– Nie chcę wychodzić za mąż. Zresztą spodziewałabym się raczej, że będziesz się cieszył odzyskaną wolnością, a nie starał się natychmiast związać po raz kolejny.

– Wolność to tylko złudzenie.

– Jesteś żywą antyreklamą instytucji małżeństwa. Twoja ostatnia żona była bardzo nieszczęśliwa, prawda?

– Płakała niemal bez przerwy przez ostatnie dwa miesiące przed rozstaniem – odparł najspokojniej w świecie.

– Pewnie dlatego, że jej na tobie zależało?

– Bardzo możliwe. Zawsze była niewiarygodnie głupią kobietą.

– To po co się z nią ożeniłeś?

– Bo wyglądała dokładnie jak madonna wczesnych prymitywistów. To mój ulubiony okres w sztuce. Ale tego rodzaju dzieła prędko powszednieją.

– Jesteś cynicznym sadystą. – W duszy Sary odraza mieszała się z fascynacją.

– I właśnie to ci się we mnie podoba. Gdybym był solidnym materiałem na dobrego i wiernego męża, nawet byś na mnie nie spojrzała.

– Jedno, co muszę ci przyznać, to to, że jesteś szczery.

– Chcesz żyć układnie czy wolisz żyć niebezpiecznie?

Nie odpowiedziała. Zaczęła się bawić kawałkiem chleba na talerzu. Potem zapytała:

– A twoja druga żona... Moira Denham, o której mówiła pani Laura... Co z nią?

– Powinnaś zapytać pani Laury. – Uśmiechnął się. – Wyłuszczy ci wszystko od A do Z. Moira była przemiłą naiwną dziewczyną, a ja zламаłem jej serce, jak określiliby to romansopisarze.

– Muszę stwierdzić, że stanowisz spore zagrożenie dla żon.

– Pierwszej nie zламаłem serca, mogę cię zapewnić. Odeszła ode mnie, albowiem nie spełniałem jej wysokich standardów moralnych. Prawda wygląda tak, Saro, że żadna kobieta nie jest zadowolona z mężczyzny, którego dostaje przy ołtarzu. Zawsze chce go zmienić, przerobić. Ale ja przynajmniej nie staram się przed tobą ukryć mojej prawdziwej natury. Lubię żyć na krawędzi. Lubię kosztować zakazanych owoców. Jestem amoralny i nikogo innego nie udaję.

Zniżył głos.

– Mogę ci wiele dać, Saro. I nie mam na myśli tylko tego, co się da kupić za pieniądze: futer, by otulały twoje cudowne ciało, czy klejnotów, które będą błyszczeć na twojej białej skórze. Prócz nich mogę ci zaoferować pełną gamę odczuć. Sprawię, że będziesz ż y ł a, Saro; będziesz c z u ł a. Pamiętaj, że życie to doznanie.

– Tak... chyba tak...

Patrzyła na niego zgorszona i urzeczona zarazem. Nachylił się bliżej.

– Co ty w ogóle wiesz o życiu, Saro? Nic! Mniej niż nic! Zabiorę cię w różne miejsca, straszne i odrażające, gdzie ujrzysz, jak życie mknie pośpiesznie, brutalnie, morderczo, gdzie będziesz odczuwać... odczuwać! Aż samo życie stanie się dla ciebie mroczną ekstazą...

Zmrużył oczy, obserwując efekt, jaki wywarły jego słowa. Potem z rozmysłem zniweczył urok.

– Dobra – rzekł wesoło. – Lepiej już stąd chodźmy. – Skinął na kelnera, żeby przyniósł rachunek, i uśmiechnął się z roztargnieniem. – Teraz zawiozę cię do domu – wyjaśnił.

W luksusowej ciemności jego samochodu siedziała jak na szpilkach, ale Lawrence nawet nie próbował jej dotknąć. W głębi duszy była rozczarowana.

Steene uśmiechał się nieznacznie. Doskonale zdawał sobie sprawę z jej zawodu. Instrukcję obsługi kobiety miał w małym palcu.

Odprowadził ją do mieszkania. Otworzyła drzwi swoim kluczem, weszła do salonu i zapaliła światło.

– Drinka? – spytała.

– Nie, dziękuję. Dobranoc, Saro.

Coś kazało jej go zatrzymać. Na to liczył.

– Larry...

– Tak? – Przystanął w progu z głową obróconą przez ramię i znów zmierzył ją wzrokiem z satysfakcją konesera. Była doskonałością. Idealem. Tak, za wszelką cenę musiał ją mieć. Puls nieco mu przyspieszył, ale na twarzy nie odbiło się zupełnie nic.

– Wiesz, myślę...

– Tak? – Zawrócił, stanął przy niej. Mówili cicho, zdając sobie sprawę, że tuż za ścianą śpi jej matka i Edith.

– Widzisz, chodzi o to, że ja cię tak naprawdę nie kocham – wyrzuciła z siebie Sara.

– Nie?

Coś w jego głosie kazało jej mówić dalej, pośpiesznie, z wysiłkiem:

– Nie. To znaczy nie tak, jak trzeba. Gdybyś na przykład stracił wszystkie pieniądze i... czy ja wiem, na przykład wyjechał uprawiać pomarańcze, w ogóle bym o tobie nie myślała.

– Bardzo rozsądnie.

– Ale to dowodzi, że cię nie kocham.

– Nic nie znudziłoby mnie bardziej niż romantyczne oddanie. Nie tego od ciebie chcę, Saro.

– No to... czego?

To nie było mądre pytanie, ale chciała je zadać. Chciała się przekonać.

Stał tuż za nią. Nagle, bez ostrzeżenia, schylił się i pocałował ją w kark. Jego ręce oplótły ją, ujęły piersi. Zaczęła się wyrywać, lecz po chwili uległa. Jej oddech przyspieszył.

Chwilę później Lawrence wypuścił ją i rzekł cicho:

– Nie mów, że nic do mnie nie czujesz, bo skłamiesz.

A potem wyszedł.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Anna wróciła do domu trzy kwadransy przed Sarą. Wchodząc do przedpokoju, zobaczyła uchylające się drzwi pokoju Edith, a w nich głowę najeżoną staromodnymi papilotami.

Westchnęła z rozdrażnieniem. Ostatnimi czasy Edith coraz bardziej ją irytowała.

– Panienki jeszcze nie ma – oznajmiła gosposia bez wstępów.

Niewypowiedziana słowami krytyka bijąca z tej uwagi rozżłościła Annę do reszty.

– No i co z tego? – warknęła.

– Jest o wiele za młoda, żeby włóczyć się po nocach.

– Nie pleć bzdur, Edith. Czasy się zmieniły. Dziewczęta wychowuje się teraz inaczej. Same o sobie decydują.

– Szkoda – odburknęła gosposia. – Bo skutkiem jest płacz i zgrzytanie zębów.

– Dawniej też wpadały w kłopoty – odparła Anna sucho. – Były naiwne i nieświadomione, a jeżeli którąś ciągnęło do chłopców, to i tak nikt na świecie nie zdołałby jej upilnować. Dziś dziewczęta wszystko czytają, wszędzie bywają i wszystko robią.

– A! – wykrzyknęła Edith złowieszczco. – Uncja doświadczenia warta funta nauki? No cóż, skoro pani jest zadowolona, to mnie nic do tego. Powiem tylko, że są mężczyźni i mężczyźni, a ten, z którym pani dzisiaj wyszła, bardzo mi się nie podoba. Kropka w kropkę podobny do tego, który wpędził w kłopoty młodszą córkę mojej siostry Nory. Za późno będzie płakać nad rozlanym mlekiem.

Mimo rozdrażnienia Anna uśmiechnęła się pod nosem. Edith i jej krewni! Obraz wyrafinowanej, pewnej siebie Sary w roli skrzywdzonej wieśniaczki połechtał jej poczucie humoru.

– Dobrze, nie zrzedź już, idź spać – powiedziała. – Odebrałaś z apteki moje środki nasenne?

Edith chrząknęła z dezaprobatą.

– Znajdzie je pani przy łóżku. Nic dobrego z nich pani nie przyjdzie. Ani się pani nie spostrzeże, jak bez pastylki w ogóle już nie zaśnie. I będzie pani jeszcze bardziej nerwowa niż teraz.

– Nerwowa? – Anna obróciła się do niej z furią. – Wcale nie jestem nerwowa!

Edith nie odpowiedziała. Chrząknęła tylko znacząco, zacisnęła usta w ciasną podkówkę i wycofała się do swojego pokoju. Anna, wściekła, poszła do siebie.

Doprawdy, myślała, ta kuchta z dnia na dzień nabiera tupetu! Nie wiem, dlaczego wciąż to znoszę.

Nerwowa? Oczywiście, że nie była nerwowa. Po prostu od pewnego czasu miewała kłopoty z zaśnięciem. Każdy czasem cierpi na bezsenność. Znacznie rozsądniej jest zażyć lek i porządnie wypocząć niż leżeć z otwartymi oczyma, nasłuchując uderzeń zegara i walcząc z myślami, które gonią w kółko jak... jak wiewiórki w klatce. Doktor McQueen wykazał pełne zrozumienie i wypisał jej receptę na łagodną i nieszkodliwą pochodną bromu. Specyfik, który pomoże jej się uspokoić i przestać myśleć.

Boże drogi, dlaczego każdy jej się czepia? Edith, Sara, nawet ta kochana staruszka Laura. W stosunku do Laury miała trochę wyrzutów sumienia. Powinna była do niej zadzwonić już tydzień temu. Tylko że... wcale nie miała ochoty wystawiać się na jej przenikliwe komentarze. Laura czasem potrafiła być nieprzyjemna...

Sara i Lawrence Steene? Czy naprawdę coś ich łączy? Dziewczęta lubią się afiszować z mężczyznami o złej reputacji... To pewnie nic poważnego. A nawet jeśli...

Brom zadziałał, ale nawet we śnie rzucała się i przewracała w pościeli.

Kiedy nazajutrz rano piła kawę, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i westchnęła z irytacją, słysząc mocny, szorstki głos Laury Whitstable.



– Anno, czy Sara często się spotyka z Larrym Steene'em?

– Na miłość boską, Lauro, musisz dzwonić o świcie i zadawać mi takie pytania? A skądże ja mam wiedzieć?

– Jesteś jej matką, prawda?

– Owszem, ale w dzisiejszych czasach dzieci nie spowiadają się rodzicom. I nie przedstawiają im rozkładu dnia do akceptacji.

– Daj spokój, Anno, nie fechtuj się ze mną słówkami. Czy on się do niej zaleca?

– Nie sędzę. Zresztą z tego co wiem, wciąż jest żonaty.

– Jego rozwód uprawomocnił się wczoraj, czytałam w gazecie. Ile o nim wiesz?

– Jest jedynym synem sir Henry'ego Steene'a. I tarza się w pieniądzech.

– A wiesz, jaką ma opinię?

– Ach, to! Dziewczęta zawsze lgną do donżuanów, tak było już w czasach lorda Byrona. Ale to w gruncie rzeczy jeszcze nic nie znaczy...

– Chciałabym z tobą porozmawiać. Będiesz wieczorem w domu?

– Nie, wychodzę – odpowiedziała szybko Anna.

– Wobec tego o szóstej...

– Przykro mi, Lauro. Idę na cocktail party.

– Dobrze, przyjdę o piątej. Chyba że wolisz – w głosie Laury Whitstable zabrzmiała ponura determinacja – żebym przyszła zaraz?

Anna skapitulowała z wdziękiem.

– O piątej. Już się cieszę.

Odłożyła słuchawkę z gniewnym westchnieniem. Laura jest niemożliwa. Wszystkie te komisje, Narody Zjednoczone i inne cuda przewróciły jej w głowie.

– Nie chcę, żeby mnie tu wciąż nachodziła! – powiedziała do siebie z niepokojem.

Mimo to powitała przyjaciółkę z wszelkimi znamionami radości. Paplała wesoło i nerwowo, zanim Edith wniosła herbatę. Natomiast Laura Whitstable była wyjątkowo jak na nią milcząca. Słuchała i odpowiadała na pytania, lecz nic ponadto.

W końcu, kiedy konwersacja już całkiem zamarła, starsza pani odstawiła filiżankę i wypaliła – jak to ona – prosto z mostu:

– Nie chciałabym cię martwić, Anno, ale tak się złożyło, że w drodze ze Stanów byłam świadkiem rozmowy dwóch mężczyzn o Larrym Steenie, a to, co mówili, nie przynosiło mu chluby.

Anna prędko wzruszyła ramionami.

– Och, podsłuchane plotki...

– Są często niezmiernie interesujące – wpadła jej w słowo pani Laura. – To byli przyzwoici ludzie, a ich opinia była jednoznacznie miążdżąca. Poza tym znam Moirę Denham, która była jego drugą żoną. Znałam ją przed ślubem i później. Przeżyła ciężkie załamanie nerwowe.

– Sugerujesz, że Sara...

– Nie, nie sugeruję, że małżeństwo ze Steene'em zrobi z Sary wrak człowieka. Jest silniejsza, trudno ją porównać do motyla pod walcem drogowym.

– A więc...

– Ale sędzę, że może być z nim bardzo nieszczęśliwa. I jest jeszcze trzecia rzecz. Czytałaś może w gazetach o kobiecie nazwiskiem Sheila Vaughan Wright?

– To miało coś wspólnego z narkotykami?

– Tak. Właśnie po raz drugi stanęła przed sądem. Zmierzam do tego, że Lawrence Steene jest wyjątkowo groźnym człowiekiem. W razie gdybyś o tym nie wiedziała. A może wiesz?

– Wiem, że krążą o nim plotki – przyznała niechętnie Anna. – Ale czego ode mnie oczekujesz? Nie mogę zabronić Sarze się z nim spotykać. Gdybym to zrobiła, prawdopodobnie wepchnęłabym ją w jego

ramiona. Dziewczęta, jak dobrze wiesz, nie znoszą dyktatu. Nadałby całej sprawie dodatkowej atrakcji. W tej chwili absolutnie nie podejrzewam, żeby traktowała serio tę znajomość. On składa jej hołdy, a jej to pochlebia, zwłaszcza że Steene ma tak złą opinię. Czyżbyś sądziła, że chce się z nią ożenić?

– Jestem o tym przekonana. To kolekcjoner.

– Nie bardzo pojmuję, co masz na myśli.

– Pewien typ człowieka... nie najlepszy typ. Załóżmy, że naprawdę by się jej oświadczył. Jak się na to zapatrujesz?

– A czy moje zapatrywania kogokolwiek obchodzą? – spytała Anna gorzko. – Córki robią, co chcą, i wychodzą za tego, za kogo zechcą.

– Ale Sara znajduje się pod twoim dużym wpływem.

– O nie, Lauro, tu się mylisz. Sara chodzi własnymi drogami. A ja się nie wtrącam.

Laura Whitstable przyjrzała jej się uważnie.

– Wiesz co, Anno, chyba niezupełnie cię rozumiem. Nie byłabyś zmartwiona, gdyby wyszła za tego człowieka?

Anna zapaliła papierosa i zaciągnęła się niecierpliwie.

– To wszystko jest takie trudne... Niejeden ladaco okazał się w końcu całkiem dobrym mężem, kiedy się wyszalał za młodą. A patrząc na rzecz pod kątem czysto praktycznym, Larry Steene to bardzo dobra partia.

– To chyba nie jest dla ciebie najważniejsze? Myślę, że pragniesz dla Sary szczęścia, nie bogactwa.

– Och, oczywiście. Ale chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że Sara kocha się w pięknych rzeczach. Lubi żyć w luksusie. Ceni go znacznie bardziej niż ja.

– Ale nie jest to dla niej jedyne kryterium?

– Mówię ci, że nie wiem! Myślę, że Sara... no cóż, zawahałaby się, nim poślubiłaby człowieka ubogiego. Ujmijmy to w ten sposób.

– Właśnie się zastanawiam... – orzekła pani Laura w zadumie.

– Dzisiejsze dziewczęta myślą i mówią wyłącznie o pieniądzach.

– Och, m ó w i ą! Słyszałam niejedną wypowiedź Sary, niech jej Bóg strzeże. Wszystko twardo, rzeczowo i bez sentymentów. Ale język jest nam dany nie tylko po to, by wyrażać myśli, lecz także, by je ukrywać. W każdym pokoleniu młode kobiety mówią to, co dyktuje im aktualny wzorzec. Pytanie brzmi: czego Sara naprawdę c h c e?

– Nie mam pojęcia – przyznała Anna. – Sądzę jednak, że głównie przyjemności.

Pani Laura zmierzyła ją szybkim spojrzeniem.

– Myślisz, że jest szczęśliwa?

– O, tak. Życie jest dla niej ciągłą zabawą.

– Nie wyglądała na bardzo szczęśliwą, kiedy...

– One wszystkie udają wiecznie niezadowolone – ucięła ostro Anna. – To poza.

– Być może. Uważasz więc, że nie jesteś w stanie wyperswadować jej Steene'a?

– Nie widzę sposobu. Czemu t y z nią nie porozmawiasz?

– Nie mogę. Jestem tylko chrestną matką. To nie leży w mojej gestii.

Anna zarumieniła się ze złości.

– Uważasz, że w mojej?

– Chyba nie. Jak sama stwierdziłaś, gadanie niewiele pomaga.

– A zatem powinnam działać?

– Niekoniecznie.

– To o co ci naprawdę chodzi?

Laura Whitstable wbiła wzrok w przeciwległą ścianę.

– Zastanawiam się tylko, co ty sobie myślisz.

– Ja?

– Tak.

– Nic. Zapewniam cię, że nic zupełnie.

Laura Whitstable oderwała wzrok od ściany i rzuciła Annie czujne, ptasie spojrzenie.

– Istotnie – powiedziała. – Tego się obawiałam.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– To się nie dzieje na poziomie umysłu, tylko znacznie głębiej.

– Och, tylko nie opowiadaj mi tych bredni o podświadomości! Wciąż mam wrażenie, że o coś mnie oskarżasz.

– Nie oskarżam cię.

Anna wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

– Nie wiem, do czego pijesz. Sara jest dla mnie wszystkim. Dobrze wiesz, ile zawsze dla mnie znaczyła. I ile... ile dla niej poświęciłam!

– Wiem, że dwa lata temu poniosłaś dla niej wielką ofiarę – przyznała z powagą pani Laura.

– No właśnie! Czy to nie dowód?

– Dowód na co?

– Jak bardzo kocham Sarę.

– Moja droga, to nie ja sugeruję, że jej nie kochasz. Bronisz się, choć w ogóle cię nie oskarżam. – Pani Laura wstała. – Muszę iść. Możliwe, że niemądrze zrobiłam, przychodząc.

Anna odprowadziła ją do drzwi.

– Widzisz, to wszystko jest takie nieokreślone... Nic namacalnego, na czym można by się oprzeć...

– Tak, tak.

Laura milczała przez chwilę, jakby zbierała się w sobie, po czym nagle stwierdziła z mocą:

– Problem z poświęceniem polega na tym, że nie kończy się w chwili złożenia ofiary. Trwa znacznie dłużej.

Przyjaciółka spojrzała na nią zaskoczona.

– Co ty mówisz, Lauro?

– Nic. Miej się dobrze, moja droga, i przyjmij od mnie słówko profesjonalnej porady. Zwolnij tempo. Żyjesz tak intensywnie, że nie masz czasu myśleć.

Anna zaśmiała się, odzyskując dobry humor.

– Będę siedzieć i myśleć, kiedy zrobię się za stara na cokolwiek innego – oznajmiła wesoło.

Po wyjściu pani Whitstable Edith wychynęła z kuchni, żeby pozbierać naczynia, Anna zaś rzuciła okiem na zegar, wydała spłoszony okrzyk i pobięła do swojej sypialni.

Pomalowała twarz ze szczególną pieczołowitością, patrząc z bliska w lustro. Ta nowa fryzura jest bardzo udana, pomyślała. Rzeczywiście wyglądam w niej znacznie młodziej.

Słyszając pukanie do drzwi wejściowych, zawołała:

– Są jakieś listy?

Chwilę trwało, nim Edith przejrzała pocztę.

– Tylko rachunki, proszę pani, i jeden do panny Sary. Z Afryki Południowej. – Gospoia zaakcentowała ostatnie słowa, lecz Anna nie zwróciła na to uwagi. Wróciła do salonu w tej samej chwili, w której Sara weszła do mieszkania, otworzywszy drzwi własnym kluczem.

– Chryzantemy są ładne, ale nie cierpię ich zapachu – sarknęła. – Chyba zwolnię się od Noreen i zatrudnię jako modelka. Sandra błaga mnie o to od miesięcy. I znacznie lepiej płaci! Cześć, spóźniłam się na proszoną herbatkę? – dodała, widząc Edith z pustą filiżanką.

– Odwiedziła mnie Laura.

– Laura? Znów? Była tu wczoraj.

– Wiem. – Anna zawahała się na moment, a potem dokończyła: – Przyszła oznajmić, że nie powinnaś

się widywać z Larrym Steene'em.

– Tak? Martwi się o mnie biedulka? Boi się, że pożre mnie wielki zły wilk?

– Najwyraźniej. Twierdzi, że Steene ma całkiem zszarganą opinię – dodała Anna z naciskiem.

– O tym wie cały Londyn, jeśli nie cały świat. Czy ja widziałam w holu jakieś listy? – Sara wyszła i wróciła z kopertą opatrzoną południowoafrykańskim znaczkiem.

– Laura zdaje się uważa, że powinnam ci tego zakazać.

– Co? – bąknęła z roztargnieniem Sara wpatrzona w kopertę.

– Laura sądzi, że powinnam ci zabronić widywania się z Lawrence'em.

– Kochana, a jak mogłabyś mi zabronić? – roześmiała się Sara.

– To właśnie jej powiedziałam – oznajmiła Anna triumfalnie. – Matki są dziś zupełnie bezradne.

Sara usiadła na poręczy fotela, rozerwała kopertę. Wyjęła z niej dwie złożone kartki i zaczęła czytać.

– Człowiek zapomina, ile ona ma lat – ciągnęła Anna. – Zupełnie straciła kontakt ze współczesnym światem. Oczywiście jeśli mam być szczerą, to twoja znajomość z Larrym Steene'em troszkę mnie zmartwiła, ale postanowiłam nic ci nie mówić, żeby nie pogorszyć sprawy. Z pewnością mogę ci zaufać, że nie popełnisz jakiegoś kardynalnego głupstwa.

– Oczywiście, kochana – mruknęła Sara, nie odrywając oczu od listu.

– Musisz mieć swobodę wyboru własnych przyjaciół. Uważam, że czasami wiele tarć wynika właśnie stąd, że...

Zadzwonił telefon.

– Och, mój Boże, znowu ten telefon! – Anna skwapliwie podskoczyła do aparatu.

– Halo? Tak, przy telefonie. Tak... kto? Nie dosłyszałam nazwiska. Cornford? A, Cauld... Och! Och, co ja mówię! To ty, Richardzie? Tak, bardzo dawno... Jakież to miłe z twojej strony... Nie, oczywiście, że nie, będę zachwycona. Naprawdę. Często się zastanawiałam... Co porabiałeś przez te wszystkie lata?... Co? Naprawdę?... Gratuluję, naprawdę bardzo się cieszę. Nie wątpię, że jest czarująca... To bardzo, bardzo miłe... Chętnie ją poznam...

Sara wstała z poręczy i ruszyła do drzwi, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. W dłoni ścisnęła zmięty list.

– Nie, jutro nie mogę... – ciągnęła Anna. – Zaczekaj chwileczkę, zerknę do terminarzyka... – Sara! – zawołała nagląco.

Sara zawróciła z przedpokoju.

– Tak?

– Gdzie mój notesik?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała dziewczyna z roztargnieniem.

– To poszukaj! – syknęła poirytowana matka. – Musi gdzieś być. Pewnie przy moim łóżku. I pośpiesz się, bardzo cię proszę!

Sara wyszła z pokoju i wróciła po chwili z terminarzem Anny.

– Proszę.

Anna przerzuciła kartki.

– Jesteś tam, Richardzie? Nie, w porze lunchu nie będzie mnie w domu. Nie dacie rady wpaść na drinka w czwartek?... No tak, rozumiem. Szkoda. Ani na lunch? Czy naprawdę m u s i c i e jechać zaraz z rana? A gdzie się zatrzymaliście? Przecież to tuż obok mnie! Najlepiej przyjdźcie od razu na szybkiego drinka... Tak, wychodzę, ale mam jeszcze całe mnóstwo czasu... No, cudownie! Czekam.

Odłożyła słuchawkę i zastygła obok telefonu, wpatrując się w przestrzeń.

– Kto to? – spytała Sara bez większego zainteresowania i dodała z wysiłkiem: – Wiesz... dostałam list od Gerry'ego.

Anna nagle ocknęła się z bezruchu.

– Powiedz Edith, żeby wyjęła najlepsze szkło i lód. Prędko. Zaraz tu będą.

– Kto? – Sara zawróciła posłusznie.

– Richard. Richard Cauldfield!

– Kto to jest?

Anna spojrzała na nią ostro, ale twarz dziewczyny była zupełnie obojętna. Wyszła rozmówić się z Edith. Po powrocie powtórzyła z naciskiem:

– Dzwonił Richard Cauldfield.

– Kto to jest Richard Cauldfield? – zapytała niepewnie Sara.

Anna kurczowo splotła ręce. Gniew, który ją w tej chwili opanował, był tak silny, że milczała przez chwilę, wiedząc, że nie zapanowałaby nad głosem.

– A więc... – odchrząknęła. – Nie pamiętasz nawet jego nazwiska?

Spojrzenie Sary uciekło raz jeszcze na trzymany w ręku list.

– Znałam go? – spytała całkiem szczerze. – Musisz mi przypomnieć.

Tym razem ochrypli z wściekłości głos Anny zaakcentował każdą sylabę:

– Ri-char-d Cauld-field.

Sara podniosła wzrok, zaskoczona.

– Nie! Stary Kalafior?

– Owszem.

– Ależ to dowcip miesiąca! Nie do wiary, że znów się pokazał. Nadal chce walczyć o twoją rękę?

– Nie. Ożenił się – odparła krótko Anna.

– Chwała Bogu. Ciekawa jestem, jak ona wygląda.

– Zaprosiłam ich na drinka. Nocują w Langport, więc będą tu za chwilę. Uprzątnij te książki, proszę.

I wynieś swoje okrycia do holu. Rękawiczki także.

Anna otworzyła torebkę, uważnie przejrzała się w lusterku. Kiedy Sara wróciła do pokoju, spytała:

– Dobrze wyglądam?

– Ślicznie – odparła z roztargnieniem jej córka, rozmyślając nad czymś z marsmem na czole.

Anna zamknęła torebkę i zakreśliła się nerwowo po salonie, przesuwając krzesła i poduszki.

– Dostałam list od Gerry’ego – bąknęła Sara.

– Tak? Ten wazon z brązowymi chryzantemami będzie lepiej wyglądał na stoliku w rogu.

– Miał straszego pecha.

– Tak? Pudełko z papierosami tutaj... Zapalki!

– Jakaś zaraza zniszczyła cały zbiór, wpadli w długi i teraz muszą sprzedać plantację. Nie zarobili ani grosza.

– Jaka szkoda. Ale nie powiem, żeby była zaskoczona.

– Dlaczego?

– Bo Gerry’emu zawsze przytrafia się coś takiego – rzuciła obojętnie Anna.

– Fakt... – Sara zmarkotniała. Jej święte oburzenie krzywdą Gerry’ego nie było już tak płomienne jak jeszcze chwilę temu. – To nie jego wina... – dodała ze znacznie mniejszym przekonaniem.

– Możliwe – odparła z roztargnieniem Anna – ale obawiam się, że czegokolwiek się chwyci, to mu nie wyjdzie.

– Tak myślisz? – Sara znowu usiadła na poręczu krzesła i spytała z przejęciem: – Naprawdę uważasz, że Gerry niczego w życiu nie osiągnie?

– Na to wygląda.

– A mimo to wiem, jestem pewna... że to wartościowy chłopak.

– Jest czarujący – przyznała Anna. – Ale to za mało, żeby przebić się w świecie.

– Pewnie masz rację... – Sara westchnęła.

– Gdzie jest sherry? Richard zawsze wolał sherry od ginu. A, tutaj!

– Gerry jedzie do Kenii z innym znajomym. Będą sprzedawać i naprawiać samochody.

– To niewiarygodne – skomentowała Anna – ilu nieudaczników ląduje w warsztatach samochodowych.

– Ale on zawsze miał talent do mechaniki. Wyremontował tu sobie na błysk auto, które kupił za dziesięć funtów. I to nie tak, że jest leniwy. Potrafi pracować, nawet bardzo ciężko. Tylko że... – wykrztusiła – myślę, że ma kłopoty z trafnym osądem.

Anna po raz pierwszy spojrzała na córkę z uwagą.

– Na twoim miejscu – powiedziała ciepło, lecz stanowczo – wybiłabym sobie Gerry’ego z głowy.

Sara zgarbiła się, wargi jej zadrżały.

– Tak? – spytała niepewnie.

Dzwonek u drzwi wydzwonił bezdusznie naglący apel.

– Już są – szepnęła Anna. Podeszła do kominka i stanęła przy nim w wystudiowanej pozie.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Richard wszedł do pokoju z bardzo pewną miną, którą zawsze przybierał, gdy był speszony. Gdyby nie nalegania Doris, za nic by tu nie wrócił. Ale Doris była ciekawa. Namawiała, nudziła, dopominała się i dąsała. Była bardzo młoda, ładna i poślubiwszy mężczyznę znacznie od siebie starszego, zamierzała go wodzić na pasku.

Anna ruszyła im na powitanie, uśmiechając się uroczo. Czuła się jak aktorka na scenie.

– Richard! Jakże się cieszę z tego spotkania! To, jak sądzę, twoja małżonka?

Pod przykrywką uprzejmych powitań i szablonowych uwag umysły pracowały pełną parą.

Richard myślał: Jak ona się zmieniła... Nie poznałbym jej na ulicy...!

A potem, z niejaką ulgą: Nie pasowałaby do mnie... O, nie. Zanadto wyrafinowana, modna... Światowa. Nie mój typ.

Poczuł nagły przyptyw czułości dla swojej żony. Och, był nią zauroczony bez reszty! Ale czasami zdawał sobie sprawę, że wymuszenie poprawna wymowa Doris zaczyna działać mu na nerwy, a jej snobizm też robi się nużący. Nigdy nie przyznał na głos, że popełnił mezalians. Poznał ją w hotelu na południowym wybrzeżu; jej ojciec był emerytowanym budowlańcem i rodzina była bardzo zamożna – ale bywały i takie chwile, kiedy teściowie nieznośnie go drażnili. Na szczęście zdarzało się to teraz znacznie rzadziej niż przed rokiem. Zaczynał też akceptować znajomych Doris jako ludzi, z którymi naturalną kolejną rzeczą w końcu by się zaprzyjaźnił. Wiedział, że to nie to, o czym zawsze marzył. Doris nie była w stanie mu zastąpić dawno zmarłej Aliny... Ale przywróciła młodość jego zmysłom, i to na razie mu wystarczało.

Doris, która nigdy nie wyzbyła się podejrzeń i zwyczajnej zazdrości o „tę panią Prentice”, była przyjemnie zaskoczona jej widokiem.

Ależ ona jest stara!, pomyślała z okrutną nietolerancją właściwą młodziem.

Urządzenie mieszkania wywarło na niej wrażenie. Córnka też była nieziemsko elegancka i wyglądała jak ktoś z okładki „Vogue”. Kiedy Doris uzmysłowiła sobie, że jej mąż bywał kiedyś w tym modnym salonie jako pełnoprawny narzeczony, Richard urósł nieco w jej oczach.

Anna, widząc go, przeżyła szok. Ten tokujący ze sztuczną swadą mężczyzna był dla niej obcym człowiekiem. Nie tylko dla niej – nie miał też nic wspólnego z dawnym Richardem. Rozeszli się w przeciwne strony i teraz nie istniała już żadna płaszczyzna, którą mogliby nazwać wspólną. Anna zawsze była świadoma dwóch osobowości ścierających się w Richardzie. Zawsze miał tendencję do bufonady i ograniczony światopogląd. Zawsze jednak stać go było na więcej. Był to w sumie nieskomplikowany człowiek o interesujących możliwościach. Drzwi do nich zamknęły się jednak nieodwołalnie. Dawny Richard, którego Anna kiedyś kochała, został dożywotnio zamknięty wewnątrz tego jowialnego, pospolitego i nieco nadętego brytyjskiego małżonka.

Dał się uwieść pozbawionej skrupułów prostytutce, pozbawionej zalet serca i umysłu, pozbawionej w ogóle wszelkich zalet poza świeżą białoróżową cerą i prymitywnym młodzieńczym seksapilem.

Ożenił się z nią, ponieważ Anna go odprawiła. Rozgniewany, zraniony, padł łatwym łupem pierwszej kobiety, która była do wzięcia i postanowiła go zdobyć. Cóż, może dobrze się stało. Wyglądał na szczęśliwego...

Sara podała im drinki i nawiązała uprzejmą pogawędkę. Jej myśli były całkiem nieskomplikowane i zawierały się w zdaniu: „Co za beznadziejni nudziarze!”. Nie była świadoma napiętej atmosfery.

W głębi duszy wciąż czuła tępy ucisk, pulsujące boleśnie imię „Gerry”.

– Przemeblowałaś, jak widzę? – Richard rozejrzał się po salonie.

– Piękne wnętrze! – zawtórowała mu Doris. – Regencja to najnowszy krzyk mody, prawda? Co tu było wcześniej?

– Staroświeckie różyczki – mruknął Richard. Przypomniał sobie ogień na kominku i siebie z Anną na wysłużonej sofie, którą zastąpił empirowy szezlong. – Tamten wystrój bardziej mi się podobał.

– Mężczyźni są tak strasznie konserwatywni, nie sądzi pani? – pisnęła Doris. – Rękami i nogami bronią się przed nowością.

– Moja żona bardzo się stara, żebym był na bieżąco z najnowszymi trendami – wyjaśnił Richard.

– Oczywiście, kochanie. Nie pozwolę ci się przedwcześnie zestarzeć – oznajmiła czule. – Nie sądzi pani, że wygląda teraz znacznie młodziej niż dwa lata temu?

– Wygląda znakomicie – bąknęła Anna, unikając jego wzroku.

– Grywam w golfa – powiedział.

– Mieliśmy wielkie szczęście. Znaleźliśmy dom w pobliżu Basing Heath. Już samo wyjście na górę i zejście jest dla Richarda świetną codzienną zaprawą. A pole golfowe jest wprost bajeczne! Oczywiście bardzo tam tłoczno w weekendy.

– W dzisiejszych czasach można mówić o szczęściu, gdy się znajdzie odpowiedni dom – przyznała Anna.

– O, tak. Jest świeżo zbudowany, bardzo nowoczesny, z instalacją elektryczną i gazową kuchnią. Richard próbował mnie namówić na jakiś próchniejący zabytek. Ale ja postawiłam na swoim! My kobiety jesteśmy praktyczniejsze od mężczyzn, nieprawdaż?

Anna odpowiedziała grzecznie:

– Jestem pewna, że nowoczesny budynek pozwala uniknąć wielu kłopotliwych awarii. Czy macie państwo ogród?

– Właściwie nie – odpowiedział Richard w tej samej chwili, w której jego żona powiedziała „tak”.

– Jak możesz tak mówić, kochanie! – zgromiła go wzrokiem. – Zasadziliśmy przecież tyle kwiatowych cebul!

– Ćwierć akra wokół domu – wyjaśnił.

Jego oczy na moment pochwyciły wzrok Anny. Rozmawiali kiedyś o ogrodzie, który mieliby, gdyby zamieszkali na wsi. Otoczony murem sad... duży trawnik obsadzony drzewami...

– A ty, młoda damo, co porabiasz? – zwrócił się śpiesznie do Sary. Dawny lęk przed nią znów dał o sobie znać, przez co słowa zabrzmiały jak sztuczny i niestosowny dowcip. – Pewnie co wieczór bawisz się na przyjęciach?

Sara zaśmiała się beztrząsco, myśląc w duchu: Zdażyłam już zapomnieć, jaki ten facet jest odrażający. Całe szczęście dla mamy, że popędziłam mu kota.

– O tak – powiedziała. – Ale nie upijam się do nieprzytomności częściej niż dwa razy w tygodniu. Taką mam zasadę.

– W dzisiejszych czasach dziewczęta za dużo piją. To bardzo niszczy cerę... chociaż muszę przyznać, że ty wciąż masz bardzo dobrą.

– Pamiętam, że zawsze interesował się pan kosmetyką – wycedziła słodziutko.

Podeszła do Doris, która rozmawiała z Anną.

– Należę pani jeszcze.

– Och, nie, dziękuję, panno Prentice, nie mogę. Nawet ten jeden koktajl uderzył mi do głowy. Co za piękny barek. Bardzo elegancki!

– Bardzo wygodny – powiedziała Anna.

– Nie wyszłaś jeszcze za mąż? – zagadnął Sarę Richard.

– Nie. Ale mam pewne uzasadnione nadzieje.



– Przypuszczam, że jeździ pani do Ascott i w tym podobne miejsca – zagadnęła Doris z zazdrością.

– W tym roku deszcz zniszczył mi najlepszą sukienkę – pocieszyła ją Sara.

– Wie pani – Doris zwróciła się znów do Anny. – Jest pani zupełnie inna, niż sobie wyobrażałam.

– Doprawdy?

– Chociaż z drugiej strony, mężczyźni nie mają talentu do opisów...

– Jak opisał mnie Richard?

– Czy ja wiem... Nie chodzi nawet o to, co mówił, raczej o wrażenie, jakie odniosłam. Wyobraziłam sobie, że jest pani taką małą cichą myszką! – Doris zaśmiała się piskliwie.

– Cichą myszką? Brzmi okropnie!

– O nie! Richard bardzo panią podziwiał. Naprawdę! Czasami byłam strasznie zazdrosna!

– Ależ to nonsens!

– No cóż, wie pani, jak to bywa. Ale kiedy wieczorem Richard jest milczący i nie ma ochoty na pogawędkę, dokuczam mu, mówiąc, że myśli o pani.

*Czy myślisz o mnie, Richardzie? Naprawdę? Wątpię. Starasz się o mnie nie myśleć, tak samo jak ja staram się nie myśleć o tobie.*

– Jeśli będzie pani kiedyś w okolicach Basing Heth, koniecznie musi nas pani odwiedzić, pani Prentice!

– Bardzo chętnie. Dziękuję za zaproszenie.

– Oczywiście tak jak wszyscy borykamy się z problemem służby domowej. Mamy tylko dochodzące, na których po prostu nie można polegać.

Richard przerwał kłopotliwą wymianę zdań z Sarą i zapytał:

– Masz jeszcze swoją starą Edith, prawda?

– Tak. Nie poradziłybyśmy sobie bez niej.

– Była świetną kucharką. Te obiadki...!

Na moment zapadła pełna zmieszania cisza.

Smakołyki Edith... Ogień na kominku... Obicia i zasłony w gałązki róż... Anna o cichym głosie i jasnobrązowych włosach. Rozmawiali, snuli plany na szczęśliwą przyszłość... Jej córka miała wrócić ze Szwajcarii, lecz ani przez moment nie spodziewał się zagrożenia z tamtej strony...

Przyglądając mu się, Anna przez ułamek sekundy widziała prawdziwego Richarda – swojego Richarda – wyzierającego z tych smutnych, pełnych wspomnień oczu.

*Prawdziwy Richard? Czy Richard należący do Doris jest mniej prawdziwy niż ten mój?*

Trwało to tylko chwilę, potem zniknął. Żegnał się z nią już ten drugi, małżonek Doris. Frazesy, zaproszenia... Czy oni nigdy sobie nie pójdą? Pospolita, zaborcza dziewczyna z piskliwym afektowanym głosem. Biedny Richard. Och, biedny Richard, a wszystko to zawdzięcza jej. Odesłała go do hotelu, w którym czekała Doris.

Czy naprawdę taki biedny? Ma młodą ładną żonę. Może być bardzo szczęśliwy.

Nareszcie! Poszli! Sara, która uprzejmie odprowadziła ich do drzwi, wróciła do salonu, wydając z siebie głośnie: „Uff!”.

– Chwała Bogu mamy to już za sobą! – Wiesz co, mamuś, masz szczęście, że za niego nie wyszłaś.

– Pewnie tak... – odezwała się Anna głosem osoby pogrążonej we śnie.

– Muszę cię o to spytać: czy dziś chciałabyś za niego wyjść?

– Nie – odpowiedziała Anna. – Teraz już nie.

*Rozeszliśmy się z miejsca, w którym zetknęły się nasze losy. Ty poszedłeś w jedną stronę, Richardzie, ja w inną. Nie jestem już kobietą, która spacerowała z tobą po St. James's Park, a ty nie jesteś mężczyzną, z którym się chciałam zestarzeć. Jesteśmy dwojgiem zupełnie innych, obcych sobie ludzi. Tobie nie spodobał się dzisiaj mój widok... a ja odkryłam, że jesteś nudny i nadęty.*

– Zanudziłabyś się z nim na śmierć – odezwał się młody, stanowczy głos Sary.

– Tak – odparła powoli. – To prawda. Zanudziłabym się na śmierć.

*Nie mogę teraz siedzieć w domu i czekać na starość. Muszę wychodzić, bawić się, zażywać ruchu, gwaru, hałasu!*

Sara pogładziła ją pieszczotliwie po ramieniu.

– Nie ma co do tego wątpliwości, kochana, że lubisz towarzystwo. Oszalałabyś z nudów zamknięta w jakimś domku na przedmieściu i nie mając nic do roboty poza czekaniem, aż Richard wróci z pracy piętnaście po szóstej albo ci opowie, jak zaliczył czwarty dołek w trzech rzutach! Nie nadajesz się do życia na wsi.

– Kiedyś by mi się to podobało.

*Stary, otoczony murem ogród, ocieniony drzewami trawnik, mały domek z czerwonej cegły w stylu królowej Anny. Richard nie grałby w golfa, tylko podlewał róże i sadił dzwonki pod drzewami. A gdyby rzeczywiście zaczął grać, byłabym dumna, że zaliczył czwarty dołek w trzech rzutach!*

Sara czule ucałowała ją w policzek.

– Wiesz co, mateczko? Powinnaś być mi dozgonnie wdzięczna za to, że wyciągnęłam cię z tej kabały. Gdyby nie ja, byłabyś dziś jego żoną.

Anna cofnęła się odrobinę. Utkwiła w córce oczy o rozszerzonych źrenicach.

– Wyszłabym za niego, gdyby nie ty... A teraz... teraz już nie chcę. Richard nic już dla mnie nie znaczy.

Podeszła do kominka, przesunęła palcem po gzymsie. Oczy jej pociemniały ze zdziwienia i bólu. Powiedziała cicho:

– Nic. Zupełnie nic! Życie to doprawdy bardzo kiepski dowcip!

Sara podeszła do barku i naląła sobie kolejnego drinka. Stała przez chwilę, obracając szklanekę w palcach, a w końcu, nie odwracając się, przemówiła niemal obojętnie:

– Właściwie powinienam ci o tym powiedzieć. Larry chce, żebym za niego wyszła.

– Lawrence Steene?

– Tak.

Anna milczała przez dłuższą chwilę. Potem spytała:

– I co zamierzasz?

Sara odwróciła się, rzuciła Annie błagalne spojrzenie, ale matka nie patrzyła na nią.

– Nie wiem... – powiedziała.

W jej głosie były smutek i lęk porzuconego dziecka. Zerknęła z nadzieją na matkę, ale twarz Anny była twarda i obojętna.

– No cóż, sama musisz podjąć decyzję.

– Wiem.

Sara podniosła ze stolika list Gerry'ego. Spojrzała na kartki, powoli zwinęła je w palcach. Podniosła głos prawie do krzyku:

– Ale ja nie wiem, co zrobić!

– A ja nie wiem, jak ci pomóc – odparła Anna.

– Ale co o tym myślisz, mamó? Och, powiedz coś!

– Już ci mówiłam, że ten człowiek ma złą opinię.

– Ach, to! To się nie liczy. Umarłabym z nudów, mając za męża wzór wszelkich cnót.

– Oczywiście jest bardzo bogaty. Będzie w stanie zapewnić ci wszelkie rozrywki. Ale jeśli go nie lubisz, nie powinnaś za niego wychodzić.

– Właściwie go lubię... w pewien sposób.

Anna wstała, spojrzała na zegar.

– No to w czym problem? – zapytała pogodnie. – Mój Boże, zapomniałam, że idę do Eliotów. Będę strasznie spóźniona!

– Mimo wszystko nie jestem pewna... – Sara urwała. – Bo widzisz...

– Jest ktoś inny?

– W zasadzie nie. – Sara zerknęła na zaciśnięty w dłoni list.

Anna powiedziała szybko:

– Jeśli myślisz o Gerrym, wybij go sobie z głowy. Ten chłopak to jedno wielkie życiowe fiasko. Im prędzej się z tym pogodzisz, tym lepiej.

– Pewnie masz rację...

– Oczywiście, że mam. Zapomnij o Gerrym. Jeśli nie zależy ci na Larrym Steenie, nie wychodź za niego. Jesteś jeszcze bardzo młoda. Masz mnóstwo czasu.

Sara nadąsana podeszła do kominka.

– Równie dobrze mogę za niego wyjść... Jest szalenie pociągający. Och, mam! – krzyknęła nagle. – Co ja mam robić?

– Doprawdy, moja droga, zachowujesz się jak dwuletnie dziecko! – fuknęła Anna ze złością. – Mam decydować za ciebie o twoim życiu? Tylko ty ponosisz za nie odpowiedzialność.

– Och, wiem.

– No to o co chodzi? – Anna zaczęła się niecierpliwić.

– Myślałam, że może jakoś mi pomożesz... – powtórzyła Sara z dziecinnym uporem.

– Już ci mówiłam, że nie musisz wychodzić za niego, jeśli nie jesteś do tego przekonana.

Nie zmieniając tonu, Sara powiedziała nagle:

– Ale chciałabyś się mnie już pozbyć z domu, prawda?

– Co ty wygadujesz? – zbeształa ją Anna – Oczywiście, że nie chcę się ciebie pozbyć. Co za pomysł!

– Przepraszam, mam. Nie chciałam cię rozgniewać. Tylko że wszystko się zmieniło, nie sądzisz?

Dawniej było nam razem tak dobrze! A teraz mam wrażenie, że bez przerwy działam ci na nerwy.

– Owszem, czasem bywam nerwowa – odparła zimno Anna. – Ale i ty miewasz humory.

– Och, pewnie to moja wina. – Sara milczała przez chwilę, nim podjęła w zadumie: – Wszystkie moje koleżanki dawno powychodziły za mąż. Pam i Betty, i Susan... Joan nie, ale ona robi karierę polityczną. – Urwała. – Właściwie małżeństwo z Lawrence'em nie byłoby takie złe... Miałabym pełne szafy sukien, futer i każde cacko, jakie mi się zamarzy...

– Owszem, też jestem zdania, że powinnaś wyjść za człowieka majątnego – oznajmiła sucho Anna. – Masz bardzo kosztowne gusta. I non stop przekroczony rachunek.

– Nie chciałabym być biedna – przyznała Sara.

Anna odetchnęła głęboko. Dręczyło ją uczucie, że w rozmowie z córką jest nieszczerą. Nie miała pewności, jak się zachować.

– Nie wiem, co ci doradzić – bąknęła. – Naprawdę uważam, że jest to wyłącznie twoja sprawa. Byłoby karygodnym błędem z mojej strony, gdybym pchała cię do tego małżeństwa albo ci je odradzała. Musisz sama podjąć decyzję. Chyba to rozumiesz?

– Tak, oczywiście – odparła Sara szybko. – Nie chcę cię zanudzać... Powiedz mi tylko jedną rzecz: co ty sądzisz o Larrym Steenie?

– Absolutnie nic. W ogóle nie mam zdania na jego temat.

– Bo widzisz, ja... czasem trochę się go boję...

– Kochanie! – Anna była ubawiona. – Co ty za głupstwa opowiadasz!

– Może i głupstwa...

Sara powoli zaczęła drzeć list Gerry'ego, najpierw na paski wzdłuż, potem w poprzek. Na koniec wyrzuciła kawałki w powietrze. Patrzyła, jak opadają niczym płatki śniegu w zadymce.

– Biedny stary Gerry... – powiedziała.

Potem jednak rzuciła matce szybkie spojrzenie:

– Ale w ogóle o b c h o d z i cię, co ze mną będzie?

– Saro! Jak możesz!

– Och, przepraszam, że ciągle do tego wracam. Po prostu czasem mam bardzo dziwne uczucie. Jakbym zgubiła się w burzy śnieżnej i nie mogła trafić do domu... Dziwne i przerażające... Wszystko się pozmieniało. Ty się zmieniłaś, mammo.

– Nonsens, skarbie. Ale teraz naprawdę muszę już iść.

– Skoro musisz, to musisz. To jakieś ważne przyjęcie?

– No cóż, przede wszystkim chcę obejrzeć te nowe murale, które zamówili sobie Eliotowie.

– Rozumiem. – Sara urwała i podjęła: – Wiesz, może nawet lubię Larry’ego bardziej, niż mi się zdaje.

– Wcale by mnie to nie zdziwiło – rzuciła lekko Anna. – Ale nie rób niczego pochopnie. Pa, moja słodka, muszę lecieć.

Po chwili trzasnęły za nią frontowe drzwi.

Sara podeszła do gramofonu i nastawiła płytę. Z głośnika dobiegł nabrzmiały melancholią głos Paula Robesona: *Sometimes I feel like a motherless child...*

– Ech, te pani płyty! – sarknęła Edith, wchodząc z tacą, żeby pozbierać szkło. – Takie to wszystko smutne, że nic, tylko się powiesić.

– Ale bardzo piękne.

– O gustach się nie dyskutuje. – Edith chrząknęła ze złością. – Dlaczego ludzie nie potrafią strzepnąć papierosa do popielniczki, tylko sieją popiołem po całym pokoju?

– To dobre dla dywanów.

– To, że wszyscy tak mówią, nie znaczy, że to prawda. A dlaczego panienka rozrzuca papierki po całym pokoju, kiedy tu, pod ścianą, jest kosz na śmieci?

– Wybacz, Edith, nie pomyślałam. Darłam na strzępy swoją przeszłość i chciałam zrobić taki efektowny gest.

– Przeszłość, też coś! – prychnęła Edith. Przyjrzała się dziewczynie i dodała łagodnie: – Co się dzieje, słoneczko? Masz jakiś kłopot?

– Nic, nic. Myślę o zamążpójściu, Edith.

– Z tym nie ma pośpiechu. Zaczekaj, aż zjawi się ten jedyny.

– Nie wierzę, że wybór męża ma jakieś znaczenie. I tak większość małżeństw kończy się rozwodem.

– Niech no panienka nie opowiada głupstw! A w ogóle skąd takie myśli?

– Muszę się stąd wyprowadzić – powiedziała gwałtownie dziewczyna.

– A co się tu panience nie podoba, chciałabym wiedzieć? – Edith ujęła się pod boki.

– Nie wiem. Nic już nie jest takie jak dawniej. Dlaczego wszystko się zmieniło, Edith?

– Dorastasz – stwierdziła gosposia miękko.

– Myślisz, że o to chodzi?

– Możliwe.

Edith ruszyła do drzwi, lecz nagle odstawiła tacę i zawróciła. Pogłaskała czarną główkę Sary, jak głaskała ją przed laty w pokoju dziecięcym.

– Nie martw się, moje śliczne kociątko. Będzie dobrze.

Dziewczyna zerwała się, chwyciła ją w pasie i zaczęła z nią walcować po salonie.

– Wyjdę za mąż, Edith. Super, nie? Wyjdę za pana Steene’a, który ma mnóstwo pieniędzy i jest szalenie atrakcyjny. Czyż ja nie jestem szczęściarą?

Edith wyswobodziła się z objęć, sarkając:

– Raz płacze, raz się śmieje. Czyste wariactwo. Co też w panienkę wstąpiło?

– Możliwe, że zwariowałam. Przyjdiesz na wesele. Kupię ci piękną suknię! Ze szkarłatnego aksamitu, jeśli zechcesz.

– To co to ma być, ślub czy koronacja?

Sara wetknęła jej w rękę tacę i lekko popchnęła do wyjścia.

– Idź już, idź, kochana. Nie zrzędź.

Gospoia z powątpiewaniem potrząsnęła głową i wyszła.

Sara zawróciła powoli, rzuciła się na fotel i zalała łzami.

Ścieżka gramofonowa dobiegała końca; głęboki męski głos załkał raz jeszcze:

*Sometimes I feel like a motherless child... a long way from home...*

# CZĘŚĆ TRZECIA

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mamrocząc pod nosem, Edith sztywno dreptała po kuchni. Dolegliwość zwana przez nią „reumatyką” dokuczała jej coraz częściej, co nie poprawiało jej usposobienia. I wciąż uparcie odmawiała przekazania choćby części domowych obowiązków w młodsze ręce.

Kobiecie, określanej przez nią nieprzyjaźnie jako „ta Hopper”, wolno było przychodzić raz w tygodniu i wykonywać pewne prace pod jastrzębim okiem Edith. Wszelkie inne sugestie odrzucała z furią źle wróżącą jakiegokolwiek sprzątacze, która ośmieliłaby się sprofanować jej królestwo.

– Zawsze sobie radziłam, to dalej sobie poradzę – odpowiadała niezmiennie.

Radziła więc sobie, obnosząc aurę męczeństwa i coraz bardziej zgorzkniałą minę. Nabrała też zwyczaju psioczenia pod nosem przez większość dnia.

– Też pomysł, przywozić mleko w porze lunchu!... Mleko powinno być dostarczane przed śniadaniem. Za kogo oni się uważają, ci aroganccy młodzi ludzie? W białych kitlach wyglądają jak dentyści sadyści. I jeszcze gwizdzą przy pracy...!

Zgrzyt obracanego w zamku klucza przerwał ten monolog.

– No, teraz się zacnie! – mruknęła i zniecierpliwionym ruchem opłukała miskę pod kranem.

Z przedpokoju dobiegł głos Anny:

– Edith!

Gospościa wyjęła ręce ze zlewu i dokładnie wytarła je w papierowy ręcznik.

– Edith... Edith!

– Idę.

– Edith!!!

Uniosła brwi, zacisnęła usta i pomaszerowała do salonu, w którym Anna Prentice przerzucała listy i rachunki.

– Dzwoniłaś do pani Laury? – spytała, unosząc głowę.

– Oczywiście, proszę pani.

– Mówiłaś jej, że to pilne? Że muszę się z nią zobaczyć? Przyjdzie?

– Powiedziała, że zaraz tu będzie.

– To czemu jej nie ma? – spytała Anna ze złością.

– Dzwoniłam dwadzieścia minut temu, tuż po pani wyjściu.

– Boże, jak ten czas się ciągnie! Powinna już tu być.

– Nie wszystko da się załatwić pstryknięciem – mruknęła Edith pojednawczo. – Nie powinna się pani tak denerwować, to i tak nic nie da.

– Mówiłaś jej, że jestem chora?

– Powiedziałam, że ma pani jeden z tych swoich napadów.

– Co to znaczy: napadów? – Anna rozłościła się nie na żarty. – To nerwica! Mam całkiem rozstrojone nerwy!

– A i owszem.

Anna rzuciła wiernej służącej gniewne spojrzenie.

– Nawet przez chwilę nie mogę usiedzieć w miejscu – poskarżyła się, krążąc między oknem a kominkiem. – Wczorajszej nocy nie zmrzyłam oka. Czuję się okropnie... okropnie! – Usiadła i przycisnęła obie dłonie do skroni. – Nie wiem, co się ze mną dzieje!

Edith przyglądała jej się z progu. Jej duże spracowane ręce o zgrubiałych stawach, oplecione siatką żył, machinalnie wygładzały fartuch.

– Ja wiem – mruknęła. – Za dużo się pani szlaja. To nienaturalne w pani wieku.

– Nie bądź bezczelna! Ostatnio coraz więcej sobie pozwalasz. Jesteś u mnie od dawna i doceniam twoją pracę, ale jeśli dalej tak będzie, wylądujesz na zielonej trawce!

Edith uniosła wzrok do sufitu, przybierając czytelną pozę męczennicy.

– Nigdzie nie pójde – oznajmiła.

– Będiesz musiała odejść, jeśli dam ci wypowiedzenie – wytknęła Anna.

– No, to by znaczyło, że jest pani głupsza, niż wygląda. W mig dostałabym nową pracę. Te wszystkie pośrednictwa byłyby się o mnie! Tylko ciekawe, jak pani dałaby sobie radę? Zdana na łaskę dochodzących albo jakiejś cudzoziemki. Wszystko smażone w oleju, wieczny rozstrój żołądka... i wiecznie zasmrodzone mieszkanie! Już nie wspomnę o odbieraniu telefonów przez kogoś, kto poprawnie nie powtórzy nazwiska! A nawet jeśli w końcu stanie się cud, znajdzie pani czystą i grzeczną kobietę, to pewnego dnia wróci pani do domu i zobaczy, że babsko związało z futrami i biżuterią. Dopiero co sądzili taką w Payne Court naprzeciwko. Tymczasem pani musi mieć wszystko zrobione porządnie, po staremu. A ja gotuję pani pyszne obiady i nie tłukę pięknej porcelany w zlewie, jak te młode latawice, a co najważniejsze, wiem, czego pani trzeba. Nie da sobie pani beze mnie rady, ja o tym wiem i nigdzie się nie wybieram. Owszem, czasem trudno z panią wytrzymać, ale każdy musi nieść swój krzyż, tak mówi Pismo Święte. No więc pani jest moim krzyżem, a ja jestem dobrą chrześcijanką.

Anna zamknęła oczy i zakołysała się w przód i w tył z jękiem:

– Moja głowa... Moja głowa!

Zacięte z godnością usta Edith drgnęły, a w oczach błysnęło coś na kształt współczucia.

– Proszę sobie odpocząć. Zrobię pani filiżaneczkę pysznej herbaty.

– Nie chcę herbaty! Nie znoszę herbaty!

Edith westchnęła i raz jeszcze wzniosła oczy ku niebu.

– Jak pani uważa – oznajmiła i wyszła.

Anna sięgnęła po papierosa. Zapaliła, zaciągnęła się parę razy i zgasiła go w popielniczce. Wstała i znów zaczęła krążyć po pokoju.

Chwilę później podeszła do telefonu i wykręciła numer.

– Halo? Czy mogę mówić z lady Ladscombe... ach, to ty, Marcio, moja droga! – Nastroiła głos na sztucznie ożywiony ton. – Jak się miewasz?... Och, właściwie bez powodu, po prostu przyszło mi do głowy, żeby do ciebie zadzwonić. Nie wiem, kochana, po prostu mam straszną chandrę... wiesz, jak to jest. Masz jakieś plany na jutrzejszy lunch...? Aha... Czwartek wieczorem? Tak, jestem wolna. Byłoby cudownie! Skontaktuję się z Lee lub kimś jeszcze i urządzimy sobie bibkę... Wspaniale... Zadzwonię do ciebie rano.

Odłożyła słuchawkę. Chwilowe ożywienie zgasło. Znów zaczęła przemierzać salon tam i z powrotem. W końcu, słysząc dzwonek do drzwi, zastygła w wyczekującej pozie.

– Czekam na panią w salonie – doleciało z przedpokoju i po chwili do salonu weszła Laura Whitstable. Wysoka, poważna, budząca respekt, lecz przy tym krzepiąca jak skała opierająca się wzburzonym falom.

Anna podbiegła do niej, wykrzykując niezbornie w ataku wzbierającej hysterii:

– Och, Lauro! Lauro! Jak to dobrze, że przyszłaś!

Brwi pani Laury powędrowały do góry, oczy przybrały skupiony, uważny wyraz. Oparła obie ręce na ramionach Anny i łagodnie posadziła ją na szeszlunku. Sama usiadła obok, mówiąc:

– Spokojnie. Spokojnie. W czym problem?

– Boże, jaka to ulga, że cię widzę! – W głosie Anny wciąż dźwięczała najczystsza histeria. – Chyba wpadam w obłąd.

– Nonsens – oznajmiła dobrodusznie pani Laura. – Masz jakiś kłopot?

– Nie. Żadnego. Tylko nerwy. I to mnie przeraża. Nie mogę usiedzieć spokojnie. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Hm... – Laura objęła przyjaciółkę badawczym spojrzeniem lekarza dusz. – Nie wyglądasz za dobrze.

Prawdę mówiąc, Anna wyglądała fatalnie. Pod grubą warstwą makijażu jej twarz była ściągnięta i zniszczona. W ciągu paru miesięcy postarzała się o kilka lat.

– Kiedy właśnie nic mi nie dolega! – poskarżyła się. – Ja tylko... no właśnie nie wiem, co. Nie mogę spać, chyba że coś wezmę. Zrobiłam się wybuchowa i niedobra.

– Byłaś u lekarza?

– Ostatnio nie. Lekarze tylko dają człowiekowi brom i każą się nie forsować.

– To akurat jest bardzo dobra rada.

– Tak, ale to jakiś absurd! Nigdy nie byłam nerwowa, sama o tym dobrze wiesz, Lauro. W ogóle nie wiedziałam, co to nerwy!

Pani Laura milczała przez chwilę, wspominając Annę Prentice sprzed niecałych czterech lat. Jej łagodny spokój, równowagę ducha, pogodny charakter. Zrobiło jej się ogromnie żal przyjaciółki.

– To, że dawniej nie byłaś nerwowa, nic nie znaczy – powiedziała. – Ostatecznie ludzie łamią nogi i większość też robi to po raz pierwszy.

– Ale skąd u mnie nerwy?

Laura Whitstable starannie dobrała słowa:

– Twój lekarz ma rację. Prawdopodobnie za dużo czasu spędzasz poza domem.

– Nie mogę siedzieć w domu i smętnie patrzeć w ścianę – odparła Anna ostro.

– Istnieje coś takiego jak siedzenie w domu w miłym nastroju – stwierdziła sucho pani Laura.

– Nie. – Dłonie Anny zadrgały nerwowo. – Nie zniosę bezczynnego zamknięcia w czterech ścianach.

– Dlaczego? – To pytanie zakłuło jak sonda.

– Nie wiem... – Anna drżała już na całym ciele. – Nie mogę być sama. Nie potrafię... – Rzuciła Laurze zrozpaczone spojrzenie. – Pewnie uznasz mnie za kompletną wariatkę, jeśli powiem, że boję się być sama?

– To najrozsądniejsze zdanie, jakie dotąd wypowiedziałaś.

– Rozsądne? – Anna była zdumiona.

– Bo prawdziwe.

– Prawdziwe? – Anna przymknęła oczy. – Nie wiem, co przez to rozumiesz.

– To, że omijając prawdę, do niczego nie dojdziemy.

– Och, ale ty mnie przecież nie zrozumiesz. Nigdy nie bałaś się samotności.

– Owszem.

– A więc nie zdołasz tego pojąć.

– Wierz mi, zdołam. Dlaczego po mnie posłałaś, moja droga? – dodała łagodniej.

– Musiałam z kimś porozmawiać... A poza tym... Miałam nadzieję, że coś z tym z r o b i s z. – Anna zerknęła błagalnie na przyjaciółkę.

Starsza pani pokiwała głową i westchnęła.

– Rozumiem. Oczekujesz ode mnie czarodziejskiej sztuczki.

– Mogłabyś...? Psychoanaliza, hipnoza, może coś by pomogło?

– To wszystko są współczesne gusła. – Pani Laura stanowczo pokręciła głową. – Nie mogę cię wyręczyć, wyciągając królika z cylindra, Anno. Musisz zrobić to sama. Ale najpierw powinnaś się dokładnie dowiedzieć, co w tym cylindrze jest.



– Co masz na myśli?

Laura Whitstable odczekała chwilę, nim oświadczyła:

– Nie jesteś szczęśliwa.

Było to stwierdzenie, nie pytanie.

– Ależ jestem! – zaprzeczyła Anna pośpiesznie, zbyt pośpiesznie. – Jestem. To znaczy... w pewnym sensie. Mam bardzo wiele rozrywek.

– Ale szczęśliwa nie jesteś – powtórzyła brutalnie pani Laura.

Anna wzruszyła ramionami.

– Czy ktokolwiek jest szczęśliwy?

– Całe mnóstwo ludzi, dzięki Bogu – oświadczyła pogodnie starsza pani. – Dlaczego nie ty, Anno?

– Nie wiem.

– Pomóc może ci tylko prawda, którą przecież znasz.

Anna milczała przez chwilę, jakby zbierała się na odwagę, a potem wybuchnęła:

– Przypuszczam... jeśli miałabym być szczerą... Dlatego że się starzeję. Już jestem stara. Tracę urodę i już nic mnie nie czeka.

– O mój Boże! Nic? Masz doskonałe zdrowie, sprawny umysł... Tyle jest rzeczy, na które człowiek zaczyna mieć czas dopiero w jesieni życia. Mówiłam ci to już kiedyś. Książki, kwiaty, muzyka, malarstwo, ludzie, słońce, wszystkie te ściśle splecione barwne wątki tworzące tkaninę, którą nazywamy Życiem.

Anna znów zamilkła. W końcu rzuciła wyzywająco:

– Myślę, że to w pierwszym rzędzie kwestia seksu. Kiedy kobieta przestaje być atrakcyjna dla mężczyzny, wszystko inne traci znaczenie.

– W przypadku niektórych kobiet tak jest rzeczywiście, ale nie w twoim. Widziałaś albo może czytałaś *Nieśmiertelną godzinę*<sup>[1]</sup>? Pada tam zdanie: *Jest taka godzina, która mogłaby trwać szczęśliwie przez całe życie, gdyby tylko człowiek potrafił ją znaleźć*. Ty byłaś blisko, prawda?

Twarz Anny zmieniła się, złagodniała. Nagle ubyło jej lat.

– Tak – szepnęła. – Była taka godzina. Miałam szansę znaleźć ją z Richardem. Z nim mogłabym się starzeć szczęśliwa.

– Wiem – odszepnęła Laura ze współczuciem.

– A teraz... nawet nie mogę boleć nad tym, że go straciłam! Wiesz, spotkałam go niedawno, może przed rokiem i... już nic dla mnie nie znaczył. Nic zupełnie! W tym jest właśnie cały tragizm, cały absurd tej historii. Wszystko minęło. Dziś jesteśmy dla siebie obcy. Zobaczyłam zwykłego mężczyznę w średnim wieku – nieco nadętego, niezbyt lotnego i zapatrzonego w swoją nową, ładną, pustogłową i interesowną żoneczkę! Miły człowiek, owszem, ale zdecydowanie nudny. A przecież... Przecież... gdybyśmy się pobrali, mogliśmy być szczęśliwi. Wiem, że mieliśmy szansę na szczęście.

– Tak – mruknęła w zadumie pani Laura. – Też tak myślę.

– Byłam tak blisko szczęścia, tak blisko...! – Głos Anny zdrzął z pretensji i żalu. – A potem... musiałam z niego zrezygnować.

– Musiałaś?

Anna nie zwróciła uwagi na to pytanie.

– Poświęciłam wszystko dla Sary!

– No właśnie – mruknęła pani Laura. – I nigdy jej tego nie wybaczyłaś.

Anna drgnęła jak osoba raptownie obudzona ze snu.

– Co masz na myśli?

Laura Whitstable prychnęła ze złością.

– Poświęcenia! Ofiary! Zastanów się tylko przez chwilę, czym jest właściwie ofiara. To nie jeden heroiczny moment, kiedy czujesz się wzniosła, hojna i zdolna wyrzec się siebie. Poddanie piersi pod nóż

jest łatwe, bo zamyka się w chwili, gdy wyrastasz ponad siebie samą. Ale z większością poświęceń trzeba żyć dalej, dzień po dniu, i to już nie jest takie proste. Człowiek musi znaleźć w sobie prawdziwą wielkość. A ty jej w sobie nie miałaś.

Anna zaczerwieniła się z oburzenia.

– Wyrzekłam się dla Sary całej swojej przyszłości, jedynej szansy na szczęście, a ty mówisz, że to za mało?

– Nie to powiedziałam.

– Zaraz się okaże, że wszystko to moja wina!

– Połowa życiowych problemów bierze się stąd, że człowiek udaje sam przed sobą lepszego, niż jest w rzeczywistości – powiedziała z naciskiem pani Laura.

Lecz Anna nie słuchała. Wylewała cały nagromadzony żal.

– Sara jest taka jak wszystkie współczesne dziewczęta! Myśli tylko o sobie! Nikt inny dla niej nie istnieje! Czy wiesz, że kiedy przed rokiem zadzwonił Richard, nie wiedziała, kto to? Nie pamiętała nazwiska!

Laura Whitstable pokiwała głową z miną lekarza, który widzi, że jego diagnoza się potwierdza.

– Rozumiem... – powiedziała. – Rozumiem...

– Co miałam robić? Bez przerwy się kłócili! Można było oszaleć! Gdyby to dalej trwało, nie znałabym ani chwili spokoju!

– Lepiej się zastanów – wypaliła cierpko pani Laura – czy rozstałaś się z Richardem dla Sary czy dla własnego spokoju.

Anna spojrzała na nią z urazą.

– Kochałam Richarda – powiedziała. – Ale Sarę kochałam bardziej...

– Nie, Anno, ten mechanizm nie jest aż tak prosty. I sądzę, że przeciwnie, była taka chwila, gdy kochałaś Richarda bardziej niż Sarę. Cały twój wewnętrzny żal i pretensja właśnie w niej ma początek. Gdybyś naprawdę zważyła wówczas swoje uczucia, nie byłabyś dziś w takim stanie, w jakim jesteś. Ale jeśli powodem była twoja słabość, jeśli dałaś się Sarze do tego zmusić, żeby uciec przed ciągłymi niesnaskami, to była porażka, a nie ofiara. A coś takiego trudno jest człowiekowi przyznać nawet przed sobą. Zwłaszcza że twoja miłość była prawdziwa.

– A teraz Richard nic już dla mnie nie znaczy! – prychnęła gorzko Anna.

– A Sara?

– Co Sara?

– Ile dziś znaczy dla ciebie Sara?

Anna wzruszyła ramionami.

– Od ślubu prawie jej nie widuję. Jest bardzo zajęta, żyje dość wystawnie i wesoło, jak sądzę. Ale jak mówiłam, rzadko się spotykamy.

– Za to ja widziałam ją wczoraj... – Laura urwała i podjęła z wysiłkiem: – ze znajomymi w restauracji.

– Znów urwała i wreszcie stwierdziła bez ogródek: – Była pijana.

– Pijana? – Anna zastępnęła na moment. Potem roześmiała się pobłaźliwie: – Lauro, moja droga, jesteś strasznie staroświecka. W dzisiejszych czasach wszyscy młodzi ludzie sporo piją, a przyjęcie uważa się za nieudane, jeśli nie kończą go „ululani”, czy jak tam to zwą.

– Możliwe. Przyznaję, że jestem dostatecznie staroświecka, aby raził mnie widok pijanej kobiety w miejscu publicznym – oświadczyła pani Laura bez zmrużenia oka. – Ale to nie wszystko, Anno. Rozmawiałam z nią. Miała mocno rozszerzone źrenice.

– I co to znaczy?

– Może to oznaczać na przykład kokainę.

– Narkotyk?

– Tak. Mówiłam ci już kiedyś, że Lawrence Steene przypuszczalnie macza palce w handlu

narkotykami. Och, nie dla pieniędzy! Szuka w tym wyłącznie podniety.

– Zawsze wydawał mi się całkiem normalny.

– Bo on od nich nie ucierpi. Znam ten typ. Tacy jak on lubią eksperymentować z doznaniem. Nie uzależniają się. Kobieta to co innego. Jeśli jest nieszczęśliwa, łatwo wpada w nałóg, z którego nie jest się już w stanie wyzwolić.

– Nieszczęśliwa? – Anna spojrzała na nią z niedowierzaniem. – Sara?

Pani Laura odpowiedziała jej poważnym spojrzeniem i rzuciła sucho:

– Jesteś jej matką. Ty powinnaś wiedzieć najlepiej.

– Och! Sara mi się nie zwierza.

– Dlaczego?

Anna wstała, podeszła do okna, potem zawróciła do kominka. Zapaliła papierosa. Laura Whitstable przyglądała jej się w milczeniu.

– A powiedz mi, co czujesz na myśl, że Sara może być nieszczęśliwa? – spytała cicho.

– Jak możesz pytać? Bardzo mnie to martwi!

– Czyżby? – Pani Laura wstała. – Muszę już iść. Za dziesięć minut mam zebranie komisji. Jeśli się pośpieszę, to jeszcze zdążę.

Ruszyła w stronę drzwi, Anna za nią.

– Co miało znaczyć to „czyżby”?

– Miałam rękawiczki, gdzie ja je położyłam...?

Ktoś zadzwonił. Edith wychynęła z kuchni i podreptała otworzyć.

– Chciałaś coś przez to powiedzieć – nie ustępowała Anna.

– O! Są.

– Lauro, jesteś dla mnie bardzo niemiła. Wyjątkowo niemiła!

Edith z miną mgliście przypominającą uśmiech zaanonsowała:

– Mamy gościa z zagranicy! Przyszedł pan Lloyd, proszę pani.

Anna patrzyła na przybysza przez dłuższą chwilę, jakby miała trudności z przypomnieniem sobie jego twarzy.

Ostatni raz widziała Gerry’ego Lloyda ponad trzy lata temu, a przybyło mu znacznie więcej niż trzy lata. Był chudy, zaniedbany, twarz zorały mu zmarszczki beznadziejnego wysiłku. Miał na sobie niekształtne tweedowe ubranie, nabyte niewątpliwie w sklepie ze starzyzną, i rozdeptane buty. Było jasne, że nie odniósł sukcesu. Uśmiech, którym obdarzył ją na powitanie, był poważny. W całym jego zachowaniu wyczuwało się brzemienie trosk.

– Gerry? To rzeczywiście niespodzianka!

– Aż dziw, że pani mnie pamięta. Trzy i pół roku to szmat czasu.

– Ja też cię pamiętam, młody człowieku – wtrąciła pani Laura – choć wątpię, byś wiedział, kim jestem.

– Ależ oczywiście, pani Whitstable. Nikt, kto raz panią spotkał, nie mógłby pani zapomnieć!

– Zręcznie ujęte... zakładając, że to nie złośliwość. No cóż, nie wnिकam, muszę pędzić. Pa, Anno. Do widzenia, panie Lloyd.

Wyszła, a Gerry usiadł z Anną przy kominku i przyjął podanego mu papierosa.

– Mów, co u ciebie słyhać – zagaiła wesoło. – Przyjechałeś na długo?

– Tego jeszcze nie wiem.

Wbity w nią poważny wzrok odrobinę zbił ją z tropu. Ciekawe, o czym myślał z takim przejęciem. Zupełnie nie przypominał młodego człowieka, którego kiedyś znała.

– Czego się napijesz? Ginu z sokiem pomarańczowym, a może różowego ginu...?

– Nie, dziękuję. Właściwie przyszedłem porozmawiać.

– Jakie to miłe z twojej strony. Widziałeś się z Sarą? Wyszła za męża, wiesz? Za pana Lawrence’a Steene’a.

– Tak, wiem. Pisała domnie. Zresztą widziałem ją wczoraj i właśnie dlatego przyszedłem. – Gerry milczał przez chwilę, a potem wypalił. – Pani Prentice, dlaczego pozwoliła jej pani wyjść za tego człowieka?

Anna wytrzeszczyła na niego oczy.

– Ależ, Gerry, mój drogi... cóż to za pytanie!

Nie zdołała go onieśmielić. Stwierdził poważnie i zupełnie po prostu:

– Sara nie jest szczęśliwa. Wie pani o tym, prawda? Nie jest szczęśliwa.

– Tak ci powiedziała?

– Oczywiście, że nie. Ona się nie skarży. Zresztą była z dużym towarzystwem, zamieniłem z nią tylko kilka słów. Nie musiała mi niczego mówić, pani Prentice. To widać. Dlaczego pani do tego dopuściła?

Anna uczuła, że ogarnia ją gniew.

– Drogi Gerry, pozwól sobie powiedzieć, że pleciesz głupstwa.

– Bynajmniej. – Zastanowił się przez chwilę. Jego pozbawiona zahamowań szczerość była rozbrajająca. – Widzi pani, Sara wiele dla mnie znaczy. Zawsze tak było. Więcej niż ktokolwiek na świecie. Więc naturalnie obchodzi mnie, czy jest szczęśliwa. Nie powinna była jej pani wydać za Steene'a.

– Doprawdy, mówisz jak... jak postać z epoki wiktoriańskiej! – wybuchnęła Anna. – Co to znaczy „wydać” albo „nie wydać”? Dzisiejsze dziewczęta same wybierają sobie mężów, a rodzice są po prostu bezsilni. Sara postanowiła wyjść za Lawrence'a Steene'a i na tym koniec tej historii...

– Mogła pani temu zapobiec – oznajmił Gerry z chłodnym przekonaniem.

– Drogi chłopcze, jeśli się próbuje przeszkodzić komuś w osiągnięciu tego, czego chce, utwierdza się go tylko w uporze.

Spojrzał na nią.

– A próbowała pani?

Anna zmieszała się nagle pod szczerym osądem tych poważnych oczu.

– Ja... Ja... Oczywiście był znacznie starszy... i miał nie najlepszą opinię. Powiedziałam jej to, ale...

– Steene to amoralne, pozbawione skrupułów bydlę.

– A co ty możesz o nim wiedzieć? Przez ostatnie lata nie było cię w Anglii.

– Wszyscy to wiedzą. Jego reputacja jest dość znana. Zapewne mogły do pani nie dotrzeć co bardziej szokujące szczegóły, ale na litość boską, pani Prentice! Chyba pani widziała, co to za typ?

– Zawsze był dla mnie uprzejmy i bardzo miły – broniła się. – A mężczyzna z przeszłością niekoniecznie musi okazać się złym mężem. Nie można wierzyć we wszystko, co ludzie mówią z zazdrości. Sarę on pociągał... Prawdę mówiąc, uparła się, że za niego wyjdzie. Jest bardzo bogaty...

– Owszem – przerwał jej Gerry. – Jest bogaty. Ale nie sądziłem, że właśnie panią zaślepi jego bogactwo. Nie była pani kobietą... by tak rzec, światową. Liczyło się dla pani szczęście Sary... a w każdym razie tak mi się wówczas wydawało. – Spojrzał na nią zdziwionym, lekko zmieszonym wzrokiem.

– Oczywiście chciałam, żeby moje jedyne dziecko zaznało szczęścia. To nie podlega kwestii. Ale problem w tym, Gerry, że nie mogłam się w t r ą c a ć. – Starannie podkreśliła ostatnie słowo. – Może ci się wydawać, że ktoś postępuje źle, ale nie możesz się wtrącać w jego sprawy. – Zmierzyła go wyzywającym spojrzeniem.

On też patrzył na nią, jakby nad czymś się głęboko zastanawiał.

– Czy Sara rzeczywiście tak bardzo chciała za niego wyjść?

– Była w nim do szaleństwa zakochana – oświadczyła Anna triumfalnie.

Kiedy Gerry się nie odezwał, podjęła:

– To może nie być dla ciebie oczywiste, ale Lawrence jest niesłychanie pociągający.

– O tak, zdaję sobie z tego sprawę.

Anna wzięła się w garść.

– Wiesz, Gerry – powiedziała – zachowujesz się nonsensownie. Owszem, łączyła was kiedyś z Sarą szczenięcia miłość, ale żebyś z tego powodu miał czelność mnie oskarżać! Jakbym to ja była winna...

– Mówiąc szczerze, tak właśnie uważam – wpadł jej w słowo.

Patrzyli na siebie. Gerry był czerwony jak burak, Anna blada. Napięcie między nimi osiągnęło punkt, w którym lada moment mógł nastąpić wybuch.

Wstała.

– Tego już za wiele – powiedziała zimno.

Gerry także się podniósł. Zachowywał się spokojnie i uprzejmie, ale za tą fasadą wyczuwała twardą, bezlitosną determinację.

– Proszę wybaczyć – rzekł – jeśli byłem niegrzeczny.

– Zachowałeś się niewybaczalnie!

– Być może. Ale chodzi mi o Sarę i tylko o nią. Jakkolwiek zechce pani zaprzeczać, moim zdaniem popchnęła ją pani do nieszczęśliwego małżeństwa.

– Doprawdy, to już...!

– I dlatego mam zamiar położyć mu kres.

– Co takiego?

– Zamierzam ją przekonać, żeby rzuciła tego drania.

– Cóż to za brednie! To, że jako dzieci czuliście do siebie...

– Ja rozumiem Sarę, a ona mnie.

Anna zaśmiała się szorstko.

– Mój drogi chłopcze, przekonasz się, że Sara bardzo się zmieniła od czasu, gdy ją znałeś.

Gerry zbladł jak ściana.

– Wiem, że się zmieniła – powiedział cicho. – Widziałem to.

Wahał się przez chwilę, a później mruknął:

– Przykro mi, jeśli poczuła się pani dotknięta. Ale cóż, dla mnie zawsze najważniejsza będzie Sara.

Z tymi słowami wyszedł.

Anna chwiejnym krokiem podeszła do barku i nalała sobie pełną szklaneczkę ginu.

– Jak on śmiał... – mamrotała, unosząc drinka do ust. – Jak śmiał! Laura też jest przeciwko mnie.

Wszyscy są przeciwko mnie... Co ja takiego zrobiłam...? Nic! Zupełnie nic...!

# ROZDZIAŁ DRUGI

## 1

Lokaj, który otworzył drzwi domu pod numerem osiemnastym przy Pauncefoot Square, pogardliwie zlustrował tandetny garnitur, potem jednak spojrzął przybyłemu w oczy i wyraźnie dokonał pewnych przewartościowań.

Zaraz sprawdzi, czy pani Steene jest w domu.

Chwilę później Gerry został wprowadzony do dużego ciemnego pokoju pełnego egzotycznych kwiatów i barwnych brokatowych obić. Po kolejnych paru minutach weszła Sara Steene, uśmiechając się na powitanie.

– Gerry! Ja to miło, że wpadłeś! Wczoraj nas rozdzielili, nawet nie zdążyliśmy porozmawiać. Drinka?

Nalała jemu i sobie, a potem przysiadła na niskim pufie przed kominkiem. W przyćmionym świetle prawie nie widział jej twarzy. Czuł zapach drogich perfum, wcześniej mu nieznan.

– No i jak tam, Gerry? – rzuciła lekko.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

– I jak tam, Saro? – Dotknął palcem jej ramienia i zaśmiał się: – Nosisz na sobie ogród zoologiczny!

Ubrana była w kosztowny skrawek szyfonu obrzeżony masami miękkiego jasnego futra.

– Kocham zwierzęta – zapewniła go.

– To widać. Wyglądasz bardzo egzotycznie i kosztownie.

– O, tak. Opowiadaj, co u ciebie słyhać. Z Afryki Południowej pojechałeś do Kenii, a potem nie miałam już od ciebie wieści.

– No cóż, miałem pecha...

– Jak zawsze – padła błyskawiczna odpowiedź.

– A co to ma znaczyć? – nasrożył się.

– No cóż, nigdy nie mogłeś narzekać na nadmiar szczęścia, prawda?

Na krótką chwilę ta nieziemski piękność przywodząca na myśl twarde skrzący się brylant przeistoczyła się w jego dawną Sarę, która bezlitośnie umiała mu wszystko wytknąć.

Odpowiedział więc z goryczą jak dawniej:

– Właściwie spotkała nas seria niepowodzeń. Najpierw nie udał się zbiór, i to naprawdę nie była moja wina. Potem bydło zaczęło chorować...

– Wiem. Wciąż ta sama smutna historia.

– A ja oczywiście nie miałem dość kapitału. Gdybym go miał...

– Wiem, wiem.

– Nie bądź złośliwa. Naprawdę nie w s z y s t k o było moją winą.

– Nigdy nie jest. A po co przyjechałeś do Anglii?

– Prawdę mówiąc, właśnie umarła moja ciotka...

– Ciotka Lena? – Sara doskonale się orientowała w rodzinnych powiązaniach Gerry'ego.

– Tak. Stryj rozstał się z tym światem dwa lata temu, ale stary sknera nie zapisał mi ani grosza.

– Mądry człowiek.

– Za to ciocia...

– Nie mów! Zostawiła ci coś w spadku?

– Tak. Dziesięć tysięcy funtów.

– Hm. – Sara zastanowiła się przez moment. – To nie tak źle, nawet w dzisiejszych czasach.

– Chcę wejść w spółkę z gościem, który ma ranczo w Kanadzie.

– A co to za jeden? O to zawsze się wszystko rozbija. Warsztat w Kenii też miałeś prowadzić z jakimś gościem. I jak wyszło?

– Nie bardzo. Na początku radziliśmy sobie całkiem nieźle, ale potem chcieliśmy doinwestować... przyszła recesja i...

– Nawet nie kończ. Znam to już na pamięć. Zawsze to samo.

– No tak – przyznał Gerry i dodał po prostu: – Masz sporo racji. Chyba nie nadają się na biznesmena. Nadal twierdzą, że zawinił zwykły pech, ale też parę razy postąpiłem jak idiota. Tym razem jednak będzie inaczej.

– Bardzo w to wątpię – stwierdziła kąśliwie Sara.

– Daj spokój, nie sądzisz, że czegoś się w końcu nauczyłem?

– Nie. Ludzie nigdy nie uczą się na błędach, tylko w kółko je powtarzają. Tobie, Gerry, potrzebny jest menedżer. Jak gwiazdziej filmowej. Ktoś myślący praktycznie, kto ustrzeże cię przed nadmiernym optymizmem w niewłaściwym momencie.

– Coś w tym jest. Ale tym razem naprawdę będzie dobrze. Zachowam nadzwyczajną ostrożność. – Gerry milczał przez chwilę i nagle wypalił: – Byłem dziś u twojej matki.

– Tak? To bardzo pocziwie z twojej strony. Jak się miewa? Wciąż miota się jak opętana?

– Bardzo się zmieniła – rzekł powoli.

– Tak sądzisz?

– Tak.

– Pod jakim względem?

– Nie wiem, jak to ująć. – Zawahał się. – Przede wszystkim jest potwornie nerwowa...

– A kto dziś nie jest? – rzuciła lekko Sara.

– Kiedyś taka nie była. Miała w sobie... ciszę. Spokojny, niewymuszony wdzięk.

– No, no! Co za pean!

– Doskonale wiesz, co mam na myśli. Zmieniła się nie do poznania. Włosy, ubranie, wszystko...

– Postanowiła użyć nieco życia, biedulka. Czemu nie? Starość to przecież jeden wielki koszmar!

Zresztą ludzie się zmieniają... – urwała i oznajmiła zuchwale: – Ja także.

– Nie bardzo.

Zarumieniła się. Gerry podjął z namysłem:

– Pomimo tego zoo... – Znów musnął blade kosztowne futro. – I wystawy Woolwortha... – Dotknął palcem grubej brylantowej bransolety. – ...No i oczywiście luksusowej scenerii, jesteś wciąż mniej więcej tą samą Sarą. – Zawiesił głos i dodał z naciskiem: – Moją Sarą.

Poruszyła się skrepowana i odparła, siłąc się na beztroski ton:

– A ty wciąż tym samym starym Gerrym. Kiedy wyjeżdżasz do Kanady?

– Niedługo. Jak tylko pozalątwiam wszystko z prawnikami. – Wstał. – Będę już szedł. Czy dasz się gdzieś porwać w najbliższych dniach?

– Nie, to ty musisz przyjść do nas na kolację. Albo przyjęcie. Poznasz Larry'ego.

– Poznałem go. Wczoraj, nie pamiętasz?

– Tylko przelotnie.

– Niestety, nie mam czasu na przyjęcia. Chodź ze mną na poranny spacer.

– Kochany, rano jestem zupełnie do niczego. Co za upiorna pora dnia!

– Bardzo dobra na chłodne trzeźwe myślenie.

– A na co komu chłodne trzeźwe myślenie?

– Myślę, że nam się przyda. No, nie daj się prosić. Dwa razy dookoła Regent's Park. Najlepiej jutro.

Będę na ciebie czekał przy Bramie Hanowerskiej.

– Masz naprawdę makabryczne pomysły. I ohydny garnitur!

– Bardzo praktyczny.

– Tak, ale ten krój!

– Snobka. W południe przy Bramie Hanowerskiej. I nie zalej się w pestkę, żebyś jutro nie miała kaca.

– Chcesz powiedzieć, że wczoraj byłam zalana?

– Bo byłaś.

– Ta impreza była koszmarna. Alkohol pomaga przetrwać.

– Jutro – powtórzył. – Przy Bramie Hanowerskiej o dwunastej w południe.

## 2

– Przyszłam – oznajmiła wyzywająco.

Przyjrzał jej się dokładnie od stóp do głów. Była zdumiewająco, wręcz zjawiskowo piękna – znacznie piękniejsza niż jako podłotek. Zarejestrował kosztowną prostotę stroju i wielki szmaragdowy kaboszon na palcu. Chyba zwariowałem, pomyślał.

– Chodź – powiedział. – Idziemy.

Zmusił ją do szybkiego kroku. Okrążyli jezioro i przez ogród różany dotarli do mało uczęszczanej części parku. Przysiedli na dwóch żelaznych krzeselkach. Było zimno, za zimno, aby wielu ludzi odważyło się wysiadywać w parku.

Gerry wziął głęboki wdech.

– A teraz – rzekł – przejdźmy do rzeczy. Saro, czy pojedziesz ze mną do Kanady?

Popatrzyła na niego zdumiona.

– Co masz na myśli?

– To, co powiedziałem.

– Zapraszasz mnie na... wycieczkę? – spytała niepewnie.

– Na emigrację. – Wyszczrzył zęby. – Zostaw męża i jedź ze mną.

Sara wybuchnęła śmiechem.

– Gerry, czyś ty całkiem oszalał? Nie widzieliśmy się przez cztery lata i nagle...

– A czy to ma znaczenie?

– Nie... – Zbił ją z tropu. – Chyba nie...

– Cztery lata, pięć, dziesięć, dwadzieścia...! Nie wierzę, że zrobiłyby jakąś różnicę. Ty i ja jesteśmy dla siebie stworzeni. Zawsze o tym wiedziałem i wciąż to czuję. Ty nie?

– Tak, w pewien sposób – przyznała. – Ale mimo wszystko to, co proponujesz, jest niewykonalne.

– Nie widzę w tym nic trudnego. Gdybyś wyszła za jakiegoś przyzwoitego gościa i była z nim szczęśliwa, nawet by mi się nie śniło wchodzić między was. – Zniżył głos. – Ale ty nie jesteś szczęśliwa.

– Nie mniej i nie bardziej niż większość ludzi – odpowiedziała mężnie.

– Widzę, że cierpisz.

– Jeśli nawet, to sama jestem sobie winna. Człowiek popełnia błędy i musi ponosić konsekwencje.

– Lawrence Steene nie wsławił się ponoszeniem konsekwencji swoich błędów, prawda?

– To, co mówisz, jest podłe.

– Nie, kotku. Prawdziwe.

– Zresztą i tak nie pojedę. Co za wariacki pomysł!

– Dlaczego? Bo nie krążyłem wokół tematu, żeby cię stopniowo przygotować? Nie ma takiej potrzeby. Jak powiedziałem, jesteśmy stworzeni dla siebie i ty też o tym dobrze wiesz.

Westchnęła.



– Przyznaję, że kiedyś bardzo cię lubiłam.

– To było coś więcej, dziewczyno.

Odwróciła się i spojrzała na niego, jakby nie chciała już udawać.

– Jesteś pewny?

– Najpewniejszy.

Milczeli przez chwilę. Potem Gerry powtórzył cicho:

– Wyjedziesz ze mną?

Znów westchnęła. Wyprostowała się, otuliła futrem. Zimny wiatr szeleścił w gałęziach drzew.

– Wybacz, Gerry. Odpowiedź brzmi: Nie.

– Bo?

– Po prostu nie mogę tego zrobić, i tyle.

– Ludzie co dzień się rozwodzą.

– Nie ja.

– Chcesz powiedzieć, że kochasz Lawrence’a Steene’a?

Sara potrząsnęła głową.

– Nie, nie kocham go. Nigdy go nie kochałam, aczkolwiek kiedyś mnie fascynował. On... no cóż, potrafi postępować z kobietami. – Wzdrygnęła się z lekką odrazą. – Widzisz, rzadko się spotyka ludzi z gruntu złych. Gdyby było ich więcej, może wówczas potrafiłabym rozpoznać zło w Larrym. To, co on robi, nie jest skutkiem impulsu, nałogu, nieodpartego popędu. Nie. On po prostu lubi eksperymentować. Ze wszystkim. Także z ludźmi.

– Więc nie powinnaś mieć żadnych skrupułów.

Milczała przez chwilę.

– Tu nie chodzi o skrupuły – powiedziała, zniżając głos i nagle niecierpliwie machnęła ręką. – Och! Jakież to odrażające, że człowiek zawsze chciałby się zasłonić szlachetnymi motywami. Dobra, Gerry, powinieneś wiedzieć, jaka naprawdę jestem. Żyjąc z Lawrence’em, przyzwyczaiałam się do... do pewnych rzeczy. I nie chcę się z nimi rozstawać. Suknie, futra, pieniądze, drogie restauracje i trunki, pokojówka, samochody, jacht... Wszystko bez najmniejszego trudu. Pławię się w luksusie. A ty chcesz, żebym pojechała tyrać na jakimś ranczo z dala od cywilizacji. Nie chcę i nie mogę. Zmięklam. Gniję od tego luksusu.

– Więc pora cię od niego odzwyczaić – stwierdził beznamiętnie.

– Och, Gerry! – Sara nie wiedziała, czy ma się śmiać czy płakać. – W twoich ustach to brzmi tak rzeczowo.

– Bo ja jestem bardzo prozaicznym człowiekiem.

– Tak, ale nie rozumiesz...

– Czego?

– Nie chodzi tylko... tylko o pieniądze. Och, zrozumi, że ja też stałam się... zła. Te przyjęcia... miejsca, w jakich bywaliśmy... – Spłonęła szkarłatnym rumieńcem i umilkła.

– W porządku – rzekł ze spokojem. – Jesteś zdeprawowana. Coś jeszcze?

– Tak. Są... rzeczy... do których się przyzwyczaiałam... i nie dam sobie bez nich rady.

– Rzeczy? – Ujął ją bezceremonialnie pod brodę i obrócił jej twarz ku sobie. – Słyszałem plotki. Chodzi o prochy, tak?

Kiwnęła głową.

– Dają człowiekowi takie cudowne doznania...

– No to słuchaj. – Głos Gerry’ego był twardy i nieubłagany. – Pojedziesz ze mną i już nigdy nie tkniesz tego świństwa.

– A jeśli nie dam rady ich rzucić?

– Ja tego dopilnuję – rzekł posępnie.

Z ramion Sary nagle ustąpiło napięcie. Westchnęła i nachyliła się ku niemu. Ale Gerry się cofnął.

– O nie – powiedział. – Nie pocałuję cię.

– Rozumiem. Mam podjąć decyzję z zimną krwią?

– Właśnie.

– Zabawny jesteś!

Siedzieli przez kilka chwil w milczeniu. W końcu Gerry odezwał się z wysiłkiem:

– Dobrze wiem, że niewiele jestem wart. Udało mi się zaprzepaścić każdą możliwą szansę. Zdaję sobie sprawę, że nie możesz pokładać we mnie zbyt wiele wiary. Ale szczerze ufam, że z tobą u boku wreszcie mi się powiedzie. Jesteś bardzo inteligentna, Saro. I potrafisz dać człowiekowi ostrogę, kiedy się ociąga.

– Nie przesadzaj z komplementami! – zaśmiała się cierpko.

– Wiem, że możemy się dorobić – ciągnął z uporem – choć będzie to dla ciebie męka. Ciężka praca, oszczędzanie każdego grosza... co tu kryć, piekło na ziemi. Sam nie wiem, skąd wzięłem tupet, żeby ci to zaproponować. Ale to będzie... prawdziwe, Saro. Będziesz żyć naprawdę.

– Żyć naprawdę... – powtórzyła w zadumie.

– Pojedziesz?

– Nie wiem.

– Kochanie...

– Nie, Gerry, ani słowa. Powiedziałeś już wszystko, co trzeba było powiedzieć. Reszta jest w moich rękach. Muszę to przemyśleć. Dam ci znać.

– Kiedy?

– Wkrótce.

## ROZDZIAŁ TRZECI

– Jaka miła niespodzianka!

Edith otworzyła Sarze drzwi i zastygłe w kwaśnym grymasie zmarszczki ułożyły się w uśmiech lekko tylko nacechowany goryczą.

– Witaj, Edith, kochana. Mama w domu?

– Za chwilę będzie. Dobrze, że panienka przyszła, trochę ją pani rozweseli.

– Trzeba ją rozweselić? Kiedy z nią rozmawiam, wciąż chichocze.

– Z matką panienki dzieje się coś bardzo złego i nie na żarty się o nią martwię. – Edith poszła za Sarą do salonu. – Nie usiedzi spokojnie nawet przez minutę i ciska się o byle słówko. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby to był rak mózgu.

– Och, nie kracz. Ty wszystkich widzisz nad grobem.

– O panience bynajmniej tego nie powiem. Kwitnie panienka, dosłownie jak róża! Ech, ładnie to tak rzucać takie piękne futro na podłogę? Cała panienka! A futro piękne. Musiało kosztować furę pieniędzy.

– Fakt, było bardzo drogie.

– Żadnej z pań w takim nie widziałam. W ogóle ma panienka mnóstwo pięknych rzeczy.

– I słusznie. Jeśli człowiek sprzedaje duszę, powinien wytargować za nią dobrą cenę.

– Wstyd tak mówić! – zbeształa ją Edith. – Cały kłopot z panienką to ten, że się miota panienka od śmiechu do płaczu. Pamiętam, jakby to było wczoraj, o, w tym pokoju, jak mi panienka powiedziała o panu Steenie i tańczyła ze mną walca po całym salonie. Wołała panienka: „Wyjdę za mąż!”.

– Nie – przerwała jej ostro Sara. – Przestań, Edith. Nie chcę tego słuchać.

Na twarzy gosposi odmalowało się zrozumienie.

– Dobrze, dobrze, koteczku – powiedziała kojąco. – Mówią, że dwa pierwsze lata są najgorsze. Jeśli się je przetrwa, to potem już idzie z górki.

– Niezbyt optymistyczny pogląd na małżeństwo.

– Małżeństwo to w najlepszym razie kiepski interes – skrzywiła się Edith – ale w końcu na nim świat stoi. Proszę wybaczyć śmiałość, ale czy może się panienka spodziewa...?

– Nie. Z całą pewnością się nie spodziewam.

– A to szkoda. Wydała mi się panienka ciut drażliwa i myślałam, że przez to. Młode mężatki to się czasem tak dziwnie zachowują. Na przykład moja starsza siostra. Raz, kiedy była w sklepie, naszło ją na gruszkę. Niewiele myśląc, cap ze skrzynki wielką soczystą gruchę i od razu wbiła w nią zęby. Co pani robi, woła do niej ekspedient, ale właściciel sklepu, ojciec rodziny, od razu się połapał, że siostra jest brzemienna. Dobrze, synu, mówi, ja obsłużę tę panią. I nawet siostrze nie policzył za gruszkę! Ale on to wszystko doskonale rozumiał, bo miał trzynaścioro własnych dzieci.

– Trzynaścioro dzieci to pechowa liczba – zauważyła Sara. – Masz cudowną rodzinę, Edith. Od dziecka uwielbiałam o niej słuchać.

– A, opowiadałam wiele różnych historii. Z panienki była bardzo poważna dziewczynka i wszystkim się strasznie przejmowała. O, właśnie, to mi przypomina, że przedwczoraj był tu panienki chłopiec. Pan Lloyd. Widziała się z nim panienka?

– Tak, spotkaliśmy się.

– Wygląda dojrzałej. I jest przepięknie opalony, ale to nic dziwnego, kiedy ktoś tyle czasu spędził w ciepłych krajach. Powiodło mu się?

– Nie bardzo.

– Wielka szkoda. Słomiany zapał, to jest to, co mu dolega.

– Chyba masz rację. Mama prędko przyjdzie?

– Tak. Wybiera się na kolację, więc najpierw musi wrócić do domu, żeby się przebrać. Gdyby mnie kto pytał, to bardzo żałuję, że nie spędza więcej spokojnych wieczorów w domu. Ona się wykończy.

– Może to lubi.

– Całe to życie towarzyskie w ogóle do niej nie pasuje – fuknęła Edith. – Zawsze była spokojną, cichą osobą.

Sara gwałtownie uniosła głowę, jakby słowa gosposi poruszyły jakąś strunę w jej pamięci.

– Cicha... – powtórzyła w zadumie. – Tak, mama była cicha. Gerry też o tym mówił. Zabawne, jak bardzo się zmieniła w ciągu ostatnich trzech lat. Jak sądzisz: zmieniła się, prawda?

– Powiedziałałabym, że od A do Z.

– Była inna. Była... – Sara urwała i zamyśliła się. Po chwili spytała: – Czy matki nie przestają kochać swoich dzieci?

– Oczywiście, że nie, panienko. To byłoby wbrew naturze.

– Ale czy to naprawdę jest zgodne z naturą dbać o swoje młode, kiedy już dorosną i pójdą w świat? Zwierzęta tego nie robią.

– Zwierzęta! – zgorszyła się Edith. – Chwała Bogu jesteśmy ludźmi, i do tego chrześcijanami. Niechże panienka nie opowiada bzdur. Jest takie przysłowie: „Syna ma się dopotąd, aż weźmie go żona, ale córka to córka, póki matka nie skona”.

Sara się roześmiała.

– Znam całe mnóstwo matek, które nienawidzą swoich córek jak zarazy, i drugie tyle córek, które wolały zapomnieć, że kiedyś miały matki.

– Co ja mogę na to powiedzieć, panienko? Tylko to, że to jest złe i grzeszne.

– Ale podobno znacznie zdrowsze, tak przynajmniej twierdzą psychologowie.

– Co tylko dowodzi, że mają sparszywiałe mózgi.

Sara odezwała się z namysłem:

– Zawsze uwielbiałam mamę. Nie tylko jako matkę, ale jako osobę.

– Ona też świata poza panienką nie widziała.

Sara nie odpowiadała przez kilka sekund. Potem mruknęła:

– Właśnie tego nie jestem pewna...

– Odchodziła od zmysłów, kiedy panienka miała zapalenie płuc! – wytknęła jej z oburzeniem gospoia.

– Och, wtedy miałam czternaście lat. Ale teraz...

Obie usłyszały zgrzyt klucza w zamku.

– O. Już jest – powiedziała Edith.

Anna wpadła bez tchu, zrywając nakrycie głowy z różnokolorowych piór.

– Sara? Jaka miła niespodzianka. Boże, ten kapelusz mnie uciska! Jestem strasznie spóźniona. Mam się spotkać o ósmej z Ladesburymi u Chaliana. Chodź ze mną do sypialni, muszę się przebrać.

Sara wstała posłusznie i ruszyła za nią.

– Jak się miewa Lawrence? – zapytała Anna.

– Dobrze.

– To świetnie. Wieki całe go nie widziałam. I ciebie też, skoro o tym mówimy. Musimy kiedyś gdzieś się razem wybrać. Ta nowa rewia przy Coronation Street ma pochlebne opinie...

– Mamo, chciałam z tobą porozmawiać.

– Tak, kochanie?

– Czy mogłabyś przestać majstrować przy twarzy i przez chwilę mnie posłuchać?

Anna spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Strasznie jesteś dziś rozdrażniona.

– Chcę z tobą porozmawiać. Chodzi o Gerry’ego.

Ręce Anny opadły bezwładnie wzdłuż boków.

– I cóż Gerry? – spytała cierpko.

– Chce, żebym zostawiła Lawrence’a i wyjechała z nim do Kanady.

Anna zrobiła dwa głębokie wdechy. Potem lekceważąco machnęła ręką.

– Co za kompletna bzdura! Biedny Gerry. Naprawdę jest nieopisanie głupi.

– Gerry’emu nic nie brakuje – odparła ostro Sara.

– Wiem, że zawsze miałaś do niego słabość, kochanie. Ale mówiąc poważnie: nie sądzisz, że znacznie go przerosłaś?

– Nie bardzo mi pomagasz, mamu. – Głos Sary zadrżał. – A ja mówię poważnie.

– Chyba nie traktujesz poważnie tej żalosnej bzdury? – syknęła gniewnie Anna.

– Owszem.

– W takim razie to ty postradałaś rozum.

– Zawsze zależało mi na Gerry’u, a jemu na mnie – oznajmiła Sara z uporem.

Anna parsknęła śmiechem.

– Och, moje drogie dziecko!

– Nie powinnam była wychodzić za Lawrence’a. To największy błąd, jaki w życiu popełniłam.

– Przyzwyczajasz się – rzuciła matka zdawkowo.

Sara wstała i zaczęła krążyć po pokoju.

– Nie mogę. Nie dam rady. Moje życie to piekło. Piekło!

– Nie przesadzaj.

– Ten człowiek to potwór. To w ogóle nie jest człowiek!

– Jest ci bardzo oddany – wtrąciła Anna karcąco.

– Po co ja to robiłam? Po co? Wcale nie chciałam za niego wychodzić. – Okręciła się, doskoczyła do matki. – Nie wyszłabym za niego, gdyby nie ty!

– Ja? – Anna zarumieniła się ze złości. – Ja nie mam z tym nic wspólnego!

– Właśnie że tak!

– Powiedziałaś mi wtedy, że musisz sama podjąć decyzję.

– I przekonałaś, że wszystko będzie dobrze!

– Co za ohydna potwarz! Mówiłam ci, że ma złą reputację, że wiele ryzykujesz...

– Wiem. Ale chodzi o sposób, w jaki to mówiłaś. Jakby to nie miało znaczenia. Nie będziemy się spierać o słowa. Nie słowa były ważne. C h c i a ł a ś, żebym za niego wyszła, mamu. Jestem tego pewna! Dlaczego? Żeby się mnie pozbyć z domu?

Anna zerwała się na równe nogi.

– Doprawdy, moja droga, zachowujesz się skandalicznie!

Oczy Sary, ogromne i ciemne w pobielającej twarzy, błędziły po twarzy matki, jakby szukały w niej prawdy.

– Wiem, że to prawda. Chciałaś, żebym poślubiła Lawrence’a. A teraz, kiedy wszystko obróciło się na złe, kiedy jestem tak strasznie nieszczęśliwa, masz to w nosie. Czasami... Czasami myślę nawet, że cię to cieszy...

– Saro!

– Tak, cieszy... – Nie spuszczała z niej wzroku i Anna poczuła się nieswojo. – Jesteś zadowolona...

Chcesz, żebym była nieszczęśliwa!

Anna odwróciła się do niej plecami i ruszyła do drzwi. Drżała na całym ciele. Sara poszła za nią.

– Dlaczego? Mamu, dlaczego?

– Nie wiesz, co mówisz – wykrztusiła Anna, z trudem zmuszając do posłuchu stężale wargi.

– Chcę wiedzieć, dlaczego chciałaś mnie unieszczęśliwić – powtórzyła z uporem Sara.

– Co ty pleciesz? Nigdy czegoś takiego nie chciałam!

– Mamo... – Dotknęła jej ramienia nieśmiało, jak dziecko. – Mamo... przecież jestem twoją córką...

Powinnaś mnie przynajmniej lubić...

– Oczywiście, że cię lubię! Co jeszcze wymyślisz?

– Nie – powiedziała Sara. – To nieprawda. Już od dłuższego czasu mnie nie lubisz. Odeszłaś ode mnie gdzieś, gdzie nie mogę do ciebie dotrzeć.

Anna uczyniła niemały wysiłek, żeby wziąć się w garść. Powiedziała rzeczowo:

– Choćbyś kochała swoje dzieci nad życie, przychodzi czas, kiedy muszą stanąć na własnych nogach.

Matka nie może być zaborcza.

– Oczywiście, że nie. Ale chyba w kłopotcie każdy może przyjść do matki?

– Czego ty ode mnie chcesz?

– Chcę, żebyś mi doradziła, czy powinnam wyjechać z Gerrym, czy zostać z Lawrence'em.

– Zostać z mężem, rzecz jasna.

– Bardzo jesteś tego pewna.

– Moje drogie dziecko, a jakiej innej odpowiedzi spodziewasz się po osobie z mojej generacji?

Wychowano mnie w poszanowaniu pewnych norm postępowania.

– Moralnie słuszne jest trwać przy mężu, moralnie naganne uciec z kochankiem. O to chodzi?

– Właśnie. Oczywiście twoje nowoczesne koleżanki mogą mieć diametralnie różny pogląd na ten temat. Ale pytałaś o mój.

Sara westchnęła i potrząsnęła głową.

– To nie jest takie proste, jak chcesz to przedstawić. Znacznie bardziej złożone. Bo w rzeczywistości to, co we mnie najgorsze, każe mi zostać z Lawrence'em. Niechęć do pracy i ryzyka, upodobanie do łatwego życia, zdeprawowane gusta i rozparzone zmysły... Ta Sara, która chce uciec z Gerrym, wcale nie jest kochliwą dziwką. Ta Sara w niego wierzy i chce mu pomóc. Widzisz, mamo, ja mam dokładnie to, czego Gerry'emu brakuje. Przychodzi chwila, kiedy siada i zaczyna się nad sobą uzalać, i właśnie w takiej chwili trzeba go bardzo mocno kopnąć w tyłek. Gerry mógłby zostać kimś, ma w sobie zadatki. Potrzeba mu tylko kogoś, kto by go czasem wyśmiał, a czasem podtrzymał w decyzji. Mówiąc krótko, potrzeba mu mnie.

Sara umilkła i spojrzała błagalnie na matkę, ale twarz Anny była jak wykuta z krzemienia.

– Nie będę udawać, że mnie przekonałaś. Wyszłaś za Lawrence'a z własnej nieprzymuszonej woli, niezależnie od tego, co usiłujesz mi wmówić. Powinnaś przy nim trwać.

– Być może.

Anna postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

– Sama zdajesz sobie sprawę, kochanie – powiedziała, strojąc głos na czułe tony – że nie nadajesz się do życia w biedzie. To wszystko wygląda łatwo, kiedy się o tym tylko mówi, ale jestem pewna, że gdy przyjdzie co do czego, nie będziesz zachwycona, zwłaszcza... – To będzie zręczny argument, pomyślała. – ...zwłaszcza jeśli będziesz miała świadomość, że przeszkadzasz Gerry'emu, zamiast mu pomóc.

Jeszcze nie skończyła mówić, kiedy zdała sobie sprawę, że to był fałszywy krok.

Twarcz Sary stwardniała. Podeszła do toaletki, wzięła papierosa i zapaliła.

– Jesteś bardzo zręcznym adwokatem diabła, mateczko.

– Co masz na myśli? – Anna była niemile zdziwiona.

Sara zawróciła i stanęła przed matką. Spojrzała na nią wrogo, podejrzliwie.

– Jaki jest prawdziwy powód, dla którego nie chcesz, żebym wyjechała z Gerrym?

– Mówiłam ci...

– P r a w d z i w y powód. – Powoli i z naciskiem, wbijając wzrok w oczy matki, wyskandowała: – Boisz się, że mogłabym być z nim szczęśliwa?

– Boję się, że możesz być bardzo nieszczęśliwa!

– Nieprawda! – prychnęła Sara gorzko. – Moje nieszczęście by cię nie obeszło. To szczęścia mi żałujesz... Nie kochasz mnie. Więcej, ty z jakiegoś powodu mnie nienawidzisz... O to chodzi, prawda? Nienawidzisz mnie jak diabli!

– Zwariowałaś?

– Nie, nie zwariowałam. Nareszcie dochodzę do prawdy. Nienawidzisz mnie od dłuższego czasu. Dlaczego?

– To nieprawda!

– To prawda. Ale dlaczego? To nie to, że zazdrościsz mi młodości, choć są i takie matki. Ty nie. Zawsze byłaś dla mnie taka dobra... Dlaczego mnie znienawidziłaś, matuś? Muszę wiedzieć!

– To nie tak!

– Och, przestań kłamać! – krzyknęła Sara. – Powiedz to wreszcie. Co ja takiego zrobiłam? Zawsze cię uwielbiałam. Zawsze starałam się być kochającą córką. Zrobiłabym dla ciebie wszystko.

Anna obróciła się do niej.

– Mówisz tak, jakbyś to ty ponosiła wszystkie ofiary! – zawołała z goryczą.

Sara osłupiała.

– Ofiary? Jakie ofiary?

Anna kurczowo spłótła ręce. Głos jej się łamał.

– Poświęciłam dla ciebie całe życie, wszystko, na czym mi zależało, a ty nawet tego nie pamiętasz!

– Nie wiem, o czym mówisz! – bąknęła Sara zdumiona.

– No właśnie, nie wiesz! Nawet jego nazwiska nie zapamiętałaś. „Richard Cauldfield?”, spytałaś. A kto to taki?”

W oczach Sary pojawiło się zrozumienie i coś na kształt niesmaku.

– Richard Cauldfield?

– Tak, Richard Cauldfield! – Ton Anny był teraz jawnie oskarżycielski. – Ty go nie lubiłaś. Ale ja go kochałam! Bardzo mi na nim zależało. Chciałam za niego wyjść. A przez ciebie musiałam się z nim rozstać.

– Mamo...

– Miałam prawo do szczęścia! – oznajmiła wyzywająco Anna.

– Nie wiedziałam... że naprawdę ci na nim zależało... – wyjąkała Sara.

– Nie chciałaś wiedzieć. Celowo zamykałaś na to oczy. Zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy, żeby nie dopuścić do ślubu. Prawda?

– Tak, to prawda... – Na wspomnienie swojego dzieciennego zadufania Sara poczuła wstyd. – Ja... ja... uznałam, że nie będziesz z nim szczęśliwa...

– Nie miałaś prawa decydować o tym za mnie! – wrzasnęła z furią Anna.

Gerry jej o tym mówił. Gerry martwił się jej postępowaniem. A ona była taka pewna siebie, taka dumna ze zwycięstwa nad znienawidzonym Kalafiozem! Dziś dopiero widziała w tym bezpardonową dziecięcą zazdrość. A matka cierpiała, zmieniała się stopniowo w tę nerwową, nieszczęśliwą kobietę ciskającą jej teraz w twarz zarzuty, na które Sara nie mogła znaleźć odpowiedzi.

Mogła tylko szepnąć:

– Nie wiedziałam... Och, mamo, nie wiedziałam...

Oczy Anny utkwione były w przeszłości.

– Mogliśmy być razem szczęśliwi – powiedziała cicho. – On był samotny. Jego pierwsza żona zmarła wraz z dzieckiem; przeżył wtedy szok i ogromną tragedię. Wiem, że nie był pozbawiony wad. Był sztywny i skłonny do prawienia kazań... takie rzeczy młodzi wychwytyją od razu... Ale w głębi miły, prostoduszny i dobry. Starzelibyśmy się razem w pogodzie ducha. Zamiast tego zraniłam go po raz drugi. Kazałam mu iść precz... Odesłałam go wprost do tego hotelu, gdzie poznał tę głupią małą harpię, która go w ogóle nie kocha.

Sara cofnęła się, skuliła. Każde słowo sprawiało jej ból.

– Skoro tak bardzo chciałaś za niego wyjść – próbowała się bronić – trzeba było to zrobić.

Matka spojrzała na nią pogardliwie.

– Już nie pamiętasz tych wiecznych awantur? Żarliście się ze sobą jak pies z kotem. Celowo go prowokowałaś. To był element twojej strategii!

(Tak, to był element strategii...)

– Dzień po dniu! Nie mogłam tego znieść. A potem Richard postawił mi ultimatum. Miałam wybrać między nim a tobą. Jesteś moja córką, krwią z mojej krwi... Wybrałam ciebie.

– I to wtedy mnie znienawidziłaś – powiedziała głucho Sara. Wzór był teraz dla niej zupełnie czytelny.

Podniosła futro i skierowała się do drzwi.

– No cóż – powiedziała. – Wiemy, na czym stoimy.

Jej głos zabrzmiał twardo i dźwięcznie. Ujrzawszy ruinę życia matki, wróciła myślą do szczątków własnego życia.

W drzwiach odwróciła się i przemówiła do kobiety o zapadniętej twarzy, kobiety, która nie zaprzeczyła jej oskarżeniu.

– Nie możesz mi wybaczyć, że zniszczyłam ci życie – powiedziała. – A ja tobie tego, że zniszczyłaś moje!

– Nie miałam z tym nic wspólnego – odparowała Anna zimno. – Sama podjęłaś decyzję.

– Nie bądź taką cholerną hipokrytką, mamó. Przyszłam do ciebie wtedy, żebyś mi pomogła odrzucić Lawrence’a. Doskonale rozumiałaś, że mnie pociąga, ale chcę się otrząsnąć z zauroczenia. Wiedziałaś wszystko. Także jakie dobrać słowa.

– Nonsens. Dlaczego miałoby mi zależeć na twoim ślubie z Lawrence’em?

– Może czułaś, że mnie unieszczęśliwi. To byłby akt sprawiedliwości. No, mateczko, mówmy szczerze. Czy nigdy nie czułaś się pomszczona, wiedząc, że moje życie małżeńskie to koszmar?

Anna poczuła, że ogarnia ją furia.

– Czasami owszem, zdarzało mi się myśleć, że masz za swoje!

Matka i córka zamarły, patrząc na siebie wrogo.

W końcu Sara się roześmiała – suchym, nieprzyjemnym śmiechem.

– No więc wreszcie wyszło szydło z worka! Żegnaj, kochana mamusi!

Wybiegła do przedpokoju i po chwili dobiegł stamtąd ostry trzask drzwi wejściowych, niosący zapowiedź końca.

Anna została sama.

Drżąc na całym ciele, dotarła do łóżka i rzuciła się na pościel. Łzy wezbrały jej w oczach, spłynęły po policzkach. Po chwili targnął nią szloch – tak gwałtowny, jakiego nie zaznała od lat.

Płakała długo, bardzo długo, a gdy wreszcie łkania zaczęły cichnąć, posłyszała delikatny brzęk porcelany. Edith postawiła tacę na stoliku przy łóżku i usiadła obok, głaszcząc ją po ramieniu.

– Nie płacz już, nie płacz, moje śliczne jagniątko... Przyniosłam pyszną herbatkę, zaraz ją pani wypije i niech nie mówi, że nie.

– Och, Edith... Edith! – Anna ukryła twarz na podołku wiernej sługi i przyjaciółki.

– No, no, to jeszcze nie koniec świata. Wszystko będzie dobrze.

– Mówiłam takie straszne rzeczy...

– Nie szkodzi. Teraz proszę usiąść i napić się herbaty.

Anna usiadła i posłusznie siorbnęła gorący płyn.

– Za chwileczkę poczuje się pani lepiej.

– Jak mogłam...!

– Niechże się pani nie trapi!

– Jak mogłam powiedzieć coś takiego do Sary!



- Lepsze złe słowa niż złe myśli, gdyby mnie kto pytał – oznajmiła gosposia. – Właśnie to, o czym człowiek myśli, a nie mówi, zalewa go żółcią i taka jest prawda.
- Byłam wobec niej okrutna...
- Moim zdaniem najgorsze było właśnie to, że od dawna wszystko pani w sobie dusiła. Zawsze mówię, że pretensje trzeba wykrzyczeć i zapomnieć, ot co, zamiast kusić je w sobie i udawać, że nic się nie dzieje. Wszyscy czasem miewamy brzydkie myśli, chociaż trudno się nam do tego przyznać.
- Czy ja naprawdę znienawidziłam Sarę? Moją małą córeczkę, taką słodką i śmieszoną... A ja ją znienawidziłam?
- Oczywiście, że nie – zapewniła ją Edith dobrodusznie.
- Chciałam, żeby cierpiała... tak jak ja cierpiałam.
- Teraz to już pani wymyśla byle co. Kocha pani panienkę i zawsze kochała.
- I przez cały czas... – mówiła Anna jak w transie – przez cały ten czas... toczyła mnie nienawiść... jak rdza... jak zgnilizna...
- Szkoda, że tak długo z tym pani zwlekała. Porządna kłótnia od razu oczyszcza atmosferę. Anna opadła bezwładnie na poduszki.
- A teraz już jej nie nienawidzę – szepnęła ze zdziwieniem. – To minęło... przeszło...
- Edith wstała i poklepała ją po ramieniu.
- Nie przejmuj się, moja śliczna. Wszystko będzie dobrze.
- Nie będzie. – Anna potrząsnęła głową. – Obie powiedziałyśmy sobie rzeczy, których nie można zapomnieć.
- Niech pani w to nie wierzy. Jest takie przysłowie, że słowo, choć twarde, nie łamie kości. I to jest święta prawda.
- Są takie słowa, takie fundamentalne krzywdy, których nigdy nie da się naprawić.
- Edith sięgnęła po tacę.
- „Nigdy” to bardzo wielkie słowo – powiedziała.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Po powrocie do domu Sara poszła wprost do dużego pokoju na tyłach domu, który Lawrence nazywał swoim studio. Był tam, rozpakowywał właśnie świeżo nabyty posążek, dzieło młodego francuskiego artysty.

– Co o niej myślisz, Saro? Piękna, prawda? – Zmysłowo pieścił palcami nagą skrzyconą postać.

Zadrżała jak na wspomnienie.

– Tak, piękna. – Zmarszczyła brwi. – Ale w jakiś sposób obsceniczna.

– Dajże spokój! – zaśmiał się. – Zdumiewające, że po tym wszystkim wciąż drzemie w tobie purytanka.

– Co nie zmienia faktu, że ta rzeźba jest wyuzdana.

– Może istotnie trochę dekadenska... ale bardzo inteligentna. Działa na wyobraźnię. Paul oczywiście pali haszysz i to prawdopodobnie stanowi o duchu jego dzieł.

Odstawił posążek i odwrócił się do Sary.

– Bardzo dziś jesteś *en beauté*, moja urzekająca żoneczko, i najwyraźniej się czymś trapisz. Zmartwienie zawsze dodaje ci urody.

– Straszliwie pokłóciłam się z mamą.

– Naprawdę? – Lawrence uniósł brwi z rozbawieniem. – Wprost trudno uwierzyć. Ta łagodna Anna?

– Dziś nie była łagodna. Zresztą przyznaję, że ja też potraktowałam ją paskudnie.

– Rodzinne kłótnie są nudne, Saro. Nie mówmy o nich.

– Nie miałam zamiaru. Mama i ja już ze sobą nie rozmawiamy, i to właściwie zamyka sprawę. Chciałam poruszyć zupełnie inną kwestię. Ja... no cóż... zamierzam od ciebie odejść.

Steele przyjął tę deklarację z całkowitym spokojem. Uniósł tylko brwi i mruknął:

– Bardzo nierozsądny zamiar.

– Czy to groźba?

– Och, nie, tylko życzliwe ostrzeżenie. A właściwie dlaczego chcesz ode mnie odejść? Owszem, porzucały mnie już żony, lecz z powodów, które ciebie na pewno nie dotyczą. Na przykład nie złamałem ci serca. Ty nie masz serca, moja piękna, a już zwłaszcza dla mnie. Poza tym wciąż jesteś...

– Pierwszą faworytą? – wpadła mu w słowo.

– Skoro chcesz to określać w tak orientalnych kategoriach... Owszem, Saro, jesteś bliska ideału. Nawet twój purytanizm dodaje pieprzyku naszym... jak by to ująć? Pogańskim stosunkom. A zgorzenie, którym wykręciła się moja pierwsza żona, nie da się do ciebie zastosować. Zważywszy wszystko, zasady moralne nie wydają się twoją mocną stroną.

– Czy to ważne, dlaczego chcę odejść? Nie udawaj, że cię to obejdzie!

– Bardzo mnie obejdzie! Jesteś w tej chwili moim najcenniejszym nabytkiem, lepszym niż wszystko, co się tu znajduje. – Kolistym gestem wskazał studio.

– Chodziło mi o to, że mnie nie kochasz.

– Już ci kiedyś powiedziałem, że nie jestem entuzjastą romantycznych uniesień. Kochać lub być kochanym to nie dla mnie.

– Prawda wygląda tak, że jest ktoś inny. Wyjeżdżam z nim za granicę.

– Ach! I zamierzasz zostawić za sobą swoje grzechy?

– Chodzi ci o...

– Zastanawiam się, czy to będzie takie łatwe, jak myślisz. Byłaś pojętną uczennicą, moja piękna, i nurt

życia mocno w tobie tętni. Ciekawe, czy zdołasz wyrzec się tych doznań... tych przyjemności... tych eskapad w krainę zmysłów? Przypomnij sobie wieczór w „Rowie Mariańskim” albo zabawki doktora Charcota... Takich rzeczy nie porzuca się łatwo.

Sara spojrzała na niego i na moment w jej oczach pojawił się strach.

– Wiem. Wiem. Ale to jest możliwe.

– Tak? Jesteś od nich dość mocno uzależniona.

– Ale się wyleczę... Bo chcę się wyleczyć! – Odwróciła się i śpiesznie wypadła z pokoju.

Lawrence z hukiem odstawił trzymaną w rękę rzeźbę.

Był poirytowany. Być może nawet wściekły. Sara nie zdążyła go jeszcze znużyć. Wątpił, czy kiedykolwiek to nastąpi. Miała temperament i dość sił, by się opierać, podjąć walkę. A przy tym była urzekająco piękna. Rzadki okaz, ozdoba jego kolekcji.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

– Sara! – Laura Whitstable, przyjemnie zaskoczona, podniosła wzrok znad biurka. – Nie widziałam cię od wieków, chrzestna córeczko!

– Wiem... – Sara była zdyszana i bardzo podniecona. – Och, ciociu, strasznie narozrabiałam...

– Usiądź – Laura pociągnęła ją na sofę – i o wszystkim mi opowiedz.

– Pomyślałam, że może umiałabyś pomóc... Czy jest możliwe... to znaczy, czy ludziom udaje się odzwyczaić od rzeczy... do których brania przywykli? Och! – dodała zmieszana – pewnie w ogóle nie wiesz, o czym mówię.

– Wiem. Masz na myśli narkotyki?

– Tak. – Rzeczowa reakcja pani Whitstable sprawiła Sarze ogromną ulgę.

– No cóż, odpowiedź zależy od wielu czynników. To nie jest łatwe. Nigdy nie jest łatwe. Kobietom trudniej jest wyzwolić się z nałogu niż mężczyznom. Wiele zależy od tego, jak długo bierzesz, jak mocno jesteś uzależniona, a także od stanu twojego zdrowia, odwagi i siły woli, warunków życia, nadziei na przyszłość oraz, jeśli jest się kobietą, od tego, czy ma się przy sobie kogoś, kto pomoże w tej walce.

Twarz Sary pojaśniała.

– Dobrze. Jeśli tak, to myślę, że mi się uda.

– Nadmiar wolnego czasu na pewno ci nie pomoże – przestrzegła ją pani Laura.

Sara wybuchnęła śmiechem.

– Będę miała bardzo niewiele wolnego czasu! Całymi dniami będę pracować jak szalona. U boku kogoś, kto nie będzie mnie rozpieszczał i gdy trzeba, przywoła do porządku, a co do nadziei... mam jej tyle, że omal mnie nie rozsadzi!

– Wobec tego sądzę, że masz duże szanse, kochana. – Pani Laura spojrzała na młodą kobietę i nieoczekiwanie stwierdziła: – Chyba wreszcie dorosłaś.

– Tak. Zajęło mi to strasznie dużo czasu. Zdaję sobie z tego sprawę. Nazywałam Gerry'ego słabeuszem, mięczakiem, ale tak naprawdę to ja jestem słaba. Zawsze chciałam, żeby ktoś mnie prowadził za rękę. – Twarz Sary zachmurzyła się. – Ciociu... Bardzo źle postąpiłam w stosunku do mamy. Dopiero dziś się dowiedziałam, że naprawdę zależało jej na Kalafiorze. Ostrzegałaś mnie, gdy mówiłaś o ofierze całopalnej, ale ja nie chciałam słuchać. Byłam tak straszliwie dumna z siebie, ze swojego planu pozbycia się biednego starego Richarda... Tymczasem dopiero teraz widzę, jakim byłam zazdrosnym, niedobrym bachorem. Zmusiłam mamę, żeby się z nim rozstała, a ona nigdy mi tego nie wybaczyła. Nie powiedziała ani słowa, ale wszystko od razu zaczęło się psuć. Dziś strasznie się pokłóciłyśmy. Wrzeszczałyśmy na siebie i ja mówiłam do niej straszne rzeczy, obwiniałam ją o wszystko, co mnie spotkało. A przez cały czas czułam się winna.

– Rozumiem.

– I teraz... – na twarzy Sary odmalowała się rozpacz – nie wiem, co robić. Gdybym mogła jej jakoś zadośćuczynić... ale chyba jest już za późno.

Pani Laura podniosła się energicznie.

– Nie ma większej straty czasu – stwierdziła pouczającym tonem – niż mówienie słusznych rzeczy niewłaściwej osobie...

# ROZDZIAŁ SZÓSTY

## 1

Edith podniosła słuchawkę telefoniczną z miną kogoś, kto trzyma dymiącą laskę dynamitu. Zrobiła głęboki wdech i wykręciła numer. Słyszając sygnał na drugim końcu linii, obejrzała się nerwowo. Niepotrzebnie się bała, w mieszkaniu poza nią nie było nikogo. Mimo to energiczny, rzeczowy głos w słuchawce sprawił, że podskoczyła.

– Welbeck 97438, słucham.

– Och... czy to wielmożna pani Laura Whitstable?

– Przy telefonie.

Edith dwukrotnie nerwowo przełknęła ślinę.

– Tu Edith, proszę pani. Edith od pani Prentice.

– Dobry wieczór, Edith.

Edith ponownie przełknęła ślinę i wymamrotała niejasno:

– Paskudna rzecz, telefon.

– Tak, w pełni cię rozumiem. Chciałaś o czymś ze mną porozmawiać?

– Chodzi o panią Prentice, proszę pani. Martwię się o nią, bardzo się o nią martwię.

– Martwisz się nie od dzisiaj, prawda?

– Ale to co innego, proszę pani. Coś zupełnie innego. Straciła apetyt i tylko siedzi beczynn timer. I często widzę, że płacze. Jest spokojniejsza, jeśli rozumie pani, co mam na myśli, nie miota się już tak jak poprzednio. Przestała na mnie krzyczeć. Jest łagodna i uważająca jak dawniej, ale nie ma w niej ducha. Jakby coś w niej umarło. To okropne, proszę pani. Okropne.

– Interesujące – doleciało z głośnika słuchawki.

Rzucona zdawkowym tonem uwaga nie była tym, co Edith spodziewała się usłyszeć.

– Pani też krwawiłoby serce na ten widok – powiedziała z urazą.

– Ta metafora jest bzdurna. Serca nie krwawią, o ile się ich fizycznie nie uszkodzi.

– To ma związek z panią. – Edith nie ustępowała. – Strasznie sobie nawymyślały, no i potem panią nie pokazała się u nas już prawie miesiąc.

– Sary nie ma w Londynie. Jest na wsi.

– Pisałam do niej.

– Nie przekazywano jej żadnych listów.

Edith nieco się rozchmurzyła.

– Ach, to dobrze, w takim razie, kiedy wróci...

Pani Laura wpadła jej w słowo:

– Niestety, przygotuj się na wstrząs. Sara wyjeżdża do Kanady z panem Lloydem.

Gospoia wydała z siebie dźwięk oburzonego syfonu.

– Toż to skandal! Chce rzucić męża?

– Tylko bez pruderii, proszę. Kimże jesteś, by oceniać czyny innych ludzi? Zresztą nie czeka jej tam łatwe życie. Żadnych luksusów, do których tu przywykła.

Edith westchnęła:

– To faktycznie stawia ją w nieco mniej grzesznym świetle... I proszę mi wybaczyć, że to powiem, ale

pan Steene zawsze mnie trochę przerażał. Człowiek gotów byłby podejrzewać, że zaprzedał duszę diabłu!

- Przyjmując nieodzowną poprawkę na różnice frazeologiczne, skłonna jestem się z tobą zgodzić – oznajmiła sucho pani Laura.
- Czy panienka przyjdzie się pożegnać?
- Chyba nie.
- A to bardzo nieładnie z jej strony! – obruszyła się Edith.
- Niczego nie rozumiesz, moja droga.
- Rozumiem doskonale, jak ma się zachować córka w stosunku do matki. Nigdy bym się tego nie spodziewała po panience! Czy nie mogłaby pani jakoś na nią wpłynąć?
- Nigdy nie ingeruję w cudze sprawy.

Edith zaczerpnęła tchu i wypaliła:

- No to proszę wybaczyć, bo wiem, że pani jest bardzo sławną i bardzo mądrą osobą, a ja tylko prostą służącą, ale najwyższy czas, żeby pani wreszcie coś zrobiła!

Po czym wściekle trzasnęła słuchawką.

## 2

Edith powtórzyła dwukrotnie to samo zdanie, zanim Anna ocknęła się i zareagowała.

- Co mówiłaś?
- Mówiłam, że włosy pani odrosły od korzonków i dziwnie wyglądają. Powinna je pani podfarbować.
- Nie ma sensu. Lepiej będą wyglądały siwe.
- Bardziej szacownie, zgoda. Ale takie pół na pół robią śmieszne wrażenie.
- To bez znaczenia.

Nic nie miało już znaczenia. Cóż mogło być ważne w smętnej procesji mijających kolejno dni? Jedna myśl tłukła jej się po głowie bez ustanku: Sara nigdy mi nie przebaczy... I słusznie...

Zadzwoił telefon. Dźwignęła się niechętnie i poszła odebrać.

- Halo? – odezwała się apatycznie.

Donośny głos Laury Whitstable na drugim końcu linii wyrwał ją ze stuporu.

- Anna?

- Tak.

- Nie lubię się wtrącać w sprawy innych ludzi, ale... jest coś, o czym chyba powinnaś wiedzieć. Sara i Gerald Lloyd odlatują dziś o ósmej samolotem do Kanady.

- Co? – Annie odebrało głos. – Ja... ja... Nie widziałam jej od kilku tygodni.

- Spędziła je w sanatorium na prowincji. Poddała się dobrowolnej terapii likwidującej uzależnienie od narkotyków.

- Boże! Jak ona się czuje?

- Już dobrze. Ale wiedz, że bardzo cierpiała. Jestem dumna ze swojej chrestnej córki. Dziewczyna ma kręgosłup.

- Och, Lauro! – Teraz słowa runęły lawiną. – Czy pamiętasz, jak pytałaś, czy znam Annę Prentice? Dziś ją znam. Przez urazę i niechęć zniszczyłam Sarze życie. Nigdy mi tego nie przebaczy!

- Bzdura. Nikt nie byłby w stanie zniszczyć życia drugiej osobie bez jej współudziału. Skończ z tym melodramatycznym samobiczowaniem.

- Ale to prawda. Wiem, kim jestem i co uczyniłam.

- No i bardzo dobrze, ale wiesz to nie od dzisiaj, prawda? Może byś tak zrobiła następny krok?

- Ty nie rozumiesz. Mam potworne wyrzuty sumienia... tak straszne brzemie winy...

- Posłuchaj, Anno. Są tylko dwie rzeczy, których nie mam zamiaru wysłuchiwać. Gdy ktoś wmawia mi,

jak jest szlachetny, i że działa wyłącznie z najczystszych pobudek – i przeciwnie, gdy skomli, że zachował się niegodnie. Jedno i drugie może być prawdą, a do prawdy o naszych czynkach trzeba dążyć wszelkimi środkami, ale nie można na tym poprzestać. Trzeba iść dalej. Nikt nie może cofnąć czasu, a bardzo rzadko da się odkręcić to, co człowiek narozrabiał. Po prostu żyj.

– Ale jak powinnam postąpić w związku z Sarą?

– Co prawda posunęłam się do ingerencji – prychnęła z niesmakiem pani Laura – ale nie upadłam jeszcze tak nisko, żeby udzielać rad!

Po czym stanowczo przerwała połączenie.

Poruszając się jak we śnie, Anna dotarła do sofy i usiadła, niewidzącym wzrokiem patrząc w przestrzeń.

Sara i Gerry... Czy im się uda? Czy jej dziecko, jej ukochane dziecko znajdzie wreszcie trochę szczęścia? Gerry ma słaby charakter... Czy wciąż będzie ponosił porażkę za porażką...? Czy Sara będzie rozczarowana... nieszczęśliwa...? Gdybyż tylko był innym człowiekiem! Ale ona kocha go takiego, jaki jest...

Czas mijał. Siedziała bez ruchu.

To wszystko nie leżało już w jej gestii. Zrzekła się wszelkich praw. Między nią a Sarą ziała nieprzeżyta otchłań.

Edith zajrzała do salonu i wycofała się na palcach. Po chwili jednak zadzwonił dzwonek u drzwi, poszła więc otworzyć.

– Pan Mowbray przyszedł po panią – oznajmiła.

– Co mówisz?

– Pan Mowbray. Czeka na dole.

Anna zerwała się z miejsca. Jej wzrok pobiegł w stronę zegara. O czymże myślała, siedząc tu jak sparalizowana? Sara wyjeżdża... Dziś odlatuje na drugi koniec świata...

Złapała futrzaną narzutkę i biegiem wypadła z mieszkania.

– Basilu – wysapała bez tchu – proszę, zawieź mnie na lotnisko. Tak szybko, jak tylko zdołasz.

– Co się stało?

– Sara. Odlatuje dziś do Kanady. A ja nie zdążyłam się z nią pożegnać.

– Nie za długo z tym zwlekałaś, kochana?

– Oczywiście, że za długo. Ależ byłam głupia! Mam nadzieję, że nie jest za późno. Och, jedźmy już, szybko!

Basil Mowbray westchnął i uruchomił silnik.

– Zawsze miałem cię za taką rozsądną kobietę, Anno – rzekł z lekką przyganą. – Dziękuję losowi, że nie mam dzieci. Rodzicielstwo popycha do najdziwniejszych zachowań.

– S z y b c i e j, Basilu.

Westchnął ponownie.

Przejechali przez Kensington, omijając korek na Hammersmith ciągiem krętych bocznych uliczek, przedarli się przez zatłoczoną Chiswick i wreszcie wyjechali na Great Western Road, mknąc z rykiem wzdłuż wysokich budynków fabrycznych i oświetlonych neonami magazynów. Po chwili przy trasie wyrosły rzędy jednakowych podmiejskich domków, w których mieszkali ludzie. Matki i córki, ojcowie i synowie, mężowie i żony. Wszyscy mieli swoje problemy, kłócili się i godzili. Tak samo jak ja, pomyślała Anna. Poczwała nagłą solidarność, nagłą miłość i zrozumienie dla całej rasy ludzkiej.

Jakże mogła być samotna, żyjąc w świecie zamieszkanym przez ludzi takich jak ona?

Pasażerowie na Heathrow stali i siedzieli w sali odlotów, nasłuchując wezwania do samolotu.

– Nie żałujesz? – spytał Gerry.

Posłała mu szybkie krzepiące spojrzenie.

Zeszczuplała, a jej twarz znaczyły cienkie linie pozostawione przez ból. Była to starsza twarz, nie mniej piękna, lecz w pełni już dojrzała.

Gerry chciał, żeby poszła pożegnać się z matką. Nie rozumiał. Gdyby mogła wszystko naprawić... Ale nie była w stanie oddać matce Richarda Cauldfielda.

To, co zrobiła, było niewybaczalne.

Cieszyła się, że jedzie z Gerrym, że zacznie z nim nowe życie, ale coś w jej duszy łkało żałością: Wyjeżdżam, mamusiu... wyjeżdżam tak daleko...

Gdyby tylko...

Wzdrygnęła się, słysząc obcesowy głos z megafonu:

– Pasażerowie lotu 346 przez Glasgow-Prestwick i Gander do Montrealu proszeni są o udanie się przez drzwi oznaczone zielonym światłem do odprawy celnej i wizowej.

Pasażerowie chwycili podręczny bagaż i gremialnie zaczęli się przemieszczać w stronę drzwi na końcu hali. Gerry ruszył pierwszy, Sara krok za nim, ociągając się trochę.

– Sara!

Przez drzwi z zewnątrz wpadła Anna w zsuwającej się z ramion pelerynce i ruszyła biegiem za córką. Sara pobiegła jej na spotkanie, upuszczając neseser.

– Mamo!

Uścisnęły się mocno, mocno. A dopiero potem spojrzały na siebie. Wszystko, co Anna miała zamiar powiedzieć, co przepowiadała sobie w drodze na lotnisko, zamarło jej na ustach. Słowa okazały się zbędne.

Sara czuła to samo. Mogła powiedzieć: „Wybacz mi, mamo”, ale nie było już takiej potrzeby.

W tamtej chwili wreszcie dorosła. Wyzbyła się dziecięcej zależności od matki. Stała się kobietą zdolną stać na własnych nogach i podejmować własne decyzje.

Czując niewytłumaczalny opiekuńczy impuls, powiedziała szybko:

– Wszystko będzie dobrze, przyrzekam.

– Będę się nią opiekował, pani Prentice – dodał z uśmiechem Gerry.

Pracownik lotniska już się zbliżał, by zapędzić ich do wyjścia. Nie było czasu na nic poza rozpaczliwie skrótowym: „Dasz sobie radę, mateczko?”.

– Tak, kochanie – odpowiedziała Anna. – Dam sobie radę. Pa! Niech Bóg ma was w opiece.

Gerry i Sara przeszli przez drzwi do nowego życia, Anna zaś wróciła do samochodu, gdzie czekał na nią Basil.

– Te maszyny są przerażające – zauważył, gdy wielki pasażerski samolot z rykiem rozpędzał się po pasie. – Wyglądają jak ogromne jadłowite o w a d y. Można umrzeć ze strachu!

Wyjechał na drogę i skręcił z powrotem do Londynu.

– Nie gniewaj się, mój drogi – powiedziała Anna – ale nie pójdę dziś z tobą na kolację. Wolę spędzić cichy, spokojny wieczór.

– Dobrze, złotko. Odwiozę cię do domu.

Zawsze widziała w Basilu Mowbrayu dowcipnego cynika o ciętym języku. Nagle zdała sobie sprawę, że przy tym wszystkim jest on zwyczajnie dobry – dobry i bardzo samotny.

Dobry Boże, pomyślała, robiłam z siebie konkursową idiotkę!

– Ale, ale, kotku – mówił z troską Basil – musisz przecież coś zjeść. Edith nie będzie miała dla ciebie obiadu.

Anna z uśmiechem potrząsnęła głową. Przed oczyma zamajaczył jej przyjemny, a na wpół już zapomniany obraz.



– Nie szkodzi – odpowiedziała. – Poda mi jajecznicę na tacy przy kominku, a do tego „pyszna herbatkę”. Kochana staruszka.

Edith otworzyła drzwi i zmierzyła chlebodawczynię bystrym spojrzeniem, ale powiedziała tylko:

– Niech pani siądzie sobie przy ogniu.

– Zaraz, tylko zdejmę te głupie fatałaszkę i włożę coś wygodniejszego.

– Najlepiej ten niebieski flanelowy szlafrok, który dała mi pani cztery lata temu. Dużo miększy i miłszy niż te nowomodne negliże, czy jak je tam pani nazywa. Leży w szufladzie, ani razu nie miałam go na sobie. Nieraz sobie myślałam, że w końcu mnie w nim pochowają.

Opatulona w miękki niebieski szlafrok, półleżąc na sofie, Anna zapatrzyła się w ogień.

Po chwili weszła Edith z tacą, którą ustawiła na niskim stoliku obok sofy.

– Później wyszczotkuję pani włosy – oznajmiła.

Anna uśmiechnęła się do niej.

– Traktujesz mnie dzisiaj jak małą dziewczynkę. Czemu?

Gospośia chrząknęła zmieszana.

– Dla mnie zawsze jest pani małą dziewczynką.

– Wiesz... – Anna spojrzała jej w oczy i podjęła z wysiłkiem: – Widziałam się z Sarą. I już wszystko jest w porządku.

– Oczywiście, że tak! Zawsze było! Ile razy to pani mówiłam! – Pomarszczona, posępna twarz starej gospośi nagle zmiękła w serdecznym uśmiechu.

Potem Edith obróciła się na pięcie i wyszła.

Cudowny spokój, pomyślała Anna. Przyszły jej na myśl słowa usłyszane przed laty:

*Pokój Boży, który przewyższa wszelki umysł...*<sup>[2]</sup>

# Przypisy

[1] *The Immortal Hour*, opera oparta na powieści Williama Sharpa (pod pseudonimem Fiony Macleod) (przyp. tłum.).

[2] *Biblia Tysiąclecia*, Pallottinum, Poznań 1997 (wyjątek z *Listu do Filipian*).



# Agatha Christie

MARY WESTMACOTT

## CÓRECZKA

Po szesnastu latach wdowieństwa Anna Prentice zakochuje się w nowo poznanym mężczyźnie i ma nadzieję odnaleźć przy nim szczęście.

Jej dorosła córka Sara nie może jednak pogodzić się z myślą o powtórnym zamążpójściu matki i niweczy szansę na nowy związek Anny. Zazdrość i uraza rujną relacje matki i córki, każda z nich próbuje szukać pociechy gdzie indziej. Czy kobiety pozostaną wrogami na całe życie? Czy może zwycięży poczucie więzi, które nigdy zupełnie nie wygasło?



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

[www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

ISBN 978-83-245-8221-1

EAN 9788324582211

U.KS.WES004.1.01.01